





Dr. STEFAN

1914—1915

Wojna w Polsce

OPOWIADANIA
NAOCZNEGO ŚWIADKA, LEKARZA
"CZERWONEGO KRZYŻA"



NAKŁADEM AUTORA, CHICAGO, ILL.
1916

POTĚPIENIE WOJNY.



Dr. STEFAN

1914—1915

Wojna w Polsce

OPOWIADANIA
NAOCZNEGO ŚWIADKA, LEKARZA
"CZERWONEGO KRZYŻA"

Bożysłowski, Stefan



NAKŁADEM AUTORA, CHICAGO, ILL.

1916

II 551
B6

Swej matce poświęca

AUTOR

40.60

COPYRIGHT BY Dr. STEFAN

1916

©CLA 420945

FEB 28 1916

no. 1.

WSTĘP.

.. Wojna zaskoczyła całą Europę, a zatym i Polskę zupełnie niespodziewanie.

Byłem obecny przy narodzinach tak zwanych "orientacji" w Kaliskiem, następnie w Łodzi i w Warszawie, byłem świadkiem owej ciekawej ewolucji, owego ciekawego rozwoju nastrojów ludności w Polsce i mogę powiedzieć, że wy tutaj w Ameryce ze swymi orientacjami jesteście dzisiaj spóźnionym echem tego wszystkiego, co się tam odbywało, odbyło, by pójść swoistą, naturalną a więcej godną wielkiego narodu drogą.

Przed wojną o żadnych orientacjach nie było mowy. Ludzie u nas naogół mało politycznie wyrobieni, mało politycznie myślący, bo cały czas naszego mało- lub bezrolnego włościaństwa, lub miejskiego robotnika pochłaniała tak zwana walka o byt, o kawałek chleba, który coraz ciężiej było zarabiać. To samo da się powiedzieć o średnio-zamożnym obywatelu, o naszym mieszczaństwie, o naszej nawet inteligencji.

Gdzieniegdzie w kołach inteligienckich w Warszawie, Łodzi, Lublinie toczyła się czasem czysto

teoretyczna i naturalnie prywatna dyskusja, pod jakim rządem byłoby najlepiej polakom, gdyby wypadek zrządził, że wszystkie zabory Polski byłyby złączone. Zdania zwykle były podzielone, kiedy miano wybierać Rosję, lub Prusy, natomiast zgadzali się wszyscy, skoro cała Polska zjednoczona miałaby być pod Austrią.

Zanadto ten przeciętny nasz obywatel był zahukany, materialnie i moralnie gnębiony, zanadto mało ufny w swe własne siły, przy takiej rozbieżności jakiegobądź pracy społecznej, wprost przestraszony czy to potęgą Rosji, czy Niemiec, by przypuszczać był w stanie o możliwości głośnego i poważnego omawiania sprawy niezależności Polski, tego gdzieś głęboko w sercu utajonego marzenia.

Życ przed wojną u nas w kraju, a nawet w Europie całej, było nad wyraz duszno. Zresztą — o czym tu gadać. Toć to najlepiej wiecie sami. Emigracja do Ameryki z rokiem każdym wzrastała, a ludzie emigrowali, bo musieli, bo zbyt ciężko żyć było w swym rodzinnym kraju.

Choć sobie dosyć dobrze tłómaczę, zawsze jednak podziwiam ów społeczny dowcip naszej inteligencji, nie tracącej pewności siebie, pewnego nawet humoru, miny przy złej grze.

Trudno sobie wyobrazić gorsze warunki życia od tych, w jakich znajdował się naród polski w dniu wybuchu wojny i podczas jej obecnego trwania.

Naród polski, pozbawiony elementarnych podstaw stanowienia o sobie, na wypadki wojenne, od-

bywające się na jego ziemi, odpowiadał na razie odruchami samoobrony.

Jednak z tych żywiołowych odruchów samoobrony różnych sfer społecznych w kierunku oportunistycznym, chwilowych wygód, pewne odłamy inteligencji starały się wysnuć i wysnuły zbyt daleko idące wnioski. Na zasadzie tych czy innych odruchów w społeczeństwie owa część inteligencji stwarza polityczną platformę, jakieś polityczne bezapelacyjne "credo".

Żywą siłę, wciąż zmieniającą się samoobronne odruchy społeczeństwa, życie płynące, proces stawiania się — inteligencja polska chce ująć w jakąś formę stałą.

Jest to chęć strojenia listkiem figowym niemości politycznej narodu. Jest to zrozumiała chęć zachowania pewnej godności żyjącego narodu, a wykreślonego z listy politycznie żywych organizmów państwowych Europy.

Wystawianie tej czy innej orientacji, jako platformy politycznej, jest rzeczą dowcipną, lecz politycznie, conajmniej mylną.

Opierając się na politycznym oportunizmie i wypływając z tych, czy innych odruchów samoobrony społecznej, orientacje mogą i muszą nieodzwrotnie dzielić społeczeństwo, nie mogą zaś z braku siły hasła twórczego narzucić się nieodwołalnie i bezwzględnie społeczeństwu całemu, nie mogą przeto stać się owym cementem dla zjednoczenia się narodu całego, dla jednolitego działania.

A czyżby o rozstrzelowanie sił społeczeństwa, o rozbieżność ruchów chodziło? O to nie posądzam nikogo. Są pomyłki i pomyłki...

Nie ulega wątpliwości, że, gdyby rząd rosyjski zamiast dwulicowej, a miejscami cynicznej odezwy ogłosił niezależność Polski, a nawet pełną autonomję, a — jako gwarancję tejże, pozwolił i ułatwił tworzenie się wojska polskiego, które miałyby walczyć obok wojsk rosyjskich, jak Belgja z Francją, — cała Polska stanęłaby po stronie Rosji. Trudno jednak byłoby się spodziewać tego rodzaju postępowania ze strony rządu Rosji, który własnemu narodowi odmawia elementarnych warunków rozwoju, a najlepszych swych ludzi trzyma do dziś dnia w turmach, lub Sybirze.

Zachowanie się rządu rosyjskiego w Galicji, a nawet w Królestwie tak zraziło do siebie cały bezwzględnie naród polski, że nawet tym naiwnym odłamom naszego społeczeństwa, wierzącym lub chcącym wierzyć słowom odezwy głównodowodzącego armją rosyjską — i tym dziś łuski z oczu spadły.

Naród w kraju u nas, co do polityki rządu rosyjskiego już się zorjentował zimą roku 1914, a ostateczna orjentacja nastąpiła w marcu 1915 r.

Rząd niemiecki, a ściślej biorąc pruski, znacznie chytrzej postąpił.

Chcąc szybko załatwić się z Francją, rząd niemiecki trzy czwarte swej armji skierował na zachodni front. O tym myśmy nad pruską granicą wszy-

scy wiedzieli; nie wiedział tylko generalny sztab rosyjski.

Rząd niemiecki przypuszczał, że z chwilą wypowiedzenia wojny nastąpi w Rosji rewolucja, a w Polsce powstanie; przytym sądził, że mobilizacja Rosji potrwa długo, wobec tego uważał, że wystarczy powierzyć strategiczne zadanie armji austriackiej.

Rząd pruski jednak chciał mieć wolną rękę działania w Królestwie wzdłuż swej granicy; ograniczył więc działania wojenne Austrii południem Polski, a tym samym i wpływ, jaki mogło wywrzeć na ludności Królestwa zjawienie się polskich Legjonów, zmalał do zera.

Bombardowanie Kalisza, znęcanie się nad ludnością, niszczenie kraju, a skutek — masowe ucieczki nawet ludności wiejskiej przed prusakami; to dostatecznie przekonywuje, jak się ludność Królestwa orientuje co do polityki rządu i narodu pruskiego.

Dziś wiemy: Rząd Rosji dąży do bezmyślnej grabieży coraz to nowych obszarów ziemi, a rząd pruski planuje rzecz piękną: stworzenie Wielkiej Niemieckiej Monarchji Centralnej Europy, jako federację mniejszych państw od Bałtyku po Adryatyk, pod hegemonją Prus i Hohenzollernów.

Naturalnie, gdyby Prusy stworzyły choćby tak zwane buforowe Królestwo Polskie, nawet bez Poznańskiego, zaprzeczyć trudno, byłby to wcale miśtrzewski ruch na szachownicy wojennej. Ale wyznać muszę szczerze: ta piękna rzecz mnie, jako po-

łaka, wcale w zachwyty nie wprawia. I co ciekawsze, że takich polaków sporo i coraz więcej!

Myśl znów, dopiero niedawno wysunięta, stworzenia państwa Austrjacko-Polsko-Węgierskiego, tak jest wręcz przeciwna pięknej feudalnej, dawno wypieszczonej ideologii wojny rządu pruskiego, że przy zestawieniu istotnych militarnych sił tych dwóch mocarstw, — Niemiec i Austrii, trudno inaczej, jak marzeniem, myśl tę nazwać, nawet mogącym sprowadzić nieco rychlejszy koniec państwa Austrjacko - Węgierskiego.

I otóż dziś, społeczeństwo polskie w masie już się zorientowało zarówno co do polityki rządów Rosji jak Prus: nie wierzy zarówno ani jednemu, ani drugiemu. Społeczeństwo już dziś się zorientowało, że tylko zupełna polityczna niezależność kraju ojczystego może mu zapewnić warunki dalszego normalnego rozwoju i że tylko hasło walki o taką niezależność usunie rozbieżność zdań i w stanie będzie zespolić naród cały.

Takie hasło podjęły Legjony i tej zasługi im zaprzeczyć trudno; a że są słabe i są pod wpływem tej czy innej orjentacji, sporo winy leży na przywykłym do niewoli społeczeństwie naszym, które przed wojną bało się to hasło głośno wymawiać, a tym samym nie było zdolne poprzeć pracy w tym kierunku.

Jeżeli chcemy, by pod tym hasłem nie Legjony, a cała armja stanęła, jako siła, coś decydować mogąca, musimy dziś zaraz coś w tym kierunku rozpocząć, by nie minęła historyczna chwila. Nie można

czekać, aż pozew z kraju przyleci, boć wiemy, że dziś polacy, jak żydzi tułacze, rozproszeni, rozbici.

Pora rozpocząć, jeżeli nie chcemy, by nam synowie i wnuki rzucili w twarz owe słowa poety: "Miałeś chacie złoty Róg, a pozostał Ci tylko... sznur".

PIERWSZY DZIEŃ OPOWIADANIA.

Pamiętam po raz ostatni byłem na wieczorku u ziemskiego obywatela ziemi kaliskiej, na wsi w trzech milach od Kalisza.

Wprawdzie już Austria owe sławetne swoje "ultimatum" wystosowała do Serbji, ale ogólnie przypuszczano, że podczas ostatniej wojny bałkańskiej były krytyczniejsze chwile, jednak dyplomacja burzę zażegnała, bo, jak sobie opowiadaliśmy, bał się jeden drugiego.

Następnie wiedziano, że z chwilą wybuchu wojny europejskiej mogą zajść zbyt wielkie powikłania natury społeczno - politycznej, wcale nie pożądane dla rządów państw; zatem dyplomacja użyje całego zasobu swej mądrości, by ten konflikt przynajmniej "ad infinitum" odroczyć. To też zwiastuny przed burzą nie mąciły nikomu ani snu, ani spokoju, nie psuły apetytu, ni humoru.

I oto w przededniu wojny bawiono się ochoczo, gdzieś na szczerzej wsi w Kaliskiem.

Po mazurze i kujawiaku zaprosiła pani domu towarzystwo całe do wieczerzy. Zabawiano się wesołą rozmową, projektowano wycieczkę do Gopła,

gdy w tem tak koło godziny 11-tej przed otwartymi oknami jadalni rozległ się doniosły głos "stójki" gminnego.

— Panie dziedzicu, jakiś ważny papier przyszedł z powiatu do gminy; niechaj tam dziedzic idą!

Dziedzic wyszedł w tej chwili, a całe zebrane towarzystwo podświadomie już wiedziało, o co chodzi. Zapanaowało milczenie, wesoły nastrój zniknął natychmiast. Wszyscy z niecierpliwością i niepokojem oczekiwali dziedzica i wieści.

Mniej więcej po kwadransie powrócił z gminy nasz gospodarz i wyrzekł te słowa:

— Wiecie państwo, zabierają mi czternaście koni! Ogłoszona mobilizacja podwód i ludzi na godzinę 10-tą rano do powiatu! A żydzi powiadają, że Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji!

Rozmowa się dalej nie kleiła. Wszyscy odczuli nadejście bardzo poważnej chwili. Na twarzach malował się niepokój i pytanie, co robić.

Goście zaczęli się rozjeżdżać.

Ci, co pozostali, resztę nocy spędzili nad rozwiązywaniem zagadnienia, co to będzie.

Nazajutrz, pojechałem do powiatowego miasteczka. W cichej zazwyczaj mieścinie panował ruch nadzwyczajny. Do naczelnika powiatu przyszło telegraficzne urzędowe zawiadomienie o wypowiedzeniu Rosji wojny przez rząd niemiecki i rozkaz o zarządzeniu mobilizacji, podpisany przez ministra wojny Suchomlinowa.

Rezerwiści powołani do służby czynnej z pewną determinacją siadali na podwoły, które miały ich

zawieść na punkt zborny do Łęczycy. Szosa, wiodąca do Łęczycy, była literalnie zawałona podwodami i pieszymi ludźmi. Był pewien popłoch, ale nie było ani szemrania, ani rozpaczy. Cała ludność przyjmowała nadchodzącą burzę wojny z taką determinacją i z takim poważnym spokojem, jaki się tylko widzi przy żywiołowych klęskach powodzi, trzęsienia ziemi, — przeciwko czemu, człowiek staje bezsilny.

Natomiast władze rosyjskie po ogłoszeniu mobilizacji, wydaniu rozkazu zniszczenia stacji telegraficznej i wyrąbaniu słupów telegraficznych, z nadzwyczajnym pospiechem ładowały kasę miejską i wszelkie dokumenta, oraz swój dobytek i uciekały z miasta, zostawiając na wszelki wypadek dwóch swoich szpiegów i jednego policjanta, którym powierzono jakieś tajemnicze funkcje.

Gwałtowna ucieczka władz rosyjskich trwała od południa w piątek, przez noc, w sobotę, a już w niedzielę rano — ani jednego urzędnika rosyjskiego nie było w mieście.

Dziwny widok przedstawiały gmachy rządowe. Drzwi i okna na rozcież otwarte. Tu i ówdzie leżały stosy nie wziętych papierów i — ani jednej żywej duszy. Kto chciał wchodził, kto chciał wychodził, I tylko tabliczki z orłem rosyjskim i rosyjskimi napisami świadczyły o niedawnej jeszcze gospodarce moskali.

Na ulicach zaległa poważna cisza. Widać było tu i ówdzie grupki rozprawiających obywateli miasta, oczekujących w skupieniu rezultatów narad Komitetu Obywatelskiego, samorzutnie po-

wstałego, na zasadzie przygodnych wyborów w nocy z soboty na niedzielę i już od wczesnej rannej godziny obradującego nad utrzymaniem porządku w mieście i nad odezwą do mieszkańców.

Wszyscy czuli, że nadeszła jakaś nadzwyczaj poważna, historyczna chwila w życiu narodu.

Pierwszy raz od stu przeszło lat swobodnie odechnęła pierś polska!

Pierwszy raz to żyjące pokolenie nie potrzebowało się bać kogokolwiek! Było wprost jakoś dziwnie, bo tak swobodnie, jak nigdy! Było wesoło; było jakoś tak lekko, nadziejnie!

Po raz pierwszy w swym życiu ten przeciętny obywatel miejski, rzemieślnik, łyk miejski przez wypadki dziejowe był wytrącony ze swego szarego powszedniego życia i zmuszony do zastanawiania się i zabierania głosu w sprawach publicznych — to podnosiło jego godność obywatelską.

Każdy też starał pokazać się godnym na swym nowym stanowisku.

Miasto i powiat był odcięty od świata całego.

Telegraf i poczta były nieczynne. Żadnych wiadomości ani z zagranicy, ani z Warszawy.

A tymczasem pokazywały się znaki na ziemi i na niebie.

Z soboty na niedzielę w piękną księżycową noc sierpniową siedziałem na balkonie wiejskiego dworku wraz z całą rodziną mego przyjaciela, u którego w gościnie byłem, kiedy usłyszeliśmy naprzód dość głośny trzask śmigi i ujrzeliśmy w przestworzach,

wynurzające się ponad aleją topoli włoskich olbrzymie cygaro.

Był to pierwszy niemiecki "Zeppelin" w granicach Królestwa Polskiego, kierujący się od Poznania w stronę Warszawy i rozrzucający proklamacje do narodu polskiego.

Był to pierwszy zwiastun wojny.

Nazajutrz włościanie przynieśli do dworu sporo tych proklamacji, na łąkach okolicznych rozrzuconych, prosząc o odczytanie.

Treść tych proklamacji, głosząca bardzo przyjazne uczucia względem polaków i oswobodzenie Polski z pod jarzyna moskiewskiego, jakoś niebardzo przemówiła do rozumu i serca ludu naszego, skoro na zapytanie, co o tym sądzą — odezwały się głosy: "Boć ta niemcom wierzyć można!"

Kilka tych proklamacji złożyłem w jednej z redakcji warszawskich. Mówiono mi w Warszawie, że sądząc z pozółkłego papieru i rodzaju czcionek, dziś nieużywanych, można przypuszczać, że drukowano owe proklamacje — przed 10-ciu, lub 15-tu laty.

Otóż odezwy rządu niemieckiego zarówno w mieście, jak i na wsi przeszły bez szczególnego wrażenia.

Tymczasem w powiatowym mieście Komitet Obywatelski odbywał swe posiedzenia w ratuszu miejscowym trzy razy dziennie. Na tych naradach postanowiono zorganizować z miejscowej straży ogniowej — milicję, która na zmianę dniem i nocą czuwała nad bezpieczeństwem miejskiej ludności.

Dalej, wobec braku gotówki i zniknięcia z obiegu drobnej monety, komitet uchwalił wydrukować na sumę kilku tysięcy rubli "bony" o wartości nominalnej od 2-ch do 50-ciu kopiejek, gwarantowane osobistym majątkiem kilku obywateli z komitetu.

Że bony owe znalazły kredyt wśród ludności wiejskiej i miejskiej, dowodem — nadzwyczaj ożywiony handel dni targowych tych dwu tygodni prawdziwie autonomicznych rządów.

Dalej, komitet rozkazał zamknąć sklepy monopolowe z wódką i wziął w swe ręce zamiejski rządowy skład spirytusu, którego władze rosyjskie w popłochu ucieczki nie zdążyły zniszczyć.

Jako ciekawy objaw lojalności owego komitetu w stosunku do rządu rosyjskiego i niepewności położenia chwilowego, było wydane postanowienie utworzenia oddzielnej kasy dla pieniędzy, zbieranych ze sprzedaży wódki, w celu oddania tych pieniędzy rządowi, skoro ten powróci.

Najwięcej jednak czasu w pierwszych dniach narad Komitetu zajęły spory: po czyjej stronie stanąć, czy też zachować o ile się da, neutralność i zależnie od zdania większości obradujących — ułożyć odpowiednią odezwę do mieszkańców. Jednak odezwa ta nie nosiła wcale charakteru politycznego, a była raczej prośbą, zwróconą do miejscowej ludności o spokojne zachowanie się i stosowanie się do wypracowanych przepisów.

Większość członków komitetu była zlekka po stronie Niemiec, mając na uwadze ich wzorową organizację administracyjną i porządek; dodać trzeba, że po pierwsze, część członków, byli to spol-

szczeni niemcy, a powtóre — niepodległość Polski była dla tych ludzi odległym marzeniem.

Jednak, kiedy jeden z członków owej większości zaproponował przyjąć spodziewanych niemców chlebem i solą, spotkał się z bezwzględny oburzeniem wszystkich członków, jako dający propozycję, uwłaczającą godności narodowej.

Dwaj członkowie Komitetu, miejscowy burmistrz i były pomocnik naczelnika powiatu, — ze względu na niedawne swe urzędowanie, byli rusofilami bez zastrzeżeń. Ci weszli w skład Komitetu wbrew cichemu życzeniu reszty, a jednak sytuacja była jeszcze zbyt niewyraźna, by odważono się na usunięcie tych dwóch członków. Reszta Komitetu składała się z ludzi najinteligietniejszych w mieście, najuczciwszych pod względem poczucia swych obowiązków obywatelskich i godności, jako polaków, ale bądź co bądź niedostatecznie zdecydowanych i nieco trwożliwych. Ci starali się wpłynąć na resztę, by zachować się z godnością bez względu na bieg wypadków: a zatym starać się być neutralnymi i zająć się sprawami miejskiego samorządu.

Jednak wkrótce okazało się, że takie postępowanie jest praktycznie niemożliwym w chwili danej.

Takim był nastrój i układ sił w łonie miejscowego Komitetu Obywatelskiego w pierwszych trzech dniach po ucieczce władz rosyjskich, t. j. w niedzielę, poniedziałek i wtorek.

Tymczasem ludność z dosyć obojętną rezygnacją i pewną ciekawością oczekiwała z godziny na godzinę wejścia wojska niemieckiego.

Od czasu do czasu po całym mieście przebiegała pogłoska, że Niemcy już przeszli granicę i zajęli najbliższe nadgraniczne miasteczko, że są już w pobliskiej wiosce i za kilka minut zjawią się u nas. Ten i ów twierdził, że zdążył zobaczyć żołnierzy już blisko po tamtej stronie rzeki! A Niemców jednak wciąż nie było.

Pogłoski były puszczane tak sobie, dla sprawienia sensacji.

Z inicjatywy miejscowego właściciela księgarni i drukarni powstała myśl założenia pisma.

I oto już w niedzielę po południu było zebranie komitetu redakcyjnego, a w poniedziałek już pojawił się pierwszy numer gazetki "Wieści z K."; gazety w dodatku bez cenzury, która od młodzieńczych lat była aż dotąd nieziszczalnym marzeniem starego już dzisiaj, szanowanego w mieście i okolicy księgarza.

W piśmie owym na naczelnym miejscu wydrukowano "Odezwę Komitetu Obywatelskiego" Artykuł wstępny, niejako od redakcji, był mniej więcej tej treści:

"Władze rosyjskie opuściły nasze miasto. My Rosjan nie wyrzucaliśmy, a sami się usunęli! Żałować nie mamy potrzeby! Pozbyliśmy się jednego pana, stąd nie wynika, by żałownie, z tęsknotą zwracać oczy ku zachodniej stronie, czekać pokornie na przybycie nowego pana.

"Przeszło stuletnia niewola zrobiła swoje. Jesteśmy zdemoralizowani i bezsilni — zarówno materialnie, jak moralnie, byśmy narazie sami o sobie

stanować mogli przy nadchodzących dziejowych wypadkach.

“Wiemy, że wrogowie nasi na naszej skórze zмагаć się będą.

“Wrogowie nasi mogą przemawiać do nas lisa słowami (to było już po pruskich proklamacjach) i mogą łyzy krokodyle ronić nad niedolą naszą!

“Dzieje nam wskazują, że zaufać nie możemy ani jednej, ani drugiej stronie!

“Jedno pozostaje nam do zrobienia — ze spokojem i godnością spotkać nadchodzące wypadki; nie dawać posłuchu prowokacyjnym podszeptom płatnych stronników tego czy innego pana, a umiejętnym ujęciem w swe ręce spraw publicznych miasta pokazać, że się sami rządzić umiemy i nie potrzebujemy gospodarzy czy doradców ni ze Wschodu, ni z Zachodu.

“Tak czy inaczej otuchy pełni patrzmy w przyszłość, bo i dla narodu polskiego otwiera się nowa karta historii, lepsze jutro zwiastująca.”

Dalej, była w gazetce pomieszczona treść proklamacji pruskich z dodatkiem ironicznej uwagi, następowały telegramy, przedrukowane z “Kurjera Warszawskiego”, który w kilkunastu egzemplarzach był przywieziony z Kutna przez jakiegoś rowerzystę i ceniony po 50 kop. za sztukę. W końcu umieszczono wiadomości z miasta i krążące pogłoski, z tym czy innym zastrzeżeniem krytycznym.

W tym mniej więcej niezależnym kierunku, nie wyrzekając się tak zwanych “mrzonek”, były drukowane i następne numery pisma.

Już nie pamiętam w drugim, czy trzecim numerze było zamieszczone ostrzeżenie, że władze rosyjskie pozostawiły dwóch szpiegów, a zamiast nazwisk, podano inicjały (pierwsze litery), i że rząd pruski ma także swoich ludzi pośród mieszkańców.

Duchowieństwo w swych kazaniach wzywało ludność do rozważa i spokoju, a w wyrazach pełnych godności przypominało i przestrzegało, że polacy, nauczeni doświadczeniem, nie zbyt winni być skorzy do wierzenia obietcom, z tej czy innej strony płynącym; pamiętać bowiem należy, że na naszej ziemi walka toczyć się będzie, ale nie dla nas i nie za naszą wolność.

Naturalnie dobrze to było tak mówić o rozważa i spokoju przeciętnemu obywatelowi, mającemu zawsze coś do stracenia, a przez wypadki jeszcze nie wysadzonemu z siodła zwykłego trybu życia, nie wytraconemu i nieodtraconemu od zwykłych swych codziennych zajęć, od swego domu, od swego interesu, od zarobku na kawałek chleba z masłem, lub bez masła; — tak rozumowała młodzież nasza; a jednak, gdy największa z wojen światowych będzie się odbywać na naszej ziemi, gdy setki tysięcy rekruta ludność polska będzie zmuszona dawać to tej, to innej stronie walczących, kiedy dosłownie brat przeciw bratu stanie, a na miejscu naszych wiosek i miasteczek będą gołe kominy, jako świadectwo zniszczenia, kiedy późniwne zbiory będą przez wojska zarekwirowane, a zasiewy zniszczone, kiedy kmiołek nasz nie rozpozna ani miejsca, gdzie stała cha-

łupa i gdzie jest w pocie czoła orana ziemia jego, — trudno będzie mówić o rozwadze, spokoju, o neutralności...

Ludzie, oszołomieni wypadkami, rzucają się z jednej w drugą stronę, jak owo ptactwo borów naszych, które pozbawione swych gwiazd, wystraszone bezustannym hukiem wystrzałów armatnich i rozrywających się szrapneli, świstem kul karabinowych i suchym trzaskiem kulomiotów, wylęknione ciągle łamiącymi się gałęzmi i w drzazgi lecącymi drzewami, niby opętane i ślepe, główkami uderza o sterczące wysokie pnie drzew, wichurą wojenną zniszczonych i... setkami ginie.

Cicho dziś w lasach, nie świergoce ptactwo więcej.

Pamiętam, przejeżdżałem rankiem przez las taki...

I młodzież miała słusność. Dziś u nas w kraju mało już takich, którzy mają jeszcze coś do stracenia, prócz życia.

A życie to tracić na usługach walczących z sobą wrogów naszych, nie za wolność swoją, nie za wolność swego ojczystego kraju, jest to dobrowolnie wykreślać się z grona żyjących narodów, jest to popełniać dobrowolnie masowe samobójstwo i wyrzec się ziemi ojców na korzyść kolonistów - wrogów.

I oto nim ostatnia podwoda z rosyjskimi urzędnikami była za roгатką miejską, miejscowa młodzież, złożona z przebywających w mieście i okolicy na wakacyjnych wywczasach uczniów szkół średnich Królestwa i Galicji, oraz młodzieży rze-

mieślniczej, odbywała już swe zebrania w różnych częściach miasta.

Zbieg okoliczności zrządził, że w tych stronach bawili również — jeden z pierwszych sokołów Sokolstwa Krakowskiego, człowiek około lat 60-ciu, i jeden z uczestników wypadków 1905 roku, a nieco bliżej stojący organizacji strzeleckich Galicji. Ci — wraz z jednym z poważniejszych miejscowych inteligentów zbliżyli się do młodzieży, usunęli powstałą w łonie młodzieży pewną rozbieżność zdań i podali myśl stworzenia organizacji skautowej.

Jednak młodzież się paliła.

— My chcemy czynu, a wy dajecie nam dobrą może zabawkę, ale zabawkę! — mówiło wielu.

Trzeba było tłumaczyć, że czyn mieć będą, jednak nie można zgodzić się na to, by byli zwykłym tylko mięsem armatnim; żeby zaś zostać żołnierzem, pełnym inicjatywy własnej i pomysłowości, należy przejść kurs skautowy, który zresztą może być więcej dostosowanym do danych okoliczności — to raz, powtóre nazwa "skaut" choć jeszcze nie bardzo spopularyzowana na prowincji, w Królestwie, jednak już jest cokolwiek znana i nie będzie przstraszała obywateli miejscowych, tym samym pozwoli na jawne prowadzenie ćwiczeń, a nawet, gdyby Niemcy wleźli, przypuszczać należy, że skaut, jako organizacja im znana, będzie się rozwijać dalej. Wreszcie pod nazwą skauta łatwiej będzie powołać do życia podobne organizacje poprzez szereg powiatów, wzdłuż całego pogranicza pruskiego i tą drogą móc się zetknąć, wejść w porozumienie, z jakąś silniejszą organizacją w Krakowskiem, a prze-

dewszystkim dostać broń, bo przecież bez wątpienia w takiej ważnej dla narodu polskiego chwili coś powstać musiało w Galicji z tych wszelkich sokolskich i strzeleckich drużyn; więc właśnie dlatego pierwszym zadaniem skauta, prócz ćwiczeń, ma być możliwie szybkie przywrócenie komunikacji z Krakowem i Warszawą.

To chłopcom trafiło do przekonania. A ponieważ było pomiędzy nimi kilku wyrobionych skautów, ci, jako instruktorzy, już dnia następnego rozpoczęli ćwiczenia. Była wyznaczona kwatera główna i warty, które zmieniały się co dwie godziny zarówno dniem, jak nocą; wysłano wywiady w różne strony, przerzucono agitację na wieś i do sąsiedniego powiatu; a pismo miejscowe zrobiło sympatyczną wzmiankę o powstaniu organizacji skautowskiej.

Co się tyczy żydów, ci zachowywali się zupełnie poprawnie. Nieproszeni — stali w milczeniu na boku, lecz skoro zaproszono ich do współdziałania w pracy, chętnie śpieszyli z radą, z pracą i pieniędzmi. Naturalnie ich współdziałanie w pracy dotyczyło głównie zadania przychodzenia z pomocą biednym.

Co do ludności wiejskiej, to tam szło gorzej, oporniej.

Naturalnie we wszystkich gminach powiatu odbyły się zebrania gminne: sprawa przyjmowania kwitów miejskich zamiast pieniędzy przeszła względnie łatwo, sprawa zorganizowania milicji wiejskiej szła bardzo opornie.

— Niechta kuźden sam sobie pilnuje swojej chudoby i chałupy — mówiono.

Równie ciężko się przedstawiała sprawa dania pomocy przy żniwie tym kobietom, których mężowie, jako rezerwiści, byli powołani do wojska; jednak w końcu przystali i na zorganizowanie milicji, i na pomoc rezerwistkom.

Tu i ówdzie wszczęto rozmowę o płaceniu podatków na opędzenie potrzeb gminy, a przede wszystkim na opłacenie nauczycieli i nauczycielek ludowych przy rozpoczynającym się roku szkolnym: o tym nawet słuchać nie chciano!

Odbywały się również zebrania obywatelskie po dworach. Przez kooptację jeden z obywateli ziemskich wszedł, jako członek, w skład Komitetu Obywatelskiego powiatowego miasta. Starano się wytworzyć jednolitość działania w powiecie całym.

Tymczasem już we wtorek rano dochodziły nas głuche, a coraz bardziej niepokojące wieści z Kalisza.

W piątek było wypowiedzenie wojny. Władze rosyjskie pospiesznie z Kalisza uciekły; również ustąpił z miasta pułk dragonów, przebywający dotąd stale w Kaliszu.

Tam również samorzutnie powstał Komitet Obywatelski z prezydentem miasta Bukowińskim na czele; również była wydana odezwa do mieszkańców, zorganizowana milicja miejska i wydane "bony", mające znaczenie monety, gdyż i tam, szczególnie drobna moneta skryła się.

Dalsze zarządzenia i praca Komitetu były wstrzymane nadejściem Niemców.

.

DRUGI DZIEŃ OPOWIADANIA.

W niedzielę po południu wkroczył do Kalisza oddział wojska niemieckiego z osławionym majorem Preuskerem na czele, liczący podobno około 200 ludzi.

Większość ludzi zachowała się z rezerwą, jednak tu i ówdzie przyjmowano Niemców gościnnie, z wyrazem niekłamanej sympatji, a nawet za daleko posuwano się w przejawach swych uczuć.

Preusker wraz ze swym sztabem stanął w jednym z hoteli miejscowych. Zawezwał do siebie prezydenta miasta, z którym się obszedł brutalnie, ze zwykłą sobie butą pruską.

Od tej chwili zarząd miasta przeszedł w jego ręce.

Niemcy zażądali od kasjera gubernialnego, jednego z niewielu urzędników rosyjskich, pozostałych w mieście, kluczy od kasy gubernialnej, której rosyjskie władze nie zdążyły z sobą zabrać. Urzędnik ów nazwiskiem Sokołów, kluczy dać nie chciał: aresztowano go i natychmiast rozstrzelano.

To był początek,

Następowały rozporządzenia, podpisane przez pana majora, jak ludność winna się zachować: po godzinie 8-mej wieczorem nikomu bez zezwolenia władzy nie wolno było wychodzić na ulicę, podejrzanych o sprzyjanie władzom rosyjskim aresztowano. Pan major ciągle się rzucał i wymawiał komitetowi, że ludność zachowuje się nie dosyć wdzięcznie względem cesarza niemieckiego, który polaków uwalnia z pod jarzma moskiewskiego.

Poczynano sobie z miastem i ludnością, jak z twierdzą zdobytą, oddającą się na łaskę zwycięzcy.

Tu i ówdzie zdarzały się przykre zajścia mieszkańców, a głównie — mieszkańek miasta z żołdactwem pruskim...

Jakoś smutnie, trwożnie, choć względnie spokojnie przeszedł poniedziałek i wtorek.

Nagle we wtorek wieczorem mieszkańcy zostali mocno wystraszeni to tu, to tam, z początku zrzadka powtarzającymi się salwami karabinowymi.

Ten i ów wybiegł na ulicę, chcąc się dowiedzieć, co się stało, ale prędej jeszcze wracał do domu, lub — — nie powrócił już nigdy. Salwy stawały się coraz częstsze, wreszcie rozpoczęła się formalna kanonada.

Tu i ówdzie ozwał się jęk, tu i ówdzie brzęk rozbijanych szyb, kule wpadały przez okna do domów. Mieszkańcy bali się zbliżyć do okien, na czworakach popod ścianami schodzili na niższe piętra, aż do piwnic.

Strzelanina nie ustawała. Od czasu do czasu grad kul przeleciał złowrogo po blaszanych dachach kamienic. Aż tu po północy szyby wszystkie się za-

trzęsły: — usłyszano pierwszy głuchy huk armatni, który w pewnych odstępach czasu powtarzał się do godziny 4-tej rano.

Potym nagle zrobiła się zupełna cisza.

Nikt w Kaliszu tej nocy nie spał. Zresztą nie spali tam ludziska i szereg nocy następnych. . .

Jakaż była przyczyna bombardowania?

Niemcy twierdzili, że była prowokacja, że mieszkańcy mieli jakoby strzelać do żołnierzy niemieckich.

Mieszkańcy jednogłośnie zaprzeczali temu.

Ja wtedy w Kaliszu nie byłem, powtarzam więc, co mi naoczni świadkowie tych wypadków opowiadali, a poznałem i widziałem ich wielu: byli to i starsi i młodszy, niewiasty i mężczyźni, chrześcijanie i żydzi, doktorzy, adwokaci, kupcy, aptekarze, rzemieślnicy.

Zresztą kaliskie wypadki były już kilkakrotnie przez naocznych świadków opisane, ciekawym więc szczegółów należałoby wskazać choćby drukowane jeszcze jesienią roku zeszłego w pismach warszawskich rewelacje prezydenta m. Kalisza p. Bukowińskiego.

Otóż rzecz się podobno tak miała: Rezerwiści, powołani do służby czynnej przez rząd rosyjski, w dniu mobilizacji udali się do Łęczycy, na tak zwany punkt zborny. Tam "wojski" naczelnik miał ich zapisać i wysłać do odpowiednich części wojsk. Tymczasem naczelnik ów czmychnął, a chłopstwo moje, czekające "na ten przykład po próżnicy" jeden dzień i drugi, na spiekocie i o głodzie, uradziło:

— Kiej niema nas kto brać, to pójdziewa do dom!

Ta splunęli i wracali.

I właśnie w ten nieszczęsny wieczór wtorkowy rezerwiści z Kalisza i najbliższych okolic byli już na szosie blisko Kalisza, a skracali sobie czas do-
nośnym śpiewem, nic nie wiedząc, co podczas ich nieobecności w Kaliszu zaszło.

Preusker zaś, podszyty dobrze tchórzem, obawiając się ciągle podjazdów kozackich i jakiegoś podstępu, kiedy mu doniesiono o jakimś zbliżającym się szosą w stronę miasta tłumie, wysłał patrol, by języka zasięgnąć. Patrol ten wyjaśnił sobie rzecz całą i najspokojniej wracał.

Trzeba nieszczęścia, że wyjechał inną ulicą, a inną wracał i natknął się na drugi patrol, który — nie rozpoznawszy w ciemności swoich i nie przypuszczając, że w tej stronie swoich spotkać może, bez uprzedniego ostrzeżenia i wyświetlenia sprawy, otrzymawszy rozkaz od przelęknionego oficerka “Feuer” — wystrzelił.

Ktoś z ludzi pierwszego patrolu spadł z konia. W odpowiedzi nastąpił także rozkaz “Feuer”; w rezultacie: brak należytej dyspozycji, ciemność nocy, lęk wzajemny, brak orientacji — nieporozumienie, kilka trupów żołnierzy niemieckich, chęć zatarcia swej winy, a przytym kraj zdobyty, pruska buta, więc — mieszkańcy winni. . .

— Do żołnierzy strzelali, należy ich surowo ukarać; strzelać do mieszkańców!

I choć lekarz szpitala udowodnił, że kule, znalezione w ranach żołnierzy, są to kule nie-

mieckich karabinów, doktor gdzieś przepadł, jak kamień w wodę, a miasto zbombardowano!

Nazajutrz ogłoszono stan wojenny. Nałożono kontrybucję 75,000 rb. Wzięto kilkunastu obywateli, jako zakładników. Miano ich rozstrzelać. Już ustawiono ich w rząd, już celowano do nich. A żołnierze niemieccy, polacy z Poznańskiego, po cichu do nich mówili:

— Nie bójta się, tylko róbta, co szwaby każą!

Kazano im się kłąć, potym wstawać. Jeden z obywateli miasta niejaki Frenkiel, jak się położył, już nie wstał — umarł na udar sercowy. Za dużo było dla niego szykan niemieckich.

W momencie strasznym oczekiwania śmierci — nagle usłyszeli ci nawpół obłąkani ludzie o jakoby przysłej depeszy od cesarza o ich ułaskawieniu.

Preusker się wściekał, że zakładnicy nie wyrażają ani skruchy, ani wdzięczności.

Frenkla pochowano tak gdzieś po cichu, że żona nie mogła doprosić się, by pokazali choć miejsce, gdzie spoczywają zwłoki jej męża. — Zakładników wywieziono do Poznania, potym ich ułaskawiono...

Mieszkańcy wszyscy pochowali się do piwnic, w których przebywali 5 dni: tam spali, tam gotowali, tam spędzali dni całe.

Zwykle rano od szóstej do dziesiątej godziny — strzelanina ustawała, aby dać możność mieszkańcom porobić zakupy żywności, a potym się ponawiała i trwała przez cały dzień i noc.

Z powodu tego ciągłego bombardowania dużo domów zostało zniszczonych, jeden z kościołów i cerkiew poważnie uszkodzono, magistrat spa-

lono; park kaliski, jeden z ładniejszych w kraju, zupełnie zniszczony, a liczbę ofiar w ludziach podają wyżej 200 osób zabitych, sporo rannych.

Poszczególne epizody znęcania się nad mieszkańcami, opowiadane ze wszystkich stron, są tak grozą przejmujące, że krew się w żyłach ścina, pięści się zaciskają, iza oko rosi. . .

Ludzie, którzy to wszystko przeżyli, trzęsą się, jak w febrze, opowiadając swe przeżycia, innym włos posiwiął w ciągu dni paru; widziałem takich, którzy przenieść wszystkiego tego już nie zdołali i — dostali obłędu. . .

— *A la guerre, comme a la guerre* — mówi ten i ów.

Poznałem błaznów takich, nieszczęsne kaleki mózgowy, którzy, od natury pozbawieni zmysłu moralnego, wyłażą jak płazy na szerszą arenę życia społecznego i bronią bezceństw i gwałtów pruskich z miną nauczonej papugi: *“a la guerre, comme a la guerre”* (na wojnie, jak na wojnie).

W sobotę t. j. po pięciu dniach, spędzonych w piwnicach, rozniosła się pogłoska, nieprawdziwa zresztą, że Niemcy będą wyciągać mężczyzn z piwnic i co dziesiątego skazywać na rozstrzelanie.

To wywołało taki popłoch wśród mieszkańców, że z narażeniem się na utratę życia, tak jak stali—ludzie pocichutku zaczęli uciekać z miasta, zostawiając wszystko na pastwę losu, byleby tylko ujść z życiem. Uciekano do pobliskich wsi, miasteczek, w stronę Warszawy, gdzie kto mógł.

Tymczasem rządy pana Preuskera złagodniały. Uznano widać w miarodajnych sferach, że takim

postępowaniem nie można zyskać sobie sympatji narodu, na ziemiach którego ma się walka toczyć.

Bo też “zdobycie Kalisza” wywołało żywe oburzenie całego kulturalnego świata, a naród polski długo zachowa w pamięci swych oprawców, wbrew życzeniom i wskazaniom wyższej polityki.

Wreszcie pozwolono otwarcie wyjeżdżać mieszkańcom Kalisza. I pociągnęły wozy z uciekinierami w różne strony: — do Kutna, w stronę Warszawy, do sąsiednich i dalszych miast i wsi całej gubernji. W okolicy, w której znajdowałem się wówczas, chłopskie chałupy, oficyny dworskie, nawet śpichrze i stodoły były pozajmowane przez uciekinierów, dla których nie starczyło mieszkań w sąsiednim mieście. I oto z przeszło stotysięcznej ludności Kalisza — pozostało w mieście zaledwie kilka tysięcy mieszkańców; reszta się rozpiezchła.

Prawda — w końcu września władze niemieckie ogłaszały, że ci, co uciekli z Kalisza — mogą przyjechać i zabrać swe rzeczy. Być może, że ci, którzy schronili się do pobliskich miast, lub wsi, skorzystali z pozwolenia, jednak bardzo było dużo Kaliszan w Warszawie, którzy dali za wygranę.

Wkrótce w Kaliszu skonfiskowano pozostawione przez uciekinierów rzeczy i sprzedano je kupcom, przybyłym z Prus na publicznej licytacji.

Takie były pokrótce dzieje Kalisza!

Tymczasem w kilku milach na północ od Kalisza, w powiecie, gdzie bawiłem i sąsiednich — ko-

rzystaliśmy jeszcze z pełnej autonomji w ciągu niemal dwóch tygodni.

We wtorek, jak już wzmiankowałem, dowiedzieliśmy się o zajęciu Kalisza przez Niemców, a w środę popołudniu o bombardowaniu miasta i znęcaniu się nad mieszkańcami.

W czwartek pod wieczór zjechał i do nas podjazd niemiecki, złożony z 12-tu ludzi.

Niemiecki porucznik, jakiś pan von Lobevitz, wszedł do magistratu, zalecił komitetowi czuwać nad bezpieczeństwem miasta, mówił, że oni nie wojują ze spokojnymi mieszkańcami, lecz z rosyjskim wojskiem.

Jednak na zapytanie jednego z komitetowych, jak pogodzić z sobą słowa jego i przyjazne słowa proklamacji rządu pruskiego z wiadomościami, jakie nadchodzą o postępowaniu majora Preuske-ra ze spokojną ludnością miasta Kalisza, pan Lobevitz się zachnął, zmienił ton mowy, brutalnie krzyknął, że to nie rzecz mieszkańców wtrącać się do rozporządzeń władz wojskowych. Kazał zniszczyć telefon miejski, zapowiedział rychłe nadejście 20-tysięcznego oddziału niemieckiego, kazał sobie i swoim żołnierzom podać piwa i... odjechał.

Jednak jeszcze w ciągu dni 10-ciu nie było wi-dać nietylko zapowiedzianego, ale wogóle najmniejszego oddziału niemieckiego.

Był względny spokój, była cisza, komitet obywatelski sprawami miasta kierował, skauci się ćwiczyli.

Skąpe wieści z Kalisza były wprawdzie coraz więcej ponure, jednak wciąż z zastrzeżeniem je

przyjmowano, bo nie spodziewano się podobnych gwałtów ze strony tak zwanych kulturalnych Niemców.

Akcje Niemców w sympatjach ludności spadły.

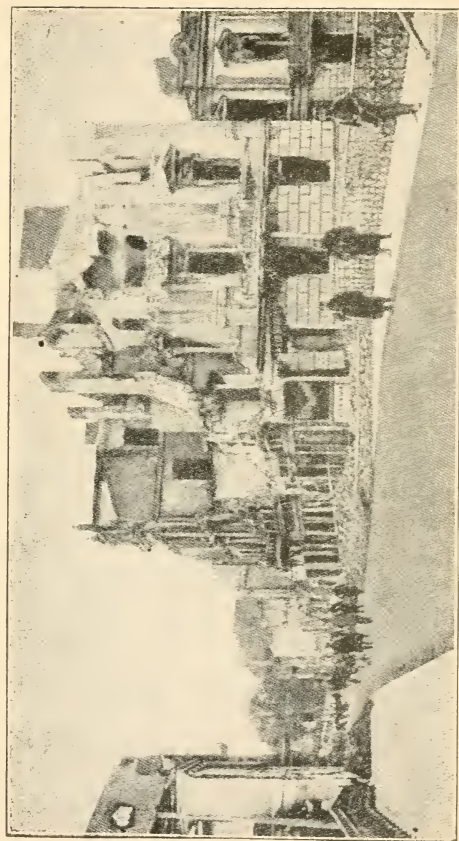
Na chwilę uwaga miasta i bliższej nadwarciańskiej okolicy była skierowana w inną stronę.

Oto skautom naszym wydało się podejrzanym postępowanie dwóch pozostałych szpiegów moskiewskich i policjanta, który naturalnie przy zmienionych okolicznościach chodził już ubrany po cywilnemu. Po północy z czwartku na piątek (w tydzień po wypowiedzeniu wojny) nocny dozór skautów (patrol nocny) spostrzegł przemykających się bocznymi uliczkami jednego ze szpiegów i policjanta, niosącego spory worek na plecach.

Dążyli w stronę mostu na Warcie; przeszli most i spuścili się boczną steczką pod wiązania mostowe. Tam zaczęli już pracę, by ów worek podciągnąć w górę jednego z wiązań, gdy nagle obok nich wyłoniły się z ciemności dwie sylwetki skautów i znikły; potym sylwetki ludzkie ukazały się znów z innej strony i znowu znikły.

To wystarczyło. Widocznie przypuszczano, że osób śledzących jest kilka.

Wkrótce szpieg pokazał się na moście i poszedł w kierunku miasta, a policjant z workiem na plecach szedł teraz brzegiem, w górę rzeki do najbliższej wioski. Przechodził przez nadbrzeżne krzaki wikliny, a ukryci w nich skauci, zbliżywszy się do niego, dotykami określili zawar-



RUINY KALISZA.

tość worka — były to sześciokątne cegiełki wielkości małego podstawka, grubości 3 centymetrów. Niosący worek — spostrzegł ich i przyśpieszył kroku. Nie padło ani jedno słowo!

Po półgodzinnej drodze wzdłuż brzegu, policjant usiadł na urwistym brzegu rzeki, rozglądał się dokoła, nie widząc jednak nikogo, wstał i poszedł dalej; cicho minął wioskę i szedł jeszcze z godzinę wciąż w górę rzeki.

Już zaczęło zlekka świtać. Wreszcie widzieli skauci, jak policjant wszedł kilka kroków do wody, rzucił daleko od siebie worek na środek rzeki i dość szybko wracał poprzez łąki na drogę, prowadzącą od wioski do miasta.

Skauci nasi powrócili wtedy brzegiem, i w swej głównej kwaterze zdali raport. Szpiegów więcej nie widziano.

Nazajutrz, w piątek, był dzień targowy w mieście i żydowska ludność szczerze zadowolona była, mogąc bajecznie tanio, jak nigdy, nabywać na szabas ryby. Wartą płynęła w dużych ilościach śnięta ryba; koszykami wyławiano ją i przynoszono na targ. Lekarze miejscowi i weterynarz po zbadaniu orzekli, że można jeść owe ryby: istotnie wypadku śmierci lub choroby nie było.

Owe cegiełki sześciokątne były to tak zwane "szaszki" pyroksylinowe, jakich używa kawalerja do niszczenia spojeń szyn dróg kolejowych, do wysadzania zwrotnic, do wysadzania przęseł mostowych.

Szpiedzy rosyjscy mieli sobie powierzone zadanie wysadzenia w powietrze mostu na Warcie, skauci im przeszkodzili, rzucono pyroksylinę (ba-

wełnę strzelniczą) do rzeki i zatruto masę ryb. Trzy dni jeszcze płynęła ryba śnięta.

Tymczasem — już w piątek i przez całą noc i dzień, w sobotę i niedzielę zjeżdżały fury uciekinierów z Kalisza. Wystraszeni, zmęczeni przejściami, zniszczeni w swym dobytku, opowiadali rzeczy straszne.

Jednocześnie przywieziono znowu z Kutna sporo egzemplarzy “Kurjera Warszawskiego” i innych pism warszawskich z odezwą głównodowodzącego wojsk rosyjskich do Polaków.

Tworzył się przełom w opinii ludności miejscowej. Wczorajsi jeszcze zwolennicy rządów niemieckich, stawali dziś po stronie Rosji. W gazetce miejscowej podano przedruk odezwy z krytyczną uwagą, że pierwszym krokiem, w myśl tej odezwy, powinno być nadanie autonomji Królestwu Polskiemu.

Zdaje się jednak, że sympatje dla Rosji wzrastały więcej dzięki strachowi przed Niemcami, aniżeli dzięki obietnicom, w odezwie podanym. —

Tylko skauci stali na stanowisku nieprzejednanym.

Masa uciekinierów, przybyłych do miasta, siłą rzeczy zmuszała Komitet Obywatelski do zajęcia się w pierwszej linji sprawami gospodarczymi miasta, do zaopiekowania się przybyłą, nieszczęsną, biedną ludnością: utworzono darmowe i tanie jałdłodajnie, starano się o znalezienie pomieszczenia dla wciąż przybywających uciekinierów, obradowano nad powzięciem jakichś robót publicznych.

Tak pracowano zrazu rażno i ochoczo; lecz już w końcu drugiego tygodnia zapał mijał, gdyż wiadziano, że Niemcy wreszcie wejdą i po swojemu rządzić poczną.

Już dochodziły nas wieści, że Niemcy zajęli Włocławek, że była niewielka utarczka pod Kutnem, w której zginęło dwóch żołnierzy niemieckich. Z drugiej strony Niemcy posunęli się od Kalisza ku Sieradzowi i zniszczyli w kilku miejscach tor kolejowy. Wojska więc niemieckie posuwały się zwolna wzdłuż linii kolejowych z jednej strony od Aleksandrowa ku Warszawie, a z drugiej strony od Kalisza ku Łodzi; tylko część Kujaw i Ziemi Kaliskiej, znajdująca się między tymi dwoma torami kolejowymi chwilowo pozostawała w spokoju.

Pewnego dnia rozeszła się pogłoska, że Niemcy w sąsiednim nadgranicznym mieście powiatowym biorą młodzież do wojska. Pogłoska ta, mało zresztą prawdopodobna, nie była stwierdzona i według wieści późniejszych, przesyłano młodzież na zachodni front, do robót pomocniczych dla wojsk; tak, czy inaczej, dowiemy się ścisłych szczegółów dopiero po wojnie.

Młodzież nasza urządziła swoje wywiady w tym względzie, które jakoby miały wypaść potwierdzająco. Zwołano dwukrotnie zebrania: młodzież pogłoskę brała za fakt i postanowiła przy nadejściu większego oddziału niemieckiego zbiedz do Warszawy, bo choć robota skautowa robiła pewne postępy w pośród młodzieży pobliskich wiosek, jednak o przerzuceniu się poza Kalisz i o znalezieniu zetknięcia się z organizacjami w Galicji, trudno było my-

śleć. A przedewszystkim w Warszawie młodzież sądziła znaleźć szersze pole do pracy i wyładowania swej energii.

Zlekka były robione pewne perswazje, ale właściwie nikt nie chciał brać na siebie odpowiedzialności w zatrzymywaniu młodzieży. To też, gdy w niedzielę rano zbliżył się oddział niemiecki, młodzież nasza grupkami wymknęła się z miasta i udała się do Warszawy.

Jakkolwiek podjazd kawalerji niemieckiej składał się z podtatusiałych już jegomościów, którym niejednokrotnie milicjanci, utworzeni z miejscowej straży ogniowej, musieli pomagać wsiadać na koń, jednak liczebnie oddział ten przedstawiał się pokaznie i wzorowo był umundurowany. W wysokich poza kolana butach koloru żółtego, w mundurach koloru "khaki", w ułańskich czako, obciążniętych płótnem tegoż ochronnego koloru, z małymi karabinkami w ręku, gotowymi do strzału, jeźdźcy niemieccy, na wspaniałych i dobrze utrzymanych koniach, zwolna wkraczali trójkami do miasta, powoli rozpraszając się po wszystkich uliczkach, gdy tymczasem oficer, komenderujący całym oddziałem, wraz ze świtą udał się niezwłocznie do magistratu.

W pół godziny całe miasto było zajęte stosunkowo niewielkim oddziałem, bo nie więcej nad pięćdziesiąt koni liczącym; jednak ładnie wykonany ruch taktyczny rozproszenia wywołał takie wrażenie, że ludziom się w oczach troiło: wszyscy żołnierzy niemieckich widzieli i myślano, że co najmniej dwustu żołnierzy ów oddział liczy.

Władzę w mieście objęli Prusacy, którzy tym razem zachowywali się bezwzględnie. Rozkazano

mieszkańcom składać do magistratu broń, grożąc nie stosującym się do rozkazów rozstrzelaniem. Zarekwirowano zamiejski skład spirytusu, gdzie było towaru na 300 tysięcy rubli, składając wszelką odpowiedzialność na komitet obywatelski. Rozpytywano o oddziały wojsk rosyjskich, — kazano sobie dać jeść i pić. Wieczorem cały oddział w powrotną wyruszył drogę.

Następnego dnia oficerowie niemieccy kilkoma automobilami przejechali przez miasto, kierując się w stronę Kutna, i już od tej chwili niemieckie oddziały liczniejsze, lub mniej liczne codziennie odwiedzały nas. Komitet zaś Obywatelski był już tylko wykonawcą rozporządzeń oficerów pruskich.

W parę dni potem wyjechałem.

Co dalej się tam działo, wiem od członków Komitetu Obywatelskiego, którzy w połowie września uciekli do Warszawy. — Prusacy zabrali wszystkie automobile, było ich zresztą cztery czy pięć w całej okolicy: dalej zabierali w mieście mąkę, kaszę, mięso i kozuchy; po wsiach młócili zboże i ziarno wywozili za granicę, a swym brutalnym i bezwzględny zachowaniem się terroryzowali ludność.

W pierwszych dniach września przybyły w tamte strony liczniejsze oddziały kozaków i dragonów rosyjskich, wypędziły Niemców z miasta, spaliły most na Warcie, urządziły z worków z piaskiem barykady na brzegu rzeki i ze zmiennym szczęściem prowadziły utarczki z oddziałami niemieckimi, znajdującymi się po drugiej stronie rzeki. Chwilowe te rządy wojska rosyjskiego w ciągu dni dziesięciu zaznaczyły się w stosunku do

miejscowej ludności tem, że powieszono jednego z członków komitetu za sprzyjanie Niemcom, surowe napomnienie dano innym; również zagrożono wieszaniem ludności żydowskiej.

Wszystko to w tym czasie było jeszcze conajmniej zbyteczne, gdyż ludność bała się więcej Prusaków i dzięki temu przychylniej usposobioną była względem Rosjan.

Wreszcie w połowie września nadeszły Niemcom posiłki. Rosjanie zostali wyrzuceni z miasta i okolicy.

Później w krótkim okresie czasu załamania się ofensywy niemieckiej pod Warszawą, w drugiej połowie października, raz jeszcze lotny oddział dragonów odwiedził tę okolicę Kaliskiego, ale zaledwie na godzin kilka.

Od tego czasu aż po dzień dzisiejszy całe Kaliskie znajduje się w rękach Niemców.

TRZECI DZIEŃ OPOWIADANIA.

Jak już wzmiankowałem wyżej, 15-go sierpnia, było to w sobotę, o godzinie 5-ej rano, wyjechałem końmi do Łodzi. Jakkolwiek był to dzień świąteczny i w zwykłym czasie byłby spory ruch na drogach ludzi, idących lub jadących ze wsi do miast sąsiednich to do kościoła, to do krewnych i znajomych — dziś wszystko siedziało w domach, w jakimś trwożnem oczekiwaniu. Przejeżdżałem sporą połąć kraju, zrzadka spotykając kogokolwiek po drodze.

Był piękny dzień. Żniwa były na ukończeniu.

Na bocznych drogach panowała uroczysta cisza, nic nie świadczyło o jakiejś nadchodzącej burzy, skoro jednak zjeżdżaliśmy na szosę, uderzał nas widok powalonych słupów telegraficznych, pozrywanych i poskręcanych telegraficznych drutów. Rozumieliśmy, że tak być musi, a jednak trudno się było oprzeć myśli, że widać nadchodzi chwila, kiedy zbytecznym i niepotrzebnym się staje jakkolwiekbyż przejaw twórczy ducha ludzkiego, ludzkiej kultury, o ile ta nie służy dziełu zniszczenia.

Po wsiach i miastach spotykanych, ludzie wychodzili przed swoje domostwa, posłyszawszy tur-

kot zbliżającej się bryczki, rozpytywali z trwogą, gdzie są Prusacy i jak się zachowują. Wszyscy już wiedzieli o smutnej historii Kalisza od uciekinierów, których wszędzie po drodze sporo spotykałem, mieszkających teraz tu i ówdzie u swoich dalekich i bliskich krewnych, lub znajomych. Pytano nas, skąd i dokąd jedziemy, czy nie wiemy co się dzieje na świecie, co słyhać w Warszawie. Wszędzie wiedziano o pruskich proklamacjach, o Kaliszu, gdzienigdzie nie wiedziano jeszcze o rosyjskiej odezwie do Polaków. Wszędzie samorzutnie powstawały komitety obywatelskie, organizowano milicję, puszczano w obieg "bony" w braku monety drobnej i tworzone darmowe jadłodajnie dla biednych kaliskich uciekinierów.

Przyznać należy, że żydzi pomoc tę organizowali składniej, szybciej, a przede wszystkim delikatniej i... więcej po chrześcijańsku. Chcę przez to powiedzieć, że nikt się z nich nie usuwał z pomocą i dawano tę pomoc bez tych cierpkich i gorzkich słów wymówek, które nie jedną cichą łzę wycisnęły z oczu nieszczęśliwych zbiegów. Pomoc dawano bez szemrania, bez rozgłośnego chwalenia się: ot tak zwyczajnie, przez poczucie solidarności społecznej: co dziś ciebie spotkało, jutro mnie spotkać może.

Tego się nie da powiedzieć, niestety, o naszej chrześcijańskiej współbraci.

Wszędzie nas spotykano z niekłamanem zdziwieniem, że odważyliśmy się na taką długą drogę, w tak niepewnym i niespokojnym czasie. W ten sposób przejechaliśmy Tuliszków, Turek, Dobrą, miasto Wartę, Sieradz i liczne wioski.

Wszędzie po drodze spotykaliśmy się z wyraźnym antyniemieckim nastrojem ludności, o tyle tylko przychylnie usposobionej dla Rosji, o ile w niej widziano jeszcze siłę, mogącą wyrzucić Prusaków z kraju.

Między miastem Wartą a Sieradzem spotkaliśmy bryczkę, a w niej łódzkiego roznosiela gazet, który na swoją rękę zakupił dużą ilość pism łódzkich i rozwoził je nawet do odległych miejscowości. Złaknieni nowin, kupiliśmy kilka gazet, płacąc po 10 kopiejek za egzemplarz. Uważaliśmy owego pana za dobrodzieja, a zapłacilibyśmy i rubla, gdyby tego zażądał.

Gazety donosiły o zwyciężkach bitwach Niemców w Belgji i Francji.

Pod wieczór już blisko Sieradza, wjechaliśmy na szosę, idącą równoległe z torem kolejowym. Dziwnem było patrzeć na porzucone tu i ówdzie na torze wagony towarowe, osobowe. Przejeżdżamy obok dworca kolejowego. Główne drzwi wejściowe napół otwarte. Bufet z resztą towaru, i cała zastawa na ladzie, zasuszone palmy na stołach — nietknięte. Na pierwszym piętrze, zapewne w mieszkaniu naczelnika stacji, firanki w oknach i doniczki z kwiatami. Ale nigdzie ani jednej żywej duszy. Jakby wszystko nagle wymarło. Tylko wiaterek cichy zlekka kołysał jedną połowę uchylonego okna, a zachodzące słońce odbijało swą czerwień promieni w dużych szybach drzwi wejściowych.

Tutaj byli już Prusacy, stąd ludzie już uciekli.

Wreszcie wjeżdżamy do Sieradza. Ładne i schludne miasteczko, jedno z historycznych i najstarszych w Królestwie, na wyniosłym dość stromym

brzegu Warty położone, z przepięknym widokiem na rozległe błonia i wioski po tamtej stronie rzeki — przedstawiało widok niecodzienny. Żywy ruch na ulicach: częste i gęste grupy ludzi rozprawiających; jeszcze ciągle ludność zostaje pod wrażeniem niedawnych przejść.

Opowiadano nam o ucieczce władz rosyjskich miejscowych i przejeździe zbiegłych władz z Kalisza. Opowiadano o wysadzeniu w powietrze mostu kolejowego, spaleniu mostu drewnianego na Warcie przez Rosjan i niedawnym, kilkogodzinnym pobycie wojska pruskiego.

Zwolna zjechaliśmy do rzeki. Na miejscu mostu sterczały z wody tylko niedopalone pale, a na lewo, w dwustu sążniach odległości — jedno zrujnowane przęsło mostu kolejowego zanurzone częścią swych wiązań żelaznych w wodzie.

Tu na brzegu rzeki po raz pierwszy spotkałem się ze zjawiskiem, które niemiłe i bolesne wrażenie na mnie sprawiło, a z którym się nieraz następnie spotykałem w Warszawie, Kijowie i Moskwie.

Skoro most został spalony przez jednego pana, jakim w stosunku do nas był rząd rosyjski, lojalny i wiernopoddańczy Komitet Obywatelski Sieradza wyprowadził wniosek, że widocznie most jest niepotrzebny i ludzie powinni w domu siedzieć, a nie wążać się po próżnicy po kraju, przeto ułatwienie ludziom przejazdu przez rzekę, choćby przez zbudowanie promu, mogłoby być tłómacznym, jako czyn przeciwpamiętnym.

Życie jednak płynie po swojemu wbrew wnioskowi komitetów i rozporządzeniom władz wszelakich.

I oto banda łotrzyków węsząc źer dla siebie w nieszczęściu ludzkim, w naprędcie skleconych łodziach przewozi podróżnych na drugą stronę rzeki, biorąc aż po pół rubla od osoby!... Myśmy jednak z łaskawie ofiarowanych nam usług nie korzystali, gdyż bryczka z końmi na łodzi zmieścić się nie mogła i pojechaliśmy brzegiem rzeki, szukając brodu. W trzech wiorstach od miasta w górę rzeki, naprzeciw dużej wsi Woźniki, bród znaleźliśmy: chłopaki wiejskie łódką przewieźli nas na drugą stronę, a konie wraz z bryczką przechodziły brodem owym, musząc jednak płynąć miejscami.

Podczas gdy popasaliśmy konie we wsi, zebrało się koło nas sporo gospodarzy wiejskich w malowniczych czerwonych spencerach i ciekawych niewiast, rozpytując o Niemców. Włościanie Siemradzkiego, zarówno, jak włościanie Księstwa Łowickiego i w Lubelskim, należą do najwięcej kulturalnie i po obywatelsku wyrobionych w Królestwie, to też gawędziło się z nimi przyjemnie.

Tam to dał się odczuć istotny patriotyzm i przepiętne przywiązanie do ziemi ojczyznej a zarazem owa niespożyta energja ludu naszego; tam dała się odczuć głucha, a silna nienawiść do Niemców i nietajona niechęć do rządu rosyjskiego; tam też po raz pierwszy usłyszałem groźny pomruk naszego ludu w stronę Rosji.

“To ta podatki zdzierają, rekruta nam biorą, a jak potrza ziemię od szwabów bronić, to jak opętane uciekają”...

Mrok już zapadł, kiedy wyruszyliśmy w dalszą drogę. Około godziny pierwszej po północy wjechaliśmy do miasteczka Widawy. Milicja zatrzymała nas zapytaniem: Kto, skąd, dokąd i po co? Po daniu kilku słów wyjaśnienia, zajechaliśmy na plebanję do znajomego mi proboszcza, który, nie zważając na tak spóźnioną porę odwiedzin, bardzo serdecznie i gościnnie nas przyjął.

Nazajutrz w niedzielę, był odpust, więc zebrało się liczne grono osób u gościnnego proboszcza, byli księża z dalszej i bliższej okolicy, obywatele ziemscy i sporo osób z obywateli miejskich i inteligencji.

Rzadko spotykałem w życiu człowieka tak taktownego, dobrego, zawsze pogodnego, a nadto bardzo rozumnego i energicznego, kiedy chodziło o sprawy obywatela i Polaka, jak nasz gospodarz. Był też powszechnie i szczerze szanowany i lubiany zarówno przez chrześcijan, jak żydów, zarówno przez starszych, jak dzieci. Był wybrany jednogłośnie prezesem komitetu obywatelskiego, a dzięki zgodnemu zespołowi obywateli, światłemu i sprzężystemu kierownictwu, nigdzie już więcej nie spotkałem tak daleko posuniętej pracy samorządu miejskiego, jak w tej zapadłej, lichej mieścinie.

Doraźnie i dobrze zaopiekowano się aż w te strony przybyłymi kaliskimi uciekinierami i ich dziećmi, wzięto całe szkolnictwo w swoje ręce, rozpoczęto roboty publiczne w kształcie brukowania ulic, zorganizowano sprzężycie czynną milicję, zor-

ganizowano kasę ratunkową na potrzeby bieżące, a współdzielczy sklep zaopatrzono w produkta niezbędne, których już brakować zaczynało w Łodzi, jak cukier, nafta itp., i towar sprzedawano po cenach normalnych, co zapobiegło spekulacji wyżytkowawczy, rozpoczęto naprawę mostu na rzece Widawce, a co najciekawsze, jedyne znane mi miejsce, gdzie nie potrzebowano się uciekać do wydawania "bonów", ponieważ pieniądze, nawet drobna moneta, nie kryły się.

Nie mogę się oprzeć, by w swych wspomnieniach choć ogólnikowo nie podkreślić słowami uznania pracy czcigodnego proboszcza, który dziś już nie żyje: zginął, zabity szrapnelem w kilka tygodni potem, podczas jesiennych walk, w okolicach Łodzi.

Był to wysoki, młody jeszcze mężczyzna, lat czterdziestu kilku. Lubiłem patrzeć na tę ruchliwą, otwartą i zawsze pogodną, mile zlekka uśmiechniętą twarz, o rozumnych oczach i dowcipnych. Podczas tej ostatniej mej bytności u niego, w drodze do Łodzi, był spokojny, jak zwykle; tylko może ruchliwszy, niż zwykle.

Co chwila wychodził wydać to, czy inne rozporządzenie; co chwila ktoś wchodził pytać o radę, lub o wskazówkę.

Tymczasem po obiedzie wśród zebranych rozpoczęła się gawęda o polityce i bieżących wypadkach. Wszyscy byli bezwzględnie wrogo usposobieni przeciwko Niemcom, zaledwie parę głosów nie śmiało starało się podnieść i dobre strony rządu niemieckiego, wytaczając takie argumenty, jak obowiązująca nauka w szkołach, wysoki poziom nauk w Niemczech, wzorowa organizacja poczty, kolei,

zarządów miejskich. Wszyscy jednak zeznawali, że zawiedli się na tak zwanej kulturze niemieckiej, boć kulturalny naród tak wojny prowadzić nie może, jak poczynają ją Niemcy...

Wszyscy niemal byli przychylnie usposobieni względem Rosji, nie chcąc nawet słuchać słów zlekka wyrażonego powątpiewania z ust kilku.

— Związek Rosji z Anglią i Francją jest najlepszą gwarancją dla nas spełnienia słów, zapowiedzianych odezwą! — mówiono.

Szczególniej jeden z księży, który czas jakiś spędził w Rosji i rościł sobie pretensje do znajomości tam ludzi i stosunków, był bezwzględny rusofilem, uważającym niemal za swego osobistego wroga każdego, kto choć zlekka ośmielił się krytykować odezwę rosyjskiego głównodowodzącego.

Naturalnie wszyscy nietylko wierzyli, ale zupełnie przekonani byli, że Niemcy, przeciwko którym się cały świat podniósł, będą pobici, nie dłużej, jak za miesiąc parę, może najdalej do wiosny.

Gospodarz nasz tymczasem chodził i chodził po pokoju dużymi krokami, słuchał i słuchał, aż wreszcie przystanął w rogu. Uciszyło się, i on w te przemówił, pamiętam, jak dziś, słowa:

— Nie, drodzy moi! Niemcy bić będą Moskali, aż nie wybuchnie rewolucja w Rosji. Zapamiętajcie sobie słowa moje: Tylko rewolucyjna Rosja Niemców zwyciężyć zdoła. Nie wiercie wy Francji, Anglii, ani odezwom, lecz w swoje własne siły. Dla nas Polaków jest to wojna nie tyle europejska, ile rosyjsko - niemiecka. Tylko po zupełnym rozbiciu caratu i zniszczeniu żołdactwa pruskiego możemy mieć wolną Polskę, nie inaczej!

Jeszcze długo w noc sprzeczailiśmy się i rozprawiali, gospodarz jednak zawsze pogodny, wesoły, różne różności opowiadał, ale ani słowa więcej o polityce.

Rano dnia następnego pożegnałem kochanego proboszcza, nie przypuszczając na chwilę, że go już więcej nigdy nie zobaczę. . .

Koło południa byliśmy w Łasku. Miasteczko to, choć napozór spokojne, z pewną trwogą oczekiwało nadejścia prusaków, gdyż przejeżdżający uciekinierzy z okolic Sieradza i Zduńskiej Woli, dążąc przez Łask do Łodzi, o zbliżaniu się Niemców mieszkańcom opowiadali. Między godziną drugą a trzecią tegoż dnia, t. j. w poniedziałek, byliśmy już w Pabianicach, właśnie w chwili, kiedy policja i władze rosyjskie już po raz wtóry uciekały z miasta: na rynku, obok stacji kolejki elektrycznej tłumi ludności czekały, chcąc jechać do Łodzi. Dwa pociągi tramwajów elektrycznych były przygotowane dla urzędników i policji, a burmistrz miejscowy — polak, z harapnikiem w ręku, bardzo usłużny i unizony dla urzędników i oficerów policyjnych, ordynarnymi słowy zwracał się do czekającej publiczności, grożąc aresztem każdemu, kto się odważy siadać do wagonów.

Wreszcie policja uciekła, publiczność zaś została, nie wiedząc, czy nadejdzie jeszcze dziś jaki pociąg tramwajowy, bo mówiono o zawieszeniu komunikacji, a pośród czekających było dużo ludzi, o zmęczonych, wynędzniałych i zgłodniałych twarzach, kobiet i dzieci, uciekających z miejsc zajętych przez Niemców.

Nie mogąc się dostać do tramwaju, najętą z Pabianic dorożką przyjechaliśmy pod wieczór do Łodzi. Była to chwila, kiedy z Łodzi po raz drugi już uciekły policja i władze, poczta i bank państwowy.

Dzień był powszedni, a jednak jakiś świąteczny i poważny nastrój panował na ulicach: duży ruch, a przecie wzorowy porządek. Na skrzyżowaniach ulic pełnili swe obowiązki milicjanci z białymi przepaskami na ramieniu. Miejscami spotykaliśmy niewielkie lotne oddzialiki, po sześciu, dziesięciu milicjantów liczące, przebiegające miasto w różnych kierunkach, czy to dla sprawdzenia posterunków, czy to dla zapobiegania ulicznym zajściom.

W domu spotkano mnie z radością, ale i z niedowierzaniem nieomal, że żyw jestem. Rodzina, nie mając odemnie w ciągu trzech tygodni żadnych wiadomości, najokropniejsze przypuszczenia robiła. Zdziwiono się i niedowierzano, gdy mówiłem, że w ciągu całej swej drogi ani jednego żołnierza niemieckiego nie spotkałem.

Wyszedłem na miasto — bo ciekaw byłem bardzo, jak się ułożyły stosunki i co zaszło tutaj w ciągu tych kilku tygodni od chwili wybuchu wojny.

Jak wiadomo, Łódź, jakkolwiek licząca więcej nad sześćkroć sto tysięcy ludności, była miastem nie gubernjalnym, a powiatowym gubernji piotrkowskiej.

Naczelną władzę cywilną sprawował prezydent miasta, a policyjno - administracyjną — policmajster.

W drugim już dniu po wypowiedzeniu wojny, tak samo, jak w nadgranicznych miasteczkach, wszystko to uciekało: władze i wojsko, a jednak

normalnie w Łodzi i okolicy stały cztery pułki piechoty. Bank przeniesiono do Moskwy, a pocztę do Warszawy... Po dziesięciu dniach policja i część władz powróciła, by po parodniowych rządach, właśnie w chwili mego przyjazdu, t. j. w trzecim tygodniu od początku wojny, znowu uciec...

Oślawiony i anegdotycznie głupi prezydent miasta P... uciekł pierwszy. Kazano mu wrócić: wrócił, by uciec, znowu pierwszy tym razem aż do Moskwy. Jego obowiązki pełnił jeden z referentów, człowiek z pewną godnością osobistą, zresztą czynności magistratu były teraz niemal żadne. Wszystko sprowadzało się do wydawania zapomóg rodzinom rezerwistów, na wojnę powołanych. Ale nawet i ta stosunkowo drobna czynność tak była artystycznie według wzorów biurokracji rosyjskiej zorganizowana, że kobiety, nieraz z dziećmi przy piersi, cały dzień o głodzie aż do omdlenia czekały, nim otrzymały swoją rację chleba i groszy kilka rzuconych, jak jałmużnę.

Narzekania ustały dopiero, skoro całą tą sprawę Komitet Obywatelski ujął w swe ręce.

Gorzej było z funduszami.

Pieniądze miejskie, ulokowane w banku państwa, bank zabrał z sobą. Rząd wydał miastu do rozdania rezerwistkom dwakroć sto tysięcy rubli, wyznaczając od trzech i pół rubla do pięciu — na pół miesiąca każdej, w zależności od ilości dzieci. A tych rezerwistek jednak zebrało się kilkadziesiąt tysięcy! Więc owych pieniędzy na długo nie starczyło. Tymczasem chleb i wszystkie produkta spożywcze podskoczyły znacznie w cenie, wbrew surowym roz-

porządzeniom władz. Fabryki jedną po drugiej zamknięto i o zarobku mowy nie było.

Z kasy miejskiej wypłacono urzędnikom trzech miesięczną pensję i zostały pustki; podatków nikt płacić nie chciał i nie było czym opędzać bieżących wydatków miejskich.

Tak! w owym olbrzymim przemysłowym mieście, w owym bogatym "Manchesterze" polskim, kasa miejska wonczas świeciła pustkami. Czekano na ściągnięcie kilkunastu rubli podatków od naiwnych, by zapłacić pensje niektórym woźnym magistratu, którzy się we właściwym czasie o swe pensje nie upomnieli. . .

Podamy tu choć ogólnikowy i krótki obrazek stosunków łódzkich w dobie przedwojennej, aby łatwiej zrozumieć zrodzone na tym tle nastroje ludności w chwili wybuchu wojny w największym po Warszawie mieście w Królestwie.

Otóż pół Łodzi to ziemia fabrykanta Niemca Szeiblera, z drugiej zaś połowy znowu połowa to ziemia fabrykanta Żyda Poznańskiego, fabrykanta—Niemca Geyera i innych fabrykantów, Niemców i Żydów; reszta dopiero, to jest czwarta część Łodzi należy do miasta, względnie do bogatych, lub zamożnych obywateli, także w czterech piątych częściach Niemców, lub Żydów.

Łódź więc jest miastem nawskroś niemiecko-żydowskim, w którym Polacy z niewielką ilością robotników Niemców i znacznieszą — Żydów, stanowią tylko tak zwane przez fabrykantów — bydło robocze, którego jednak jest około czterech kroć stu tysięcy.

Dalej w Łodzi był w użyciu bajeczny wynalazek handlowo - przemysłowy, nie patentowany wprawdzie ani w Stanach Zjednoczonych Ameryki, ani w innych krajach Europy, wcale nie "made in Germany", a taki sobie prosty, swojski wytwór sprytu żydów rosyjskich, litwakami pospolicie zwanych, mocą którego całe podmiejskie okolice, a nawet miasteczka dalsze, jak Zgierz, Ozorków, Brzeziny, Stryków, Łask, aż hen pod Sieradz z jednej, a pod Łowicz z drugiej strony, były w zupełnej materialnej zależności, w łapach i pod wpływem spekulantów "wynalazców". Mówię o tak zwanych fabrykantach bez fabryk: fabrykant taki na kredyt brał z przędzalni przędzę, rozdawał ją robotnikom-właścicielom jednego, lub paru ręcznych tkackich warsztatów, od nich otrzymywał gotowy towar, nie-miłosiernie przytym wyzyskując robotnika i często "brakując" mu towar; na kredyt posyłał towar do apretury i do farbiarni, płacił konta towarem i sam stawał się posiadaczem hurtownego składu towaru. Poco takiemu panu fabryka i kłopoty z nią związane?! Naprawdę, jest to wcale ładny kawałek interesu! Naturalnie często trzeba było "robić" filantropa i dawać trochę pieniędzy naprzód potrzebującemu robotnikowi, ale też za to powinien był on odrobić i więcej i taniej.

Widzimy więc z tego, że w Łodzi kapitały, a co zatym idzie wpływy i znaczenie koncentrowały się po pierwsze u stosunkowo niewielkiej ilości ludzi i powtóre niemal wyłącznie w rękach niemiecko - żydowskich. Oni, niemcy i żydzi, na zasadzie cenzusu wyborczego, opartego na posiadaniu kapitału, byli i wyborcami i wybieranymi. Oni mieli swego przed-

stawiciela, rosyjskiego żyda, w Dumie państwowej. Wszyscy wpływowi radni miasta i ławnicy byli to Niemcy i Żydzi, wszystkie roboty miejskie i dostawy były w rękach Niemców i Żydów: wielkie przedsiębiorstwa miejskie, jak elektrownia miejska, elektryczne oświetlanie i elektryczne tramwaje miejskie i podmiejskie, elektryczne kolejki do Pabianic, do Zgierza i do Aleksandrowa — były w rękach Niemców, kolej żelazna do Kuluszek w rękach Szeiblera, rzeźnia miejska w rękach spółki Żydów rosyjskich. Jedna tylko gazownia i to od niedawna zostawała w ręku miasta.

To też nie krępowano się żadnymi względami taktu ni przyzwoitości i na każdym kroku swą butą pruską i arogancją żydowską ujawniano siłę swego posiadania. Wielkie firmy nie tylko wewnętrzną swą korespondencję, lecz nawet korespondencję ze swymi klientami - odbiorcami prowadziły w języku niemieckim, czasem w rosyjskim. W miejskiej elektrowni, która była oddziałem berlińskiej firmy "Allgemeine Elektrische Gesellschaft", zarówno jak w innych wielkich firmach, trudno było rozmówić się po polsku, gdyż wszyscy urzędnicy, wyjąwszy woźnych, byli to Niemcy, lub Rosyjscy Żydzi.

W Łodzi i okolicznych miastach duża bardzo jest ilość ludzi na miejscu urodzonych i dziś już starszych, którzy literalnie po polsku nie rozumieją, lub rozumieć nie chcą. Na ulicach panował język niemiecki, żargon, lub język rosyjski, wyjąwszy niedziele i dni świąteczne, kiedy nasz robotnik polski ze swych nor mieszkaniowych, z suterem i poddaszy ławą wychodził na ulicę, na światło dzienne dnia bożego, lub gromadził się po nabożeństwach

masą zwartą na cmentarzach przykościelnych. Lecz nawet i w kościołach musiano czynić ustępstwo na rzecz “nie rozumiejących” języka polskiego, tak zwanych “deutsch-katolików”, księża prócz polskich, miewali kazania w bardzo wielu kościołach i w języku niemieckim.

W Łodzi wychodziły trzy gazety w języku niemieckim, wszystkie hakatystycznie usposobione, dwie w żargonie, jedna rosyjska. Pism w języku polskim było trzy: narodowo - demokratyczny “Rozwój” i postępowe “Kurjer Łódzki” i “Nowa Gazeta Łódzka”, o słabej liczbie prenumeratorów.

Był teatr niemiecki, dwa nawet w żargonie — żydowskie; polski stale bokami robił, bankrutował. Nie pomogły mu ani odezwy, ani odwoływania się do serca, rozumu i poczucia obywatelskości, ani ankietą rozesłana inteligencji kolonji polskiej w Łodzi.

Mówię “kolonji”, boć polacy w Łodzi, niby to w polskim mieście, na polskiej ziemi, czuli się tylko kolonją, wyspą w obcym i wrogim sobie środowisku.

Jako jedna z resztek sławetnej konstytucji rosyjskiej i wspomnienie przykrej pamięci dni wolnościowych z 1905 roku, pozostało nam towarzystwo polskie “Uczelnia”, staraniem i kosztem którego powstało 8-mio klasowe gimnazjum polskie. Ponieważ jednak wpisowe było stosunkowo za wysokie, chociaż wielu z uczni było uwalnianych od zapłaty czesnego, nadto ciągła pogoń rodziców uczni za prawami szkół rządowych dla synów, czemu zresztą trudno się było dziwić, wszystko to powodowało, że z rokiem każdym ilość uczni mala-

ła i w roku wojny nie dochodziła nawet liczby czterystu. Jeżeli się jeszcze weźmie pod uwagę ciągłe szykany władz rosyjskich, boć w jednym 1914 roku, dwukrotnie grożono zamknięciem szkoły: raz z powodu wyraźnego zaznaczenia młodzieży szkół polskich stanowiska towarzyskiego bojkotu względem Polaków, uczni gimnazjów rządowych; drugi raz z powodu, że kilku uczniów szkoły należało do organizacji skautowych — to będzie się miało wyobrażenie, w jak ciężkich warunkach znajdowało się szkolnictwo nasze.

Natomiast do 8-mio-klasowego prywatnego gimnazjum niemieckiego władze rosyjskie się nie wtrącały, jakkolwiek wszystkie przedmioty były wykładane w języku niemieckim, za wyjątkiem języka rosyjskiego, jakkolwiek gimnazjum owo zarówno pod względem programu, sposobu kształcenia i wychowania, jak pod względem ducha, atmosfery tam panującej, było jednym z gimnazjów pruskich, przeniesionym w granice kraju naszego.

Nie dość tego: gimnazjum niemieckie, zgoła pruskie, bez zastrzeżeń, w maju 1914 roku, zatym zaledwie miesięcy parę przed wojną, otrzymało prawa szkół rządowych.

Jak się to stało opowiem.

Było to w maju. Do Łodzi zjechał minister rosyjskiej oświaty, osławiony pan Kasso. Fabrykanci łódzcy urządzili na jego cześć bankiet. Na bankiecie prócz wybitniejszych i najbogatszych fabrykantów, byli także wyżsi urzędnicy dykasterji różnych i gubernator piotrkowski, pan Jaczewski. Rozmowa toczyła się głównie w języku niemieckim, którym pan minister władał biegle.

Wznoszono toasty za zdrowie i długie panowanie Mikołaja II i Wilhelma II, za zdrowie ministra; wreszcie pan Jaczewski, gubernator piotrkowski wygłosił krótki lecz bardzo pochlebny "speech" pod adresem fabrykantów i podnosząc kielich z winem, tymi słowy zakończył:

"Piję za zdrowie tych tu obecnych panów (gest w stronę fabrykantów), którzy są istotnymi krzewicielami kultury na zachodnich kresach wielkiej ojczyzny naszej".

Naturalnie owi krzewiciele kultury nie omieszkali skorzystać z nadarzającej się sposobności i poprosili pana ministra o nadanie szkole niemieckiej praw szkół rządowych. Kasso się zgodził i wydał odnośne rozporządzenie. O nadaniu takichże praw gimnazjum polskiemu i istniejącej także w Łodzi 8-mio-klasowej polskiej szkole handlowej, nawet mowy być nie mogło.

Dla uzupełnienia obrazu szkolnictwa dodam, że istniały także dwie prywatne pensje polskie dla dziewcząt. Prócz tego, była tam prywatna szkoła przemysłowa, jednak w zupełności zależna od rządu, z rosjaninem dyrektorem na czele, jedno gimnazjum rządowe męskie, jedno żeńskie, kilkanaście dwuklasowych szkół elementarnych, w których stale brakowało miejsc dla chcącej się uczyć dziewcząt, jedno prywatne gimnazjum żydowskie i setki żydowskich chederów.

Przy takich warunkach nic dziwnego, że tylko to przechodziło w radzie miejskiej w gubernji i w Petersburgu, co było na rękę Niemcom i Żydom, którzy bezpośrednio, lub pośrednio zarządzili wsze-

dzie: polacy i urzędnicy rosjanie byli tylko powolnymi narzędziami w ich rękę.

Ci, obcy nam przybysze z Zachodu i Wschodu, nie mieli nic przecie wspólnego ani z polskością, ani z Polską, również nie poczuli się do obowiązków obywatelskich względem kraju, gdzie olbrzymie fortuny z pracy ludu polskiego zbierali.

Patrzono na Łódź i okolicę, jak na kopalnię, w której przecie człowiek nie mieszka, a bawi czasowo, póki się ją eksploatuje. Na mieszkanie łódzki bogacz, prawdziwy "łodzerman" wybierał sobie Berlin, inne ładne pruskie, lub niemieckie miasta, wreszcie Warszawę. Nie przeszkadzało to bynajmniej, że i w Łodzi stawiano sobie przepyszne pałace z obszernymi parkami, ogrodami zimowymi, choć dla krótkiego, jednak nieraz nieodzownego pobytu w tym — brzydkim mieście.

Takie "kleine, aber nette Gesellschaft", taki zespół ludzi naturalnie nie mógł i nie chciał myśleć o zwiększaniu dochodów miasta, boć to mogło bezpośrednio lub pośrednio zmniejszyć ich osobiste dochody. Godzono się o tyle, o ile bank państwa chciałby pomódz i sfinansować jakieś większe przedsiębiorstwo, lecz rządowi też się nie spieszyło. Prawda, miasto Łódź było bez długów, lecz wysokość długów w dobrze zagospodarowanym, dużym mieście jest wskaźnikiem kultury danego miasta: tymczasem Łódź, pod względem współczesnych kulturalnych wymagań urzędzeń miejskich i wymagań sanitarnych, zajmuje jedno z ostatnich miejsc w świecie.

I oto olbrzymie, największe przemysłowe miasto w Królestwie Polskim pozostaje bez wodociągów i bez kanalizacji. Fabrykanci więksi i mniejsi, wypuszczają wszelkie zanieczyszczenia fabryczne, tak zwane wody ściekowe, bez uprzedniego filtrowania, wprost na ulicę do rynsztoków. Właściciele zaś bardzo wielu domów, chcąc sobie zaoszczędzić spore koszta wywożenia za miasto zawartości jam kloacznych, posługują się drugim łódzkim wynalazkiem już zupełnie rodzimym, tym razem pomysłu nie rosyjskich żydów, a spółki krajowej: chrześcijan i żydków polskich.

Wynalazek tak piękny w swej naiwności i dziecięcej prostocie, że patrzysz i nie wiesz, kogo więcej podziwiać, czy genialność wynalazców właścicieli posiadłości, czy wspaniałomyślność policji. Policja bowiem też patrzy, widzi, robi nawet groźną minę, jakby powiedzieć chciała:

— Czekaaj, co to ja zrobić mógłbym, aj aj, — gdybym tylko zechciał! — ale...

W tym miejscu właściciel posiadłości robi jakiś znak masoński przy powitaniu...

— Niechaj! Każdy żyć musi!... kończy wspaniałomyślnie policja. — No, cztob drugoj raz eto nie powtarjałoś.

Rzecz polega na tym, że od kloacznej jamy jest przeprowadzona rurka niewielka do rynsztoku, a czasem do studni, bo bezpieczniej, nie tak łatwo policja znajdzie, a taka z policją znajomość zawsze coś kosztuje. Rurki naturalnie nie widać; jest pod ziemią, jednak nie zbyt głęboko. Otóż jak części płynnych w jamie kloacznej zbytnio się zbierze, to so-

bie spokojnie rurką spływają do ulicznego rynsztoku lub studni.

—Takie odpływy, tłumaczył mi jeden z właścicieli posiadłości, zawsze można regulować, a najlepiej jak się to odbywa — nocą. Jedna niedogodność, że albo przechodnie nawet na pierwszorzędnych ulicach muszą sobie zatykać cokolwiek nosy, — ale bo też kto przyzwoity włóczy się po nocach, co zresztą nie zawsze bezpiecznie, — albo ludzie nie pozwalają się w studni wodzie ustać, bełtają ją, biorąc wodę do picia i wskutek tego chorują na tyfus, biegunkę krwawą...

To też tyfus nie ustaje wcale; nie widziałem też nigdzie tylu ludzi ze śladami ospy na twarzy, jak w Łodzi; szkarlatyna zabiera rocznie setki dzieci; statystyka dotycząca gruźlicy, wyznacza Łodzi zaszczytne, jedno z pierwszych miejsc, o ile nie najpierwsze w świecie; sporo warjatów samopas po ulicach chodzi; głodnych, wynędzniałych, zwyrodniałych dzieci moc. Brud, choroby, nędza, rozpacz — oto Łódź.

Wszyscy to widzą, wszyscy o tym wiedzą, a lekarze i inżynierowie wiedzą nawet, jak temu zaradzić, ale miasto niema środków odpowiednich, a przecież wiadomo, że utrzymanie czystości i zdrowia dużo kosztuje. Powtóre, nawet przy środkach, o radę i zezwolenie na wydatki miasto musi się pytać władzy aż w Petersburgu, skąd na odpowiedź czeka się nieraz pół roku i dłużej; miejscowi zaś lekarze, czy inżynierowie nic zrobić nie mogą, bo nie mają władzy wykonawczej. Oto stosunki.

Pokażną część swego rocznego budżetu miasto wydawało na utrzymanie policji, która ze względu

na wymagania wyższej polityki wewnętrznej zajmowała się, jak zresztą wszędzie w Rosji, węszeniem “kramoły”, to jest poszukiwaniem politycznych przestępców i — robieniem politycznych przestępstw; pilnowanie zaś porządków w mieście stanowiło drugorzędny jej obowiązek, który redukował się także do brania winnych nieporządku w “uczastok”.

Dalej, miasto musiało wspierać kasę państwa w nadzwyczajnych wydatkach, związanych także z polityką wewnętrzną, lub zewnętrzną. I tak, w czasach rewolucji rosyjskiej w latach 1905 i 1906 miasto dało państwu czterokrotnie sto tysięcy rubli na wydatki kwoli tępienia i uśmierzenia zaburzeń robotniczych, a w rok przed wojną miasto dało znowu 25,000 rubli na powiększenie napowietrznej floty rosyjskiej. Prócz tego często gęsto należało dawać składki większe na pomniki przeróżnych wielkich ludzi rosyjskich, w rodzaju Stołypina, i na przeróżne rządowe komitety i wydawnictwa, krzewiące coraz większą ciemnotę i zamęt w państwie. Dalej, miasto musiało utrzymywać rosyjską gazetę, bo nikt jej nie chciał czytać, utrzymywać przytułek dla dzieci rosyjskiej ludności, dawać subsydja szkołom rosyjskim, płacić za mieszkania oficerskie w pewnej mierze, a całkowicie za wynajmowane domy pod koszary dla wojskowej załogi miejscowej i zlekka wspierać prawosławne duchowieństwo.

Byleby tym wszystkim, tak różnorodnym państwowym wymaganiom zadosyć uczynić, prezydent miasta starał się robić oszczędności w innych pozycjach, mających na celu potrzeby wyłącznie miasta, i... otrzymywał podziękowania i ordery z Petersburga.

Zato nie było funduszków na otwieranie szkół elementarnych, nie było pieniędzy na brukowanie i porządne oświetlenie wielu ulic, nie było — na należyte utrzymywanie miasta, na utrzymywanie szpitali.

Dalej, miasto dawało skromną zapomogę 5,000 rb. na szpital dla obłąkanych w Kochanówku pod Łodzią, utrzymywany przez prywatne chrześcijańskie towarzystwo dobroczynności. Wreszcie przeszło półmilionowe miasto utrzymywało swym kosztem szpital wyłącznie dla zakażonych chorób na... 40 łóżek, wyraźnie na czterdzieści łóżek!

To wszystko. Wprawdzie w Łodzi było kilka szpitali, zupełnie zresztą nie wystarczających na tak olbrzymią ludność, bo ogólna liczba łóżek wszystkich szpitali nie przekraczała liczby sześciuset, ale to wszystko były szpitale fabryczne, częściowo bardzo marne, lub szpitale i przytułki położnicze, należące do gminy ewangelickiej, do gminy żydowskiej — słowem utrzymywane kosztem dobroczynności publicznej.

Miasto urządzało posiedzenia w sprawach miejskich, na których członkowie siedzieli, radzili, pisali raporty, sprawozdania, posyłali cały ten materjał do gubernji, stamtąd do Petersburga, ale nic z tego się nie urzeczywistniało, lub miało się urzeczywistnić częściowo, i w tak okaleczonej formie, że ludziom chęć do pracy zupełnie znikiała.

Naturalnie, o ile chodziło o sprawy, mające związek z osobistymi interesami bogatych i wpływowych członków posiedzeń i w myśl ich interesów, to sprawy takie były załatwiane względnie szybko przez bezpośredni wyjazd zainteresowanego do Petersburga.

Jako przykład, z jaką szybkością załatwiały się zwykłe miejskie sprawy, przytoczę, że na zezwolenie Petersburga na remont gmachu magistratu czekano lat trzy.

CZWARTY DZIEŃ OPOWIADANIA.

Opowiedziana powyżej gospodarka niemieckorosyjska w Łodzi daje nam, jak nie można lepiej, przedsmak tego, co nas oczekuje w Polsce całej, jeżeli się nie zdołamy uwolnić z kajdan zarówno Niemiec, jak Rosji i jeżeli zwyciężą Prusy, lub Rosja.

Przedewszystkim, nie może być żadnego “jeżeli”, a mogą i muszą zwyciężyć albo Prusy, albo Rosja, tertium non datur, powiedzą mi “uczeni w piśmie”, co przetłumaczone na język zwykłych śmiertelników oznacza: trzeciego wyjścia niema, albo, jak ci dwóch mówi, żeś pijany, to trzymaj się chłopie płota.

A jednak obecna wojna już tyle niespodzianek przyniosła “uczonym w piśmie”, że nauczeni doświadczeniem, mogliby być nieco powściągliwsi w wygłaszaniu swych apodyktycznych, bezapelacyjnych zdań. Bo niechaj takie kolejne zwycięstwa, jak dotąd, to jednej, to drugiej strony potrwają jeszcze z rok, to wyczerpią tak strony obie, że trudno będzie odróżnić zwycięzcę od zwyciężonego, a wtedy lud łatwiej się ocknie i kiedy zawoła o chleb, a podadzą mu kamień, lub kulę, zrozumie— że nie o swoją walczył sprawę i niepotrzebnie

i nierozumnie tępił podobnych sobie bliźnich z tamtej strony. Nie dogadaliśmy się z rządami, z narodami łatwiej będzie, dogadamy się i my.

— To wszystko mrzonki! Pozostaje wam tylko wybierać, kogo wolicie.

— Chcecie być pod niemcem, czy pod moskałem? — spytamy chłop polskiego.

— Ta nie mówiłem, jak ci dwaj mówią, żeś pijany, trzymaj się chłopie płota; chyba, że z tego płota wyciągniesz chłopie jaką kłonicę i zdzielisz tych trzeźwieńców przez łeb, by ci głowy nie męcili.

— No, co ta wolicie, ojczy, niemca?

Chłop się prawą ręką po głowie skrobie.

— Moskala?

Chłop się skrobie lewą.

— No, wybierajta ojczy, byle prędzej.

— A co mi ta niemiec da?

— Przedewszystkim da wam szkoły, porobi wam drogi, nabuduje kolei, pozakłada fabryki, będziecie mieli pracę i zarobek. Na roboty do Prus pójdziecie, nie będziecie potrzebowali płacić za przepustki przez granicę. A może... cesarz niemiecki jednego ze swych synów da wam na króla, a może... jeszcze austriacy coś dla nas wytargują i będziemy mieli królem austriaka, który jest bardzo przychylny dla polaków, bo nauczył się i po polsku gadać i wydał swe córki za polskich panów. Wreszcie zapewne rząd niemiecki da wam zapomogę na odbudowanie zniszczonych przez wojnę budynków i na zagospodarowanie się.

— Kiej panowie już tak wszystko dokumentnie wiedzą, to może wiedzą, czy ta czasem ziemi roz-

dawać nie będą, bo to ludzie gadają, że niemiec podobno tyle ziemi wzion od ruska; dyć i tu u nas w kraju tyle gruntu było i lasu, do rządu należącego, co to kiejs rząd panom i księżom za powstania pozabierał...

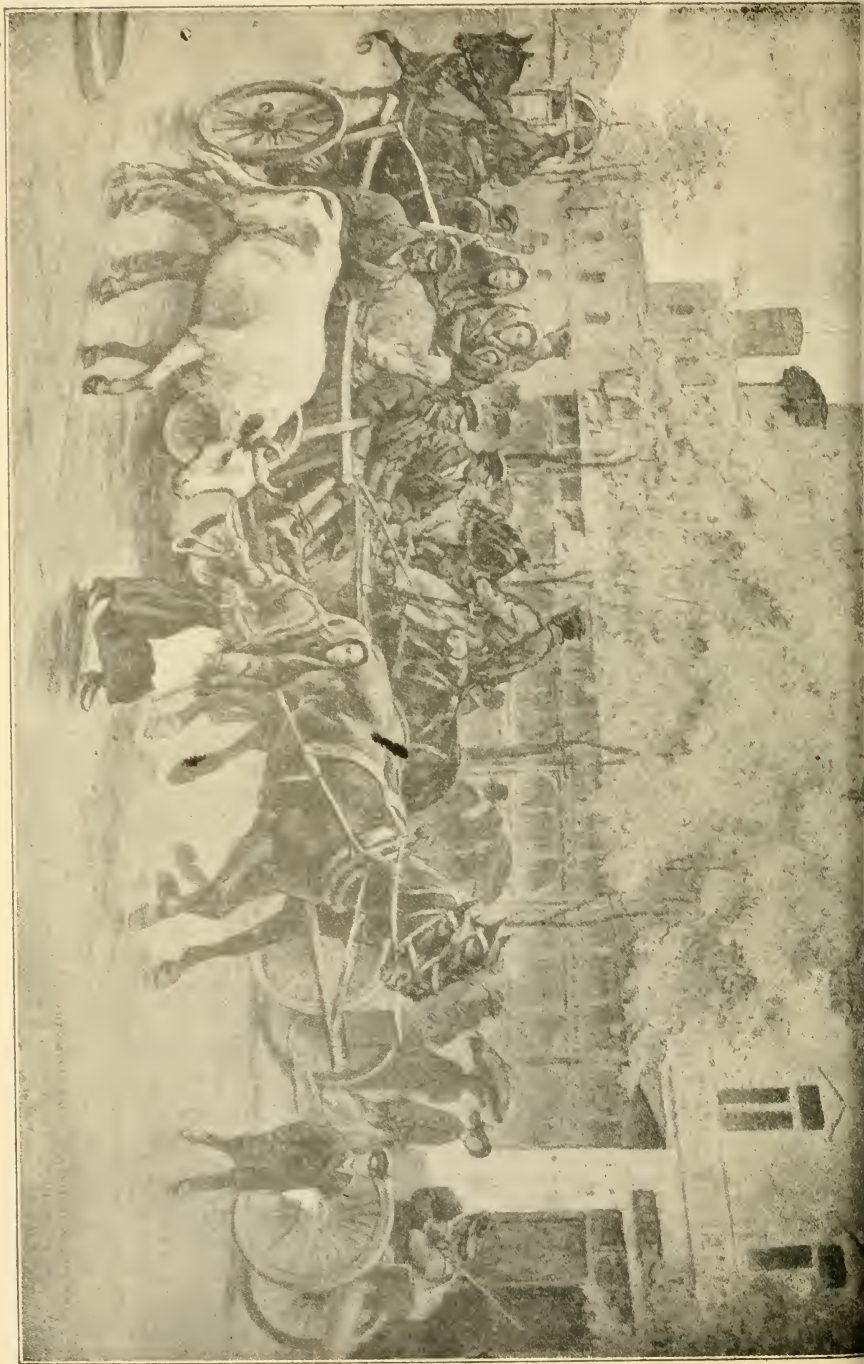
— ?....

— Co?... Pewnikiem, że nie?... Ino miarkujta se, panoczku. Król... może ta i dobrze król polski, ponoć myśwa króle miewali. Ale król prusak abo też i austrjak — niemiec, będzie zawdy na ten przykład do swoich ciągnący.... Niedaleko naszej wsi niemiec jakiś miał fabrykę. Pracę ludzie mieli, a zarobek... za zarobkiem ludzie do Prus, abo za wodę uciekali. Pono za wodą, gadają ludzie, lepiej, a kiej powrócili jeden z drugim se do dom, bez sił ostali; zaś w Prusach przekłęte szwaby, nie mają dyć człowieka za stworzenie boskie. Tak panoczku. Powiadacie, szkoły nam dadzą..... moiściewy! Czy bylišta wy w Prusach i widzielišta te szkoły? Nauczyciel biciem uczy rozumu niemieckiego polskie dzieci. A rozum niemiecki — to niemiecka mowa, pieśni niemieckie i niemieckie bajdy, że niby to niemcy są najmądrzejszym i najlepszym narodem. A Pan Bóg ich stworzył aby wszędy swój nos wtykali, rozumu ludzi uczyli i ponoć dlatego zawdy jest tylko z nimi. Nie, panoczku, takich szkół nam nie potrza. Powiadacie, rząd niemiecki pomoże nam odbudować wieś spaloną... Toć to, tak mi się widzi, jego psie prawo, a nijako łaska.

— Nie, niechęć ja pod niemca!

— Więc wolicie być pod moskalem?

— Tego nie mówię. Znam ja ruska, pamiętam, jak ponoć miała być konstytucyjo jakaś, kiej do lu-



du strzelali, kiej mi szwagra z fabryki zabrali, ty-leśmy go i widzieli. Łońskiego roku zabrali mi sy-na w sołdaty i powieźli aż w Sybir, tera go znowuj z innymi przyślą bić niemca. . . . A tam znowuj po-wiedzą, idźta prac moskała. I na tej naszej ziemi polak polaka zabijać będzie i brat bratu mogiłkę ko-pać będzie.

— Kiej mam woleć, nikaj nie wołę. I kiej pru-sak, abo moskal znowu nam ziemię przemocą zabio-rą, to będzie dopust Boży, a nie moja wola.

— Ale widzicie, ojczy, my za słabi jesteśmy, samodzielnie wolni być nie możemy i musimy być albo pod Rosją, albo pod Niemcami. Jeżeli tylko będziemy razem to ani niemiec, ani moskal nam nic nie zrobi i może przyjdzie czas, będziemy wolni. Dziś chodzi o to, by się skupić razem.

— Kiej uważata, że jeszcze i tera nie przy-szła ta święta chwila, kiej niemiec i moskal mo-cno juchą ocieka, ledwie dycha, toć se miarkuję, że ta potem trudniej będzie i o Polsce wolnej tak se gadać będziemy, jak, nieprzymierzając, żydy o Palestynie.

.

W powyższym djalogu starałem się, jak przez soczewkę, zogniskować w jednym punkcie zdania ludu naszego, podsłuchane w różnych miejscach kraju i różnych odstępach czasu roku wojny.

Ale przejdźmy do przerwane-go opowiadania.

Na tle wyżej przedstawionych stosunków spo-łecznych, z chwilą wypowiedzenia wojny powstała

cała gama nastrojów wśród zamieszkującej Łódź ludności.

Masa robotnicza, wyrzucana na bruk setkami z powodu z dniem każdym rosnącej liczby zamykanych fabryk, stanęła wobec widma głodu i nędzy. A przeświadczenie o wypowiedzeniu wojny Rosji przez Niemcy i nadchodzące wieści z Kalisza, zarówno jak wieści o barbarzyńskim prowadzeniu wojny w Belgji, zdecydowały o wyraźnie wrogiej postawie żywołu robotniczego wobec niemców. Należy podkreślić, że to tylko w pewnej mierze łagodziło nie tajoną niechęć do rządu rosyjskiego i mobilizacja przechodziła spokojnie. Nawet odezwa głównodowodzącego nie zdołała wzbudzić i rozgrzać żywszych uczuć dla rządu.

Żydzi rosyjscy starali się zachować z pewną rezerwą. Nie bardzo chcieli wierzyć wszelkim wieściom o barbarzyństwach prusaków, z wyjątkiem tych, których wypadki zastały w Kaliszu i którzy na własnej skórze odczuli wyższość kultury niemieckiej. Głośno żydzi rosyjscy starali się mocno podkreślać swoje stanowisko po stronie Rosji. Zapewne, to było i szczerze, o ile pod wyrazem Rosja należało rozumieć naród rosyjski, natomiast szczerym być nie mogło, o ile pod tym wyrazem rozumiano rosyjski rząd.

I nic dziwnego.

Szykany i najpotworniejsze pogromy żydowskie odbywały się w Rosji pod cichym, lub jawnym protektoratem rządu. Toć rząd, a nie kto inny stwarza żydom "czertę osiedłości", czyli wyznacza ściśle miejscowości, gdzie wolno im zamieszkiwać, wyrzucając ich z miejscowości wzbronionych, a więc

z miast stołecznych i rdzennej Rosji, nawet z Syberji; toć rząd, a nie kto inny, odmawia im praw wszelkich.

To też tak cicho, ulotnie, z rozmów prywatnych wnioskować można było o nieklamanej sympatji dla Niemców, która się uzewnętrzniała miejscami w kształtach conajmniej dziwnych.. Opowiadano mi n. p., że w Łodzi, na przedmieściu Bałuty, zaraz w pierwszych dniach wojny miała miejsce żydowska manifestacja, podczas której niesiono portret Wilhelma II., a portret Mikołaja II był niesiony odwrócony do góry nogami. Tu i ówdzie powiewały czerwone sztandary. Zapewniano mnie, że to miała być manifestacja żydowskiej partji "Bund", nie chce mi się jednak w to wierzyć, — zbyt byłoby to głupie wystąpienie.

Masa polskiej żydowskiej ludności w pierwszych dniach wojny nie wyrażała żadnych sympatji, ani antypatji — przedewszystkim bała się i jednej i drugiej, a nawet trzeciej strony, to jest polskiej ludności robotniczej chrześcijańskiej — bez powodu zresztą.

Nie gdzie indziej, jak w Łodzi, urosła owa anegdotka na tle tego kompromisu na wszystkie strony.

— No i co słyhać na wojnie?

— Nasi biją. Nasi zawsze biją.

— A któż są ci nasi?

— Ci, którzy biją.

Masa naszego żydowstwa polskiego, ciemna, silnie ortodoksyjna, nabożna, w zupełności apolityczna, zapewne już do końca wojny pozostanie w tym stanie równowagi niestałej, chyba, że wypadki

wojenne wyniosą na wierzch kwestję żydowską w całej jej rozciągłości i to wpłynie na więcej zdecydowane i wyraźne stanowisko tej masy.

Tymczasem oni chcieliby pozostać szczerze neutralnymi za wszelką cenę, a ich odruchami, tymi czy innymi — kierują w pierwszej linii strach, a potem chwilowa korzyść, co zresztą z pewnymi zastrzeżeniami i omówieniami dałoby się powiedzieć także i o masie chrześcijańskiej — zarówno ciemnej i zarówno apolitycznej — naszego drobno-mieszczństwa.

Niemiecka ludność miasta Łodzi, której w czasie przedwojennym władze rosyjskie pozwalały nie tylko na zakładanie różnych “Gesang i Turnvereinów”, ale nawet na tworzenie niemieckich oddziałów strzeleckich, w mundurach gimnastycznych i uzbrojonych w karabinki, ta naturalnie była po stronie Niemców i starała się chwilowo zachować pozory lojalności względem rządu rosyjskiego.

Bogatsi i ci, którzy zdążyli, uciekli do Niemiec, część — o ile nie byli zapisani, jako poddani rosyjscy, — została wywieziona w głąb Rosji, część wreszcie, mających i poddaństwo rosyjskie, pozostała w oczekiwaniu wypadków, zdradzając często, mimo pozory, swe rzeczywiste sympatje. Mówię umyślnie “mający i poddaństwo rosyjskie”, gdyż to byli ludzie o podwójnym poddaństwie: jakkolwiek liczonó ich rosyjskimi poddanymi, byli oni jednak pozostawiani z wiedzą i za zgodą rządu niemieckiego poddanymi niemieckimi, tworząc swego rodzaju forpoczty, straże przednie, cywilne oddziały wywiadowcze armji niemieckiej.

Inteligencja polska, bez różnicy wyznania, zarówno chrześcijanie, jak żydzi, byli bezwzględnie wrogo usposobieni względem Niemców, a dość, nawet bardzo przychylnie dla Rosjan, łudząc się i w swej wierze i złudzeniu suggestjonując się odezwą do Polaków rosyjskiego głównodowodzącego.

Wreszcie spora część młodzieży polskiej, zarówno inteligienckiej, jak robotniczej, skupionej pod sztandarem niepodległościowym, pełniąc obojętne różnego rodzaju czynności w służbie obywatelskiej, trzymała się tak zwanej orientacji austrofilskiej, oczekiwając wkroczenia Legjonów polskich, rozrzucała swe odezwy do obywateli - Polaków, stojąc na stanowisku żądania niepodległości Polski, występując zarówno przeciwko Rosji, jak Prusom.

W początku władze rosyjskie, po dokonaniu mobilizacji ludzi i koni, uciekły.

Jeden z moich znajomych, właściciel większego kantoru przewozowego, opowiedział mi charakterystyczny epizod, świadczący o zupełnym zaniku poczucia obywatelskości i patriotyzmu wśród urzędników rosyjskich, o czym przedtem wiedziałem, a potem przekonywałem się niejednokrotnie.

Podczas zarządzonej mobilizacji końskiej znajomy mój kazał wyprowadzić na miejsce wskazane swoich dwanaście koni, sam zaś był obecnym przy oględzinach, dokonywanych przez jakiegoś pułkownika. Pułkownik zwraca się do mego znajomego:

— Zapewne żal panu rozstać się z tak ładnymi końmi?

— Cóż robić, skoro wojna i konie potrzebne, — to trudno — brzmiała odpowiedź mego znajomego.

Po pewnej chwili jakiś pan w ubraniu cywilnym zbliża się i powiada mu:

— Jeżeli pan chcesz zatrzymać część swych koni, możesz pan wskazać. Załatwienie interesu tego wyniesie dwieście rubli.

Znajomy mój nie zgodził się.

Gdy rosyjskie władze po niedobrowolnej wycieczce zamiejskiej powróciły, to ze względu na obronę państwa przed szpiegami zajęły się przede wszystkim rugami poddanych niemieckich i austriackich, — w liczbie tej było jednak nadzwyczaj dużo Polaków.

Policja przychodziła do domów i tak, jak ludzi zastawała, kazała się im zbierać i brała natychmiast do cyrkułu, a stamtąd grupami po kilkadziesiąt osób, pod konwojem policjantów, przeprowadzano na kolej i w bydłych wagonach wywożono ich w głąb Rosji.

Działy się sceny wprost przerażające! Brano mężów od żon, ojców drobnym dzieciom, synów jeźdźców starym matkom, nawet starym nie przepuszczano, rozłączając ich z żonami i dziećmi.

I widziano ich, nieraz ze łąką w oku, jak z tobołkami, z ręcznymi walizkami szli, wysyłani w nieznaną dal, zostawiając rodziny na Opatrności Boskiej. Tak wzięto mych znajomych: pruskiego poddanego, Polaka, Dra Glogera, syna znanego w kraju aktora; chemika z fabryki Szeiblera p. Barabasza, Polaka, austriackiego poddanego. Konfiskowano niemieckim i austriackim poddanym konie, powozy, sprzęty domowe; wystawiano je na licytację i za bezcen marnowano.

Trudno się oprzeć zdziwieniu! Władza rosyjska, która całą swą wewnętrzną politykę od tak dawna opierała stale na "donosach" i szpiegostwie, zdawało się, że wobec tak długoletniej praktyki powinna była być w posiadaniu bajecznego systemu szpiegostwa i wiedzieć przecież, jak się to organizuje. A jednak bezmyślnie, z całą brutalnością ciemnoty, znęcała się nad nieszczęśliwymi, w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto nad niewinnymi, nie rozumiejąc, że przecież prawdziwy szpieg postara się jak najskrupulatniej zachować pozory lojalności i wszystkie swe dowody osobiste, zarówno jak paszport, będzie miał, nawet musi mieć w jak największym porządku.

Tego rodzaju wypadki miały miejsce w Łodzi. Jeden z dyrektorów fabryki Geyera, poddany rosyjski, jak się później okazało, był oficerem sztabowym niemieckim w czynnej służbie.

Komitet obywatelski, samorzutnie powstały zaraz po pierwszej ucieczce władz, ujął w swe ręce ster rządu miastem. Władze po powrocie, choć z niechęcią, pogodziły się już z faktem dokonany, w chwili zaś swej powtórnej ucieczki gubernator Jaczewski przekazał czasowo władzę swą Komitetowi i naczelnikowi milicji — p. Grohmanowi — fabrykantowi.

W Komitecie wyłoniło się kilka sekcji: porady prawnej, finansowa, milicji, zdrowotności i t. p.

Ponieważ, jak wszędzie, tak i w Łodzi moneta drobna i wogóle moneta brzeźcząca skryła się z obrotu i na tym polu rozpoczęła się istna orgja spekulacyjna, bo za zmianę banknotu sturublowego na drobniejsze żądano 15 do 25 rs., a za zmianę papie-

rowej trzyrubłówki na monetę metalową pół a nawet całego rubla, Komitet wydał na znaczną sumę “bony”, o różnej wartości, gwarantując kurs osobistym majątkiem osób podpisanych na “bonach”. — Tymi “bonami” dawano w dalszym ciągu zapomogi rezerwistkom, tymi “bonami” opędzono wszystkie potrzeby miasta.

Następnie Komitet, dla utrzymania porządku w mieście i w celu zapobieżenia wszelakiego rodzaju ekscesom, utworzył kadry milicji, liczba której dochodziła do tysiąca członków. Milicja została pod władzą i kierownictwem jednego z lepszych obywateli miasta, p. Grohmana.

W porozumieniu z tym ostatnim jeden z lekarzy powziął myśl zorganizowania milicji sanitarnej. Jaki był wówczas zapał do pracy społecznej pośród młodzieży płci obojga, świadczyć może fakt, że po jednorazowym ogłoszeniu w pismach miejscowych o tworzeniu się milicji sanitarnej, do Komitetu w jednym dniu zgłosiło się więcej niż sto pięćdziesiąt osób: — byli tam i studenci, i studentki, młodzież rzemieślnicza, technicy, uczniowie klas wyższych — słowem ludzi nie brakowało.

Urządzono dla nich dwutygodniowe kursy teoretyczno-praktyczne, by kandydatów przygotować odpowiednio do pełnienia obowiązków.

Dalej, ponieważ była przerwana kolejowa komunikacja z Warszawą, grono ludzi zorganizowało pocztę prywatną przez Skierniewice do Warszawy i przez Łęczycę, w Kaliskie strony. Pozatym zajęto się organizacją — szpitalnictwa dla rannych żołnierzy.

W prywatnym mieszkaniu fabrykanta Eiserta odbyło się posiedzenie. Byli tam obecni: przedstawiciel duchowieństwa katolickiego, jeden z wybitnych pastorów miejscowych, prawosławny pop, kilku fabrykantów, kilku lekarzy, kilku inżynierów i adwokatów. Uradzono działać zgodnie i wspólnymi siłami. Uradzono niezwłocznie otworzyć i utrzymywać swym kosztem szpital obywateli miasta Łodzi dla rannych na tysiąc łóżek, jako wyraz chęci przyjścia z pomocą rządowi w tak krytycznej chwili, z zastrzeżeniem jednak, by kierownictwo spoczywało w ręku wydziału szpitalnego Komitetu Obywatelskiego.

Tymczasem Niemcy się zbliżali.

PIĄTY DZIEŃ OPOWIADANIA.

W dwa dni po drugiej ucieczce władz rosyjskich przyszedł do Łodzi oddział kawalerji niemieckiej, liczący zaledwie piętnaście koni. Oficer oddziału miał gotową listę osób, do których udał się po żądane informacje. Następnego zaś dnia w południe wkroczył już oddział liczący przeszło 150 koni. Dowódca oddziału, major Brauns, wszedł do sali magistratu, gdzie go spotkał zastępca prezydenta miasta słowami w języku polskim:

— Czego sobie pan major życzy?

Słowa owe jeden z żołnierzy niemieckich, polak-poznańczyk, przetłumaczył i w odpowiedzi radni miasta, zebrani na sali, usłyszeli.

— Ja nie przyszedłem tutaj życzyć sobie czegokolwiek; ja przyszedłem rozkazywać. — A wyjmując zegarek z kieszeni, pan major dodał, że kiedy wskazówka na jego zegarku wskazywać będzie godzinę drugą, czyli w ciągu niespełna godziny, żołnierze jego oddziału powinni dostać ciepły i dobry obiad.

Gdy jeden z radnych miasta zauważył, że nieco więcej czasu zabierze przygotowanie obiadu, pan major krzyknął.

— “Halts Maul”, trzymaj pan pysk, coś pan za jeden? A otrzymawszy odpowiedź, że mówiący jest radnym miasta, pan major łaskawie pozwolił mu zostać i zgodził się na przedłużenie terminu jeszcze na pół godziny dla ugotowania żołnierzom stawy.

Niemcy rozpytywali się o wojska rosyjskie. Złożyli na radnych miasta odpowiedzialność za zachowanie się miejscowej ludności względem żołnierzy niemieckich i pod wieczór odjechali.

Równocześnie liczniejszy oddział niemiecki wkroczył do sąsiedniego miasta Pabianic. Tam ludność niemiecka z fabrykantem Kindlerem na czele owacyjnie przyjmowała Niemców. Wystąpiły panny w bieli, z kwiatami i śpiewano... “Wacht am Rhein”.

Oddział ów udał się następnie na dalszy rekonasans i już w bliskości Łodzi, w Rudzie Pabianickiej, zatrzymano się, a na wzgórzach, skąd całą Łódź widać, jak na dłoni, przystąpiono nawet do robienia okopów.

Tymczasem nad Łodzią co chwila słyhać było furkot śmigła aeroplanu niemieckiego: to wzbijał się on hen w niebiosa, jak ptak jaki i tam szybował spokojnie, zataczając koła olbrzymie, to znów przy zatrzymanym motorze, jakby zaczaiwszy się z tchem zapartym, w przeraźliwej ciszy i skupieniu, lotem błyskawicy spadając, jak jastrząb na ujrzany żer, planował, by za chwilę wzbijać się ponownie.

Było to zjawisko wysoce ciekawe, to też ludność, ciągle trwożna w oczekiwaniu nieznanego jutra i wylegająca masowo na ulicę, dzięki pogodnym dniom pięknej naszej jesieni polskiej, d'ży-

wym zainteresowaniem śledziła ruchy wywiadowczego “gołębia” (Taube) niemieckiego. Oko może względnie z łatwością rozpoznać wojskowy aeroplan niemiecki, tak zwany “Taube”, na zasadzie kształtu, ma on bowiem mocno wypukłe przednie części skrzydeł, niemal wystające za kadłub środka; na górnej powierzchni obu skrzydeł wraz z kadłubem namalowanym jest wielki, czarny, niemiecki krzyż na białym tle.

.

W tym miejscu uważam za wskazane znowu przerwać na chwilę dalsze opowiadanie i choć w krótkości podać opis owych okopów, do których niestety aż nadto często powracać będziemy w toku niniejszego opowiadania.

Ponieważ dla człowieka strzelającego najlepszą z wielu względów jest pozycja stojąca, a nie zawsze i nie wszędzie, będąc w tej pozycji, jesteśmy w stanie znaleźć sobie przed nieprzyjacielem zasłonę, w rodzaju kupy kamieni, lub rowu z nasypem, czy pagórka jakiegoś, oddawien dawna włęc, jak wiadomo, powstała myśl robienia sobie podczas bitew okopów.

Okopy owe są to rowy wzdłuż całej linii frontu oddziału wojska, mniej lub więcej prowadzone równoległe do pozycji nieprzyjacielskich. Rów taki jest szerokości półtora, dwóch łokci i więcej, w głębokości zaś jego stojący człowiek powinien się schować aż po pierś. Z wyrzucanej na brzeg rowu od strony nieprzyjaciela ziemi tworzy się nasyp, który ma całkiem wraz z głową zasłonić stojącego

w rowie żołnierza. Powierzchnia nasypu, zwrócona w stronę rowu, jest stroma i stanowi dalsze przedłużenie ściany rowu w górę z niewielkim odchyleniem ku wierzchołkowi. Tym sposobem nasyp taki zupełnie zasłania głowę żołnierza, pozwalając mu jednocześnie oprzeć się swobodnie podczas strzelania. Powierzchnia nasypu, zwrócona w stronę nieprzyjaciela, jest zlekka pochyła i niewidocznie ma się zlewać z otoczeniem, a ponieważ chodzi o to, aby jak najdłużej nieprzyjaciel nie był w stanie spostrzedz obecności okopów, a spostrzegając, aby nie miał dokładnego celu dla swych pocisków, starają się zwykle "maskować" okopy. Maskowanie to polega na tym, że żołnierze okopom swym nadają pozory do złudzenia przypominające niewinną miejscowość, w której są ukryte.

Na tym właśnie tle rozgrywają się często te zabawne epizody wojskowej filuterji o bardzo tragicznych następstwach.

Podczas walk początkowych obecnej wojny w okolicy jezior mazurskich jeden z oficerów rosyjskich znajduje w pewnym miejscu zagajnik, nie oznaczony na jego mapie. To go wprawia w zakłopotanie. Zapuszcza się z oddziałem dalej, gdy nagle z zagajnika, gdzie przecież zdawało się, nikogo nie było, sypie się grad kul. Walą się konie, padają ludzie na szosie i w przydrożnych rowach i zaledwie nieznaczna część oddziału wraca do swoich. A kiedy wkrótce znaczniejszy oddział piechoty rosyjskiej zdobył bagnetem zagajnik, okazało się, że zaledwie kilka godzin temu zagajnik ów urósł dzięki obsadzeniu nasypu okopów świeżo ściętymi sosenkami.

Rosyjscy żołnierze robią sobie takie okopy

w ciągu kilku godzin łopatami, żołnierze niemieccy robią je pręcej i lepiej za pomocą odpowiednich pługów parowych. Ponieważ jednak ludzie przebywają w nich dni kilka, a nawet tygodnie całe, nie rozbierając się, zarówno podczas mroźnych i śnieżnych dni zimy, jak i deszczów słoty jesiennej, przeto starają się zrobić je nieco wygodniejszymi. Robi się więc w tylnej ścianie rowu stopień, by w pozycji siedzącej, a zatem więcej bezpiecznej i wygodnej od czasu do czasu zjeść nieco ciepłej stawy, przywożonej przez kuchnie polowe, lub wypalić fajeczkę, czy papierosa i pogawędzić w piekielnej nieraz nudzie z towarzyszami broni. Wykopuje się dalej w przedniej ścianie rowu, pod nasypem, mniej lub więcej przestronne jamy, owe pokoiki okopowe, pogłębiając je poniżej poziomu dna rowu, umacnia się wejście i sklepienie belkami z drzewa, zakłada się nieraz drzwi na zawiasach, nawet się owe jamy mebluje dywanami, łózkami, stołami, stołkami, lustrami nieraz, zarekwiirowanymi w pobliskim miasteczku, w chałupie lub dworku wiejskim, a nawet się owe jamy... istic szubieniczny humor... numeruje, jak hotel!

Wtedy okopowy rów stanowi korytarz okopowych pokoi umeblowanych, z którego są wejścia do poszczególnych numerów.

...I tam w karty grają, i tam się ludzie weselą, i tam się śmieją owym śmiechem czerwonym, stokróć boleśniejszym od najczarniejszej rozpacz. Ile tam łez ukrytych, stłumionych westchnień, ile wspomnień wiosennych i przymusowych zapomnień, ile tragizmu duszy ludzkiej tych współczesnych ludzi jaskiniowych!

Dalej, żeby nie stać wciąż w błocie i żeby woda deszczowa nie zaciekała do pokoi, przeprowadza się całą sieć o odpowiednim spadku małych kanałów, odprowadzających wodę w miejsca niżej położone. Więc wygoda, szyk i komfort!

— Najgorzej jednak, opowiadali mi żołnierze, kiedy to w górach, w pobliżu źródeł, albo gdzieś w nizinie, nie wykopiesz rowu i na łokieć głębokości, a już się woda pokazuje. Trzeba tak stać w wodzie ciągle, dnie i noce całe; — rozzuć się nie można, bo buta nie wdziejesz potym. Woda przenika wreszcie po przez rozmiękłą skórę, za cholewę. Chłodno, bo chłodno, ból kości łamie, ustać na nogach nie możesz, to wezmą cię do szpitala, ale najgorzej wtedy, jak raptem mróz schwyci i but do nogi przymarznie; — bądź zdrow — wezmą, prawda, do szpitala, ale z nogą się nieraz pożegnaj!

Odmrażają sobie żołnierze palce, często stopy całe. O reumatyzmach stawów i odmrożeniach nóg, a w następstwie częstych amputacjach dużo opowieścieby mogli lekarze szpitali wojskowych.

A o tym ludzie ci, w zwyczajne szare żołnierskie szynele przyodziani, opowiadają tak prosto, tak spokojnie i poważnie, bez cienia przesady, bez szemrania i najlżejszej skargi, a przytym z taką rozważą i skupieniem, jakby ich życie całe przeznaczone było do owego kopania rowów, okopów i męczącego nad wyraz siedzenia w nich. Zapominają, że wszystkie te rowy, okopy, wszystkie te mądrości ludzkie, to jedno wielkie nic w porównaniu z tą iskrą Bożą, która w każdym z nich tli się, z tym życiem ludzkim, które gaszą miljonami! A któż im to życie powróci?

I po co, o co, za co?... Czy może rozchodzi się o zdobycie sobie lepszych warunków życia, istnienia i rozwoju?... Może to walka z głupotą, ciemnotą ludzką i przesądami, a o słońce wolności i prawdy?... Może to wojna o polityczną niezależność ujarzmionych narodów, o wolność ludów, lub o niezależność materialną człowieka?...

Nie, nie i nie!

...Ale dosyć tego!

Co powiedzieć jeszcze mogę o okopach? Oto to, że Niemcy często okopy betonują, są one zatem trwalsze i zdrowsze. Dalej, że zazwyczaj urządza się dwie lub trzy linje okopów w pewnej mniej, lub więcej znacznej odległości, równolegle jedne za drugimi, aby można się było schronić w okopach drugiej linji, skoro byłoby się zmuszonym opuścić okopy linji pierwszej.

Zwykle przed okopami na odległości najlepszego, najpewniejszego strzału urządza się zagrodzenia z kilku rzędów pogmatwanego kolczastego drutu, aby zatrzymać tą przeszkodą napadającego nieprzyjaciela i niszczyć go kulami z karabinów lub kulomiotów.

W wojnie japońsko-rosyjskiej używano jeszcze, jako przeszkód, tak zwanych wilczych dołów. Były to jamy, przykryte umiejętnie darniną, do których wpadali żołnierze, nadziewając się na zaostrome drewniane koły, sztorcem na dnie osadzone. W obecnej wojnie jakoś o tym nie słychać. Zato są w użyciu kule "dum-dum" i gazy trujące.

Strzelanie z okopów odbywa się w ten sposób, że każdy żołnierz kładzie swój karabin na wierzchołku nasypu okopowego, żłobiąc w nim odpowie-

dni do lufy karabinu rowek. Kulomioty, jakkolwiek często zlekka nasypem zasłaniane, są zaopatrzone w tarcze z małymi otworkami do patrzenia, gdzie i jak strzelać.

Okopy artyleryjskie, choć budowane według tej samej zasady, są inne. Rowy głębsze, nasypy wyższe, ze stopniami i z wgłębieniami w miejscach, gdzie znajdują się lufy armat, laweta zaś armatnia jest całkiem nasypem zakryta. Prócz tego każda z dzisiejszych armat posiada także silną tarczę ochronną. Ponieważ zazwyczaj baterje artyleryjskie (oddziały armat) znajdują się w znaczniejszej odległości od nieprzyjaciela, stosunkowo mniej też ginie oficerów i żołnierzy artylerji.

Zwykle bój rozpoczyna artylerja, a swym niszczącym szeregi nieprzyjaciela ogniem ułatwia i przygotowuje atak swojej piechocie. Kawalerja pełni służbę wywiadowczą, chwilami podczas bitew używana jest także masowo do ataków czołowych, lub oskrzydających dla wniesienia zamieszania w szeregi nieprzyjacielskie, wreszcie dla pościgu rozgramianego wroga. Niewielkie kawaleryjskie oddziały, mniej lub więcej samodzielnie walkę prowadzące, także często posługują się okopami, odgrywając przygodnie rolę piechoty, częściej zaś, w rozproszonym szyku walki, koń kładzie się i stanowi żywą zasłonę dla strzelającego z poza niego kawalerzysty.

.

Tak wyglądają okopy i życie w nich.

Ale wróćmy do opowiadania.

Wiedzieliśmy już o potyczkach w okolicy Turku, Koła, Rawy. Podobno nawet w okolicach Skiernewic była utarczka, w której zginąć miał oficer pruski. Wreszcie w połowie września pokazały się dosyć liczne oddziały kozaków i dragonów rosyjskich, którzy poprzez Łódź przeciągali w stronę Pabianic, Sieradza i Łęczycy. Niemcy ustępowali.

Za wojskami w dni parę powróciły z wygnania i władze rosyjskie. Nałożono pięćdziesiąt tysięcy rubli kontrybucji na mieszkańców Pabianic za gościnne przyjęcie Niemców. Rozpoczęto dalszy ciąg chwywania i wywożenia do Rosji poddanych niemieckich i austriackich.

Chciano aresztować kilku członków komitetu za wydawanie "bonów", uważając to za przywilej jedynie państwa. Skończyło się na pogroźkach.

Skasowano milicję, jako nie potrzebną i przeszkadzającą czynnościom policji, wydano swoje rozporządzenia, jak się mają zachować mieszkańcy; wreszcie odnośnie do owego szpitala na tysiąc łóżek, urządzonego kosztem obywateli miasta, władze rosyjskie, jak zresztą zwykle, zrozumiały to po swojemu i zamiast podzięki czy uznania, zdecydowały oddać ów szpital pod zarząd rosyjskiego "Czerwonego Krzyża"; przyczem naznaczono jako kierowników, a zarazem pełnomocników: byłego pułkownika żandarmów, i właściciela miejscowej dentystycznej szkoły p. Zadiewicza, znanego szpiega.

Był to zbyt bolesny policzek nawet dla obywateli łódzkich. Pogodzono się i z tym jednak, tylko polscy lekarze wycofali się z owego komitetu szpitalnego.

Wtedy to poraz pierwszy usłyszeliśmy owo ciekawe i miłe dla ucha i serca polaka: “Dzierżities, paliaki, my za was bijomsia” — zachowajcie się przyzwoicie, polacy, my się za was i waszą Polskę bijemy.

Słuchano, przyzwoicie się zachowywano, robiąc minę, że się w to wierzy.

.

— Może to i pod niemcem lepiej będzie. Niemcy to przecież naród kulturalny. Pod wielu względami skorzystamy.

To jeden odruch.

Nastąpiło bombardowanie i niszczenie Kalisza, znęcanie się nad bezbronną ludnością, strach przed Niemcami. — Ah! to tak wygląda osławiona kultura niemiecka. Prawda, wart Pac pałaca, a pałac Paca! — Niechby djabli porwali obu! Skoro jednak my sami ostać się nie możemy, bo jesteśmy bezsilni lub nie wiemy, jak to zrobić, to już bodaj lepiej być pod Rosją.

Odruch drugi.

.

Nie było dalej co robić w Łodzi. Wyjechałem wraz z rodziną do Warszawy.

Z Łodzi do Warszawy kursował dziennie już tylko jeden pociąg, który wychodził każdego dnia o innej godzinie. Zaczynała się lekka ucieczka mieszkańców. Wagony były pełne. Na stacji w Koluszkach staliśmy przeszło godzinę. Czekaliśmy, gdyż przechodziły z Warszawy pociągi wojskowe w stronę Piotrkowa.

W Skierniewicach na stacji moc ludzi, uciekinierów z Włocławką, Konina, Koła, Kutna; czekali już na pociąg warszawski... Ścisk, tłok, krzyk, płacz dzieci. Wszystkie przejścia, platformy wagonów natłoczone. Naturalnie wagonów nie przyczepiono, a władze kazały publiczności być zadowoloną, że wogóle jeszcze jechać pozwalają. Kazano zamknąć wszystkie okna wagonów. Obawiano się, by przypadkowy szpieg niemiecki nie wyrzucił przez okno bomby na jeden z mostów kolejowych.

Duszno strasznie. — Jedziemy wolno, ostrożnie... Przed każdym mostkiem kolejowym, pilnowanym przez żołnierzy, zatrzymujemy się na chwilę. Na stacjach stoimy długo. Omijają nas pociągi wojskowe. Wreszcie po siedmiu godzinach jazdy, zamiast zwykłych trzech w warunkach normalnych, o godzinie koło 12-tej w nocy, stajemy w Warszawie.

Poczekalnię nowego dworca wiedeńskiego od strony ulicy Chmielnej zamieniono na szpital dla rannych, pasażerów więc wypuszczają przez furtkę bezpośrednio na plac przed dworcem. Na placu nieprzejrzany tłum ludzi. Dawniejsi uciekinierzy z Kalisza i z Kaliskiego, z Włocławka i okolicy dzień w dzień przychodzą na dworzec, by od uciekinierów nowoprzybyłych dowiedzieć się, co słychać w miejscach rodzinnych i wyszukiwać pośród nich swych krewnych i znajomych.

Słyszę, mówią :

— W Kole most spalili rosjanie.

— Obywatelowi O. Niemcy wzięli zboże, konie i czterdzieści sztuk bydła na mięso.

— W tych i tych dobrach niemcy tną las i wysyłają drzewo do Prus.

— Dwór obywatela M. zajęli oficerowie niemieccy, wyrzucając właściciela wraz z rodziną na piętro poddasza. Każą panu i pani domu schodzić do siebie jeść razem obiad, męcząc swymi rozmowami o kulturze niemieckiej i wyrażając niezadowolenie, że ludność polska nie umie należycie ocenić dobrych chęci i czynów Niemców.

— Obywatela R. Rosjanie podejrzewali o sprzyjanie Niemcom i powiesili.

— Pana S. Prusacy wzięli jako zakładnika i do Prus wysłali.

— Tam Rosjanie kazali się wynieść mieszkańcom całej wsi, bo we wsi spodziewali się stoczyć bitwę... Więc na wozach drabiniastych, ułożywszy pierzyny, graty, tobołki, dzieci i baby, włościanie wyruszyli w drogę, gdzie oczy poniosą... W Kutnie kilkadziesiąt takich wozów z ludźmi stało na chłodzie i deszczu. Nie wiedzieli, co począć dalej.

— Tam znowu Niemcy wieś spalili, a ludność uprowadzili na zachodni front do robienia okopów.

.

Ten i ów spotkał ucieszony to matkę, to żonę, to dzieci, ale znałem wielu, którzy tak dzień w dzień chodzili na dworzec aż do przerwania komunikacji ze Skierniewicami, godziny całe wystawali... ciche westchnienie, promień nadziei na noc jutrzejszą — i... nie doczekali się swych najbliższych wcale.

SZÓSTY DZIEŃ OPOWIADANIA.

Podobno w Warszawie w pierwszych dniach wojny był także ogólny zamęt i popłoch u władz rosyjskich, jednak wkrótce wszystko przyszło do spokoju i równowagi.

Utworzył się również i tu Komitet Obywatelski, mający jednak wyłącznie za zadanie współdziałanie z władzami w celu niesienia pomocy biednym, pozbawionym pracy, rezerwistkom i uciekinierom z miejsc przez Niemców zajętych.

Prócz tego, w celu zapobiegania spekulacjom i wyzyskowi przez nadmierne podnoszenie cen, Komitet otwierał swe składy węgla i sklepy produktów spożywczych, zakładano tanie kuchnie, wyszukiwano pracę itd. Młodzież płci obojga chętnie pełniła przeróżne usługi w celu przyścia z pomocą.

Na ulicach ożywienie i ruch większy niż zwykle. Odrazu odczuwało się czas wojenny. Na każdym kroku na chodnikach ulic, w tramwajach, spotykało się panie i panny z białymi opaskami z czerwonym krzyżem na ramieniu, pełniące obowiązki sanitariuszek i pielęgniarek w różnych szpitalach dla rannych i spieszące do swych zajęć. W witrynach sklepowych przeważnie teraz widać: białe far-

tuchy szpitalne z opaskami czerwonego krzyża, bluzy wojskowe koloru "khaki", ciepłe kurtki skórzane i wszelkie wojskowe przybory dla oficerów i żołnierzy.

Ruch w sklepach nadzwyczajny.

Na ulicach słyhać rozmowy wyłącznie o wojnie lub pośrednio o wojnę zatracające. Wszędzie przebiegają ulice chłopcy — roznosiciele gazet, wrzeszcząc o nowych wojennych wypadkach, sprzedając dwukrotnie, nieraz trzykrotnie dziennie wydawane dodatki nadzwyczajne, pośpiesznie przez publiczność rozchwytywane. Głównymi ulicami Warszawy przeciągają teraz ciągle, bez przerwy, dniem i nocą niezliczone wojska. Nieraz całe godziny czekać trzeba, by przejść w poprzek ulicę, choćby przez lukę, utworzoną odstępem między jednym, a drugim oddziałem wojskowym.

Pociągi wojskowe z żołnierzami z głębi Rosji wciąż przychodzą na dworzec Petersburski i Terepolski na Pradze. Stamtąd kolumnami, bez przerwy, piechota, artylerja, kawalerja z taborami, armatami, amunicją, kuchniami polowymi, polowymi lazaretami — przeciągają przez stary most na Wiśle, mostem Kierbedzia, inaczej mostem na Zjeździe zwanym, a następnie z placu Zygmunta jedni idą poprzez ulice Warszawy, wprost na szosę Radomską w stronę Raszyna, Grójca; drudzy w stronę rogatki Wolskich na szosę Kaliską, w stronę Błonia, Sochaczewa, — inni w stronę rogatki Mokotowskich, lub w stronę Powązek, do koszar zdążają, by po parodniowym lub parogodzinnym odpoczynku pójść na pozycje w stronę Wisły, w stronę Wyszogrodu.

Idą rosjanie, rusini, polacy, litwini, łotysze, żydzi, tatarzy, — wciąż idą, zmęczeni, zbiedzeni, zgłodnieli, gnani jakąś niewidzialną, a groźną siłą, oderwani od swych chałup, swych zagród, swych łąk i pól, od swych rodzin, spędzeni i z głębi Rosji i z Małej Rusi i z nad Dniepru i z nad Niemna i z nad brzegów Wołgi, Donu i z Kaukazu i z dalekiej Syberji.

Idzie to nieszczęsne mrowie ludzkie, to mięso armatnie, bez końca... Dokąd? Na pozycje, by spełnić swój obowiązek!

Względem kogo i czego?...

By dać się zabić, lub okaleczyć, by zabijać i okaleczać! Po co? Na co? Dlaczego?...

Coraz częściej spotyka się na ulicach powracające z pola walki, od strony rogatek Jerozolimskich i Wolskich, tabory wojskowe z połamanyimi wozami, potrzaskanymi samochodami, pogruchotanymi armatami i aeroplanami swoimi, lub wziętymi, jako zdobycz wojenna.

Coraz częściej widać ambulansowe karetki wojskowe i tramwaje, oznaczone czerwonym krzyżem, pełne rannych, dążące w kierunku szpitali.

.

Pamiętam, gdy po raz pierwszy w ostatnich dniach września przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich ujrzałem jeńca niemieckiego, rosnącego kawalerzystę, o twarzy zmęczonej, ubranego dostatnio, w pikielhaubie, przykrytej szarym płótnem, w długich żółtych butach; wielki tłum ciekawej gawiedzi szedł za nim: Niemiec trzymał się

hardo i wszystkie pytania publiczności milczeniem zbywał.

Teraz zjawisko to spowszedniało. Coraz częściej i coraz większe grupy jeńców widywano. Jednak jakoś zdawało się, że było ich za mało w stosunku do ilości przywożonych wciąż rannych.

Gazety donosiły o zajęciu całej Belgji przez Niemców, o wzięciu wszystkich belgijskich fortec, o upadku Antwerpji, o barbarzyństwach...

Natomiast u nas dziwiono się, dlaczego to Rosja ostrzej nie naciera i nie idzie całą siłą na Niemców, a tymczasem na pomoc sprzymierzonej Francji, bo powszechnie opinja publiczna była przekonana, że skoro tylko Rosja swe siły zmobilizuje, dobrze Niemcom skórę strzepie, tym więcej, że gazety stale głosiły o udatnych zwycięskich utarczkach i bitwach wojsk rosyjskich z Niemcami we Wschodnich Prusach.

.

Nagle rozeszła się pogłoska o wielkiej porażce Rosjan w okolicy jezior Mazurskich pod Osterode, gdzie więcej niż dwa rosyjskie korpusy zostały rozbite, a dowodzący generał Samsonow, jeden ze zdolniejszych w armji rosyjskiej, wzięty został do niewoli.

W parę dni potem komunikat rządowy otwarcie to przyznawał, co sprawiło na publiczności bardzo dodatnie wrażenie. Publiczność czytała z pewną wiarą i ufnością komunikaty nawet nie bardzo pocieszające, gdzie było i nieco zwycięstw i trochę porażek, a okazywała zdenerwowanie, niepokój, trwogę, gdy komunikat kilku frazesami o ogólnym do-

brym lub zadawalniającym stanie rzeczy chciał się pozbyć natręta, w kształcie ciekawości ludzkiej, lub na dni parę milkł zupełnie.

Setki więc rannych przywożono do Warszawy koleją Mławską na dworzec Kowelski, skąd tramwajami, lub na strażackich, odpowiednio urządzonych, platformach rozwożono ich do różnych szpitali.

Miejsc na salach szpitalnych brakło. Umieszczano rannych na korytarzach, wreszcie na podłodze. Wszystkie niemal szpitale warszawskie zamieniono na szpitale dla rannych. Dalej zamieniono na szpitale: gmach tak zwanego Suworowskiego korpusu kodetów w Alejach Ujazdowskich, politechnikę, znajdującą się obok mokotowskiego pola wyścigów konnych, instytut maryjski przy ulicy Wiejskiej, szereg gmachów szkół średnich, prywatne pałace, jak pałac Sobańskiego, przy Alei Ujazdowskiej. A jednak miejsc brakowało; część więc rannych ewakuowano w głąb Rosji.

Wszelkie fachowe i nie fachowe organizacje, przeróżne towarzystwa, tworzyły sześciotygodniowe kursa pielęgniarские, na które zapisywali się inżynierowie, adwokaci, aktorzy, aktorki, sklepowe, szwaczki, — wszyscy chcieli pomoc nieść rannym: słowem — zapanowała moda niesienia ulgi rannym. Nie wiem — może moda lepsza, niż inne—ale wiem, że lekarze nie byli zadowoleni, bo wytwarzał się zamęt i chaos. A władze rosyjskie, nie umiejąc zorganizować, zmobilizować i zużytkować swe własne, wcale dobre, fachowe siły, udawały się aż... do Ameryki po lekarzy!

Smutne to i śmieszne: więc swemu lekarzowi,

zarządzającemu oddziałem, a nawet szpitalem, płacono 250 do 300 rs., a lekarza amerykańskiego opłacono 300 dolarami, czyli 750 rublami. W końcu rząd spostrzegł się, że jedno więcej głupstwo płodzi i wstrzymano się z dalszym angażowaniem owych sił naukowych z za morza.

Szkoły to otwierano, to zamykano.

Uniwersytet i politechnikę zamknięto, kursa rolnicze odroczone. Czuć było wojnę w całej pełni. Czyż można było myśleć lub kazać młodzieży myśleć o nauce? — We wszystkich warszawskich pracowniach naukowych rozprawiano o wojnie i tylko o wojnie; jak na warjata patrzano na tego, kto pytał, lub chciał się zająć jakąś pracą naukową. Powstały przeróżne Komitety, wszystkie związki jakiś z wojną mające. Zbierano starą bieliznę. Panie po domach szarpie rwały, jak w czasie powstania 63-go roku, nie uświadamiając sobie i nie uświadamiane przez nikogo, że w czasach dzisiejszych, wobec innych opatrunkowych materiałów szarpie są conajmniej zbyteczne. Ludzie chcieli z siebie coś dać, coś zrobić, lecz brakowało kierownictwa, zarówno w polityce, jak i w zwykłej codziennej pracy — powstał zamęt tu i tam i niestety zamęt trwa...

Przeciętny Warszawiak, czy Warszawianka kłopotali się prócz tego ciąglem podnoszeniem się cen produktów, niemożliwością dostania drzewa, węgla, nafty, cukru, potym chleba, mięsa. Dostawcy świetne interesa robili; restauracje, choć bez wódki, kawiarnie, cukiernie — pełne; muzyka gra; teatry czynne i przepełnione, oficerstwa mnóstwo wszędzie. Cóż — może dnie ostatnie!...

Język rosyjski ciągle i wszędzie. . . Naturalnie, tak być musi. . . A jednak jakoś przykro, boleśnie, jakaś zmora maskaradowa. Te uśmiechy, te żarty, te grzeczności, te zaloty! Cała Polska wyglądała, jakby nagle jej ród męski wyginął; zaleca się więc do niej kozak!

Ludność Warszawy, więcej w swej masie jednolita, była w ogólności i bezwzględnie wrogo usposobioną względem Niemców.

Nie da się zaprzeczyć, że spora część ludności, czy to dzięki temu, że wie, co ma, a nie wie, co mieć może, czy też dzięki szczerzej ufności w złudne obietnice, przez rosyjską odezwę wskazane, czy wreszcie dzięki wszechogólnemu lękowi przed zaborczym i niszczącym kraj nasz najazdem niemieckim, najmniej jednak dzięki mglistej słowianofilskiej ideologii, była w zupełności i bez zastrzeżeń po stronie Rosji, a nawet rządu rosyjskiego. Zbyt może daleko niejednokrotnie posunęła się w wyrażaniu swych uczuć sympatji — bez zachowania należytej godności.

Tak więc opinja całej ludności kraju i Warszawy, która była poniekąd wyrazicielką opinji całego Królestwa, przychylnie i z niekłamana sympatją była usposobiona względem wojska rosyjskiego, względem rosyjskiego narodu. W wojsku widziano aktualną siłę, która jedynie będzie mogła wstrzymać postęp niemieckiego najazdu i zapobiec dalszemu niszczeniu kraju, wzięciu ukochanej przez cały naród Warszawy.

W narodzie rosyjskim, również w jarzmie swego rządu się znajdującym, widziano przez bliższe się z nim zetknięcie i zapoznanie, sprzymierzeńca,

oraz zapowiedź, nierównie silniejszą i więcej szczerą, niż słowa odezwy, ziszczenia się “marzeń ojców i dziadów”.

... Mówią ludzie, że zwodniczą jest rzeczą apelować do rosyjskiego narodu, którego właściwie nie ma, a jest tylko Rosja — rząd. Nie wiem. Dalsze wypadki przebiegu wojny wskażą nam, o ile słusznym lub niesłusznym jest pogląd ów.

.

Naturalnie przynależność partyjna odgrywała także niemałą rolę w kształtowaniu się tej czy innej opinji.

“Narodowa demokracja”, do której organizacyjnie lub swymi sympatjami należy większość naszego drobnomieszczaństwa, była po stronie Rosji, — zarówno rządu, jak narodu; — “demokracja postępową” ze Świętochowskim na czele i “wolnomyśliciele” z Andrzejem Niemojewskim — po stronie rosyjskiego narodu, nie rządu. Ponieważ jednak w sprawach polityki zewnętrznej w ogólności, a w szczególności polityki tej rządu rosyjskiego, są nieraz nieuchwytnie granice, kiedy idzie naród z rządem, a kiedy rząd sam występuje, należy mieć takt polityczny dużej miary, by dostrzedz różnice istniejące i nie przekraczać w wyrażaniu swej przychylności i sympatji granic owych, bez narażenia godności narodowej, a nawet swej osobistej.

I oto partje odnośne ustami swych przedstawicieli niejednokrotnie zgrzeszyły nietaktem politycznym, choć może w przeświadczeniu jak najlepszych i najczystszych swych zamiarów.

Socjal - demokratyczna partja, nie schodząc ze swego partyjnego stanowiska w żądaniach ekonomi-

cznych, zarówno wrogo usposobiona przeciwko niemieckiemu militaryzmowi i jego zaborczym zakusom, jak i przeciwko rządowi rosyjskiemu, całą swą żywą sympatję zachowała dla narodu rosyjskiego.

Natomiast fronda narodowej demokracji, choć wrogo względem Niemców usposobiona, skłaniała się słabo ku Austrii, młodzież zaś, tak zwana niepodległościowa i polska partja socjalistyczna wyraźnie swe sympatje po stronie Austrii zaznaczała.

Mimo rozbieżność zdań i poglądów politycznych byłoby conajmniej niesprawiedliwością posądzać jednych, czy drugich o jakieś względy uboczne, o jakąś nieszczerłość. Jedni i drudzy na swój sposób chcieli zbawić Polskę i byli szczerze i święcie przekonani o swej racji; armji zaś polskiej, jedynej aktualnej siły, obecność której mogłaby pozwolić na otwarte postawienie kwestji niezależności Polski, a tym samym na zestrzelenie się myśli polskiej w jedno ognisko, nie było. . .

Wprawdzie mieliśmy już odezwy galicyjskie, wiedzieliśmy już o całej ewolucji "Komisji Tymczasowej" i utworzeniu "Polskiego Komitetu Narodowego", wiedzieliśmy także o Legjonach polskich i znaleźliśmy niektóre szczegóły ich wystąpień, — jednak nawet zwolennicy Legjonów nie mieli złudzeń co do tego, że kilkunastu lub kilkudziesięciotysięczne Legjony — to nie armja polska, nie strona wojująca, międzynarodowym aktem uznana, skoro władza rosyjska wydaje rozkaz wieszania legjonistów, złapanych jako jeńców wojennych, skoro rząd austriacki ze swych zupełnie polskich bataljonów nie może, czy nie chce ze względów politycznych utworzyć armji polskiej, choćby pod ogólnym

dowództwem głównego sztabu austriackiego, na wzór armji belgijskiej, walczącej na zasadach równego z równym z armją Francji i Anglii.

Boć argument, że to ze względów techniki wojskowej organizacji jest niewykonalnym, może trafić tylko do przekonania zupełnego analfabety spraw wojskowych.

...Odwrotnie—z punktu widzenia wyłącznie wojskowego probierzem szczerości, lub nieszczerości politycznych obietnic tego, czy innego rządu — byłoby dla nas wyeliminowanie (oddzielenie) żołnierzy-polaków i stworzenie z nich wojska polskiego, jako samodzielnej jednostki bojowej, co naturalnie technicznie łatwiej dałoby się zrobić w Austrii, gdzie całe pułki wyłącznie z polaków są złożone.

Ponieważ pod świeżym wrażeniem okrutnego obchodzenia się Niemców z ludnością, w miejscach, przez nich zajętych, niesłychanego niszczenia kraju część naszej młodzieży na ochotnika wstępuje do armji rosyjskiej, wyciągnięto stąd zbyt daleko idący wniosek...

Znalazł się współczesny Filip z Konopi i podał nieszczęsną i przykrą w warunkach naszych myśl utworzenia polsk. Legjonów przy armji rosyjskiej. Inicjator p. Górczyński otrzymał pozwolenie na formowanie ich, a narodowa demokracja wzięła je pod swoją opiekę. Na szczęście nie wielu znalazło się kandydatów, jednak liczba owych legjonistów pięciuset sięgała. Było tam nieco rzemieślniczej młodzieży warszawskiej do piechoty i paniczyków, synów obywateli, nawet z Podola, do ułanów. Mundury owych legjonistów wyróżniały się szerokimi lam-

pasami czerwonego koloru u spodni i czapkami — denko białe, lampas czerwony, na epoletach zaś mieli owi legjoniści wypisane litery “L. P.”, znaczenie których dowcipny nasz ulicznik warszawski wytłumaczył, jako inicjały wyrazów “lepiej poczekać”. Ale nawet i te niewinne litery były zbyt widocznie rewolucyjne w pojęciu i dla oka władz rosyjskich. Rozkazano zmienić na “D. P.” — drużyny polskie; ulicznik warszawski nie zgodził się jednak z takim tłumaczeniem...

Ale zostawmy rozstrzygnięcie tego sporu lingwistom politycznym powojennej doby, którzy niejedne jeszcze hieroglify dzisiejszej wojennej gmatwaniny zmuszeni będą odczytywać.

W końcu Legjony owe rozwiązano, a żołnierzy przeniesiono do różnych pułków wojsk stałych, kilku zaś legjonistów zawiedzionych w swych nadziejach i zaufaniu, odebrało sobie życie...

Naogół myśl ta Legjonów polsko - rosyjskich była bardzo nieprzychylnie przyjęta przez opinię publiczną i prasę, wyjąwszy gazetę “Dwa grosze” i “Gazetę Warszawską”, gdzie prowadzono agitację na korzyść Legjonów.

Wreszcie ze skąpo nadchodzących do kraju wiadomości z Ameryki dowiedzieliśmy się o tworzeniu się jakoby Legjonów Polskich w Ameryce. Ludzie nie obznajmieni wcale z tutejszymi warunkami, a coś niecoś wiedzący o licznych tutejszych stowarzyszeniach Sokołów i jakichś organizacjach wojskowych, sądzili przez chwilę o powstaniu planów na szeroką miarę pomyślanych. Skończyło się na isticie amerykańskim humbugu.



OKOPY.

...Jakże to przecie nad wyraz przykro i boleśnie!
Naród, liczący przeszło dwadzieścia milionów ludzi,
pięć razy większy od Belgji, cztery razy od Serbji,
a trzy razy większy od Bułgarji, mogący dostarczyć
przeszło półtora miliona żołnierzy armjom rosyj-
skiej, niemieckiej i austriackiej, jest igraszką w rę-
kach wszystkich trzech zaborczych rządów, na któ-
rą, jak się sprzykrzy, napluć i kopnąć można.

SIÓDMY DZIEŃ OPOWIADANIA.

Zimne, słotne jesienne dni następowały... szare, ponure i coraz więcej ponure wieści z sobą przynosiły... Mieszkańcy wzajemnie się zapewniali, że Warszawy Niemcy nie wezmą, a Rosyjscy oficerowie warszawiaków w tym przeświadczeniu utrzymywali. Ludziska pocieszali się, jak mogli, nawet przepowiedniami. Czytano przepowiednie p. de Thebes, która już na listopad obiecywała różne nieprzyjemne rzeczy cesarzowi Wilhelmowi II., ale naturalnie — tego, co miało przypaść w udziale Mikołajowi II., nie drukowano — ze względów cenzuralnych. Pojawiła się także przepowiednia jakiejś wróżki warszawskiej. Przepowiednia ta przechodziła z rąk do rąk w odbiciu hektograficznym, również ze względu na swą treść niecenzuralną. Ciekawa jest ona z powodu sprawdzania się dotychczasowych wypadków. Podam ją przy końcu, nie chcąc przerywać toku opowiadania.

.

Pewnego poranku cała ludność Warszawy została rozbudzona nagłą kanonadą. Traaaa... — salwy karabinowe. Tra — ta — ta — ta..... kulomio-

ty. Głuche w pewnych odstępach bum... bum... strzały armatnie. I tak bez przerwy.

Co się stało?

Czyżby już niemcy pod murami Warszawy?...

Sporo ludzi ciekawych wybiegło na ulicę: oto wywiadowczy aeroplan niemiecki przelatywał ponad Warszawą i jej fortami, a z fortów go ostrzeliwano, lecz jak się pokazało, bez skutku. —

Choć były skąpe i nie nazbyt niepokojące wieści w gazetach, pantoflową pocztą wiedzieliśmy, że niemcy już zajęli Płock, są w pobliżu Pułtuska, Ciechanowa, niedaleko nawet Modlina (Nowo-Georgiewsk). Dalej, Niemcy zajęli Mławę i dążą w stronę Przasnysza. Wreszcie na kolei Wiedeńskiej dowiadujemy się, że już do Kutna pociągi nie chodzą; następnego dnia nie wiadomo było jeszcze czy pójdzie pociąg do Łowicza; Piotrków był już zajęty, Radom także. Półkolem niemcy zbliżali się do Warszawy.

Na dworcach Kowelskim i na Pradze, na Petersburskim, a szczególnie na dworcu Terespolskim — tłumy publiczności. Na dni parę naprzód trzeba było zamawiać bilety. Wszystko to uciekało w stronę Kijowa, Moskwy i na Litwę. Nieraz aż dziesięć rubli trzeba było dawać tragarzom za łaskawe wykupienie biletu i wyekspedjowanie rzeczy.

Znowu nad Warszawą w godzinach popołudniowych ukazał się aeroplan niemiecki, lecz tym razem z bombami i rozrzucił kilkanaście w różnych częściach miasta, powodując śmierć i okaleczenia kilkunastu osób, oraz częściowe zniszczenie niektórych domów. Prawda, to spowodowało jeszcze wię-

cej wzmożoną ucieczkę mieszkańców Warszawy, jednak pozostali tak się jakoś dziwnie przyzwyczajali do wszystkich tych okropności wojny, że gdy już teraz niemal co dnia odwiedzały Warszawę "gołębie" niemieckie, ludzie co najwyżej na chwilę chronili się do bram domów, nad którymi przelatowały, by następnie wyjść i w dalszym ciągu załatwiać swe interesa.

Już i gazety dalej milczeć nie mogły i przynosiły coraz smutniejsze wiadomości. Z Łodzi poraz trzeci uciekły władze i masa mieszkańców. Pociągi dochodziły już tylko do Skierniewic. Uciekinierzy z miejsc dalszych przyjeżdżali samochodami, lub końmi, płacąc wprost bajeczne sumy za przejazd. Żelazny pierścień wojsk niemieckich coraz więcej zacieśniał się w kierunku Warszawy: od Wisły począwszy od Kozienic po przez Pilicę, w stronę Nowego Miasta i Rawy aż do Skierniewic, Łowicza, Wyszogrodu nad dolną Wisłą. Nieco luźniej było na prawym brzegu Wisły, choć również od Mławy siły niemieckie nadciągały w stronę Modlina i Nowego Dworu.

Wypadki teraz następowały po sobie z błyskawiczną szybkością. Jakkolwiek tu i ówdzie w kołach rosyjskich mówiono i powtarzano, że z czysto strategicznego punktu widzenia był projekt zaraz z początkiem wojny ustąpić Warszawę i to zupełnie nie decydowałoby o dalszym przebiegu wojny, jednak głównodowodzący rosyjską armją wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, ze względu na przychylnie i przykładne zachowanie się ludności polskiej, uważał za swój moralny obowiązek za wszelką cenę utrzymać Warszawę i obronić ją przed Niemcami.

Zabawny projekt i równie śmieszne motywy obrony stolicy naszej!... Ale o tym mówiono i to dodawało dużo otuchy mieszkańcom.

.

Po stoczeniu szeregu bitew, połączonych z olbrzymimi stratami, ale zwycięskich, Niemcy żwawo posuwają się naprzód w stronę Warszawy.

O austriakach wiedzieliśmy, że zwycięski ich pochód na południu Polski, w Lubelskim, na Wołyniu, przez Rosjan został nie tylko wstrzymany, lecz wojska ich zostały odrzucone za Wisłę, za San — nawet Lwów został przez Rosjan zajęty. Teraz jednak wzmożone posiłkami niemieckimi austriackie wojska ponownie zajmują Radomskie, docierają do Wisły, częściowo prą nawet Rosjan za San.

W Warszawie znowu z dniem każdym zwiększa się liczba uciekinierów z pobliskich miast i wsi. Coraz częściej na ulicach spotykamy wozy włościańskie, zaprzężone w parę, lub jednego konia, naładowane pościelą i sprzętami domowymi: na wierzchu siedzi kobieta z dziećmi, mężczyzna idzie tuż przy wozie, poganiając konia; do wozu z tyłu na postronku przywiązana krowa, obok biegnie pies podwórzowy.

Ze spalonych wiosek, ze zrujnowanych miast, ciągną biedni uciekinierzy z resztką swego dobytku do Warszawy. Przenoszą się na Pragę, by tam się zorientować, co dalej począć, gdzie się udać... — a tymczasem mokną na słońcu jesiennej!

Niemcy coraz bliżej. — Codzień aeroplany niemieckie nad miastem fruwać.

Od południa Niemcy już zajęli Górę Kalwarję, Grójec i dążą pod Piaseczno. Od zachodu zajęli Ra-

wę, Skierniewice, Mszczonów, Sochaczew i dążą w stronę Błonia, Grodziska. Rosjanie i tu nie mogą się oprzeć silnej ofenzywie wojsk niemieckich... Już walki toczą się w okolicach Piaseczna, Sękoci-na... Pociąg, idący z Grodziska do Warszawy był ostrzeliwany przez żołnierzy niemieckich pod Milanówkiem... Pociągi chodzą już tylko do Pruszkowa... Grodzisk, Milanówek, nawet Brwinów przez Niemców zajęte! — Walki podjazdów już w okolicy Błonia!

A tymczasem wojska austriacko - niemieckie podchodzą pod Dęblin (Iwangród) i już przeprawiają się przez pontonowe mosty na Wiśle. — Jeszcze chwila... — Jeszcze jeden potężniejszy napór wojsk niemieckich i, zda się, Warszawa będzie w rękach Niemców.

Dziwne! — A jednak warszawiacy, jak dzieci, nie zdając sobie zupełnie sprawy z całej grozy położenia, jakoś intuicyjnie byli pewni, że Warszawy Niemcy nie wezmą.

.
Pamiętam... mżyło: "kapuśniaczek" jesienny już kilka dni z rzędu padał, a niebo jakoś nigdzie się nie przecierało. Nie było właściwie zimno, jednak wilgoć tak przejmowała człowieka, że nieraz i dreszcz zimny przeleciał — i jakoś bezbrzeżnie smutno i nudno robiło się na duszy, a w oczach wilgotno.

Stałem na chodniku w Alejach Jerozolimskich z przepaską czerwonego krzyża na ramieniu, czekając na znajomego lekarza wojskowego, z którym mieliśmy razem jechać w karetce ambulansowej za

jednym z bataljonów piechoty rosyjskiej, zdążających na pozycje.

Wciąż pociągi podwoziły coraz nowe zastępy wojsk. Wciąż szeregi, przeciągając ulicami miasta do okopów, na pozycje śpieszyły. Publiczność darzyła przechodzących żołnierzy papierosami, jedzeniem, a oficerom panie kwiaty dawały. Wtedy niejednemu łza w oku stanęła, gdy dziękując, przelotnie spojrzął w twarz kobiecie, dziecku, wspomniawszy własną rodzinę, od której niedawno oderwany został. Przemknęła myśl — pytanie, czy kiedy ujrzy raz jeszcze w życiu najbliższych sobie... Ruchem nagłym odwraca spuszczoną głowę i smętny swój wzrok wpija w to szare, chlupiące błoto pod nogami, automatycznie naprzód kroczy, zapominając o wszystkim dokoła, a myśl pieści oczyma duszy—widokiem ukochanej matki, żony, lub dziełek...

Coraz częściej w pośród wojsk, bez przerwy idących, spotykają się szeregi żołnierzy w "papachach" (czapki barankowe z długim włosiem).

Są to owe strzeleckie pułki syberyjskie, które wówczas przełamały silną ofensywę niemiecką. Są to owe pułki syberyjskie, złożone więcej niż w połowie z Polaków, z naszych krzepkich Maćków, Bartków, którzy hen z za Uralu, z nad Bajkału przywędrowali nagle w strony rodzinne, zniszczone, spalone, by prac Niemców, by wyrzucić ich z kraju ojczystego, by pomścić się krzywd doznanych...

...Idą. — Choć zmęczeni i poważni, lecz wesoło; po junacku maszerują nasze Maćki, ufni w swe siły i z wiarą, — naprzód!

Coraz częściej w szeregach słyhać mowę polską i rdzennie polskie zakłęcie “psiakrew”.

Nagle w dali słyżę niezupełnie czyste tony skrzypiec i fujarki... Co za swoista orkiestra?! Wiem przecież, że w rosyjskim wojsku orkiestry skasowano.

— Także?!... tańczą na swym pogrzebie — przemknęło mi przez myśl.

Patrzę. Idzie w szeregach orkiestra.

Jakiś żołnierz na fujarce, drugi brodaty, zdaje się starszy, na skrzypicy tną od ucha kujawiaka na nutę “Ot świerszcz, świerszcz z za komina, a zobacz tam, której niema”.

Znika jakoś w wojsku, już blisko pola walki, ów suchy i niepotrzebny “dryl” wojskowy, głupi zewnętrzny przejaw wojskowej dyscypliny. Jakoś swobodniej... Teraz nie żarty. O śmierć i życie idzie! Zda się, lud z nędznej, biednej swej chałupy na świat, w życie spojrział i zamierza sam swój los w krzepkie, spracowane ująć dłonie!

.

Już drugi rok trwa ta największa w dziejach świata wojna, a dotąd żaden z rządów Europy nie podał dostatecznej przyczyny, nie rzucił tych wielkich haseł, w imię których trwa dzika walka, w imię których którykolwiek z tych rządów miałby moralne prawo szafować w tak olbrzymich rozmiarach życiem i pracą ludzką.

Przecie ani rządy Anglii i Francji nie mogły się zdobyć na wystawienie hasła: za wolność narodów Europy, o stworzenie Federacji Wolnych Ludów, ani rząd Rosji nie dorósł do zadania, by rzu-

cić hasło stworzenia federacji wolnych słowiańskich narodów. A dziś już za późno!

Jak upiory z grobu, podnoszą się groźne zagadnienia społeczne, przywalone dotąd ciężkim kamieniem współczesnych organizacji państwowych. Centralne państwa, raczej Prusy, wyłaniają coraz wyraźniej niewspółczesne, feudalne, imperjalistyczne hasło stworzenia olbrzymiej niemieckiej monarchji od Bałtyku po Adrjatyk, a nawet aż po Morze Czarne, jako związku małych państw pod egidą i supremacją Prus i Hohenzollernów. Bądź co bądź — jest to hasło.

Tymczasem góra dyplomatycznych mózgów aljantów spłodziła mysz — śmieszne, nie wytrzymujące rozumnej krytyki hasło: walki z militaryzmem niemieckim.

A jednak przyznać należy, że początkowo wojna z Niemcami zarówno w Rosji, jak i w Polsce od ruchowo, powiem passywnie, była popularna.

Nastrój w wojsku rosyjskim był dosyć poważny, lecz i tego nastroju, tej instynktowej popularności wojny rząd rosyjski nie tylko nie umiał na swą korzyść wyzyskać, odwrotnie — swymi szykanami względem żydów, swym zachowaniem się względem Polaków i swego własnego narodu — nastrój ten, popularność ową zniweczył i pozostanie nadal przy przysłowiowym z bajki rozbitym korycie...

.

Deszczyk wciąż kropi. Dźwięki skrzypek zamilkły. Słychać tylko miarowe kroki żołnierzy, dzwonki tramwajów, a zdala głuchy huk strzałów armatnich.

Nadjeżdża wreszcie znajomy lekarz. Ha trudno! Co będzie, to będzie, siadam. Jedziemy...

Wyjechaliśmy na szosę, jeszcze jeden domek mijamy i... jesteśmy już za Warszawą, w otwartym polu. Nieco chłodniej się zrobiło. Zawijamy się lepiej w swe szynele. W początku trochę rozmawiamy, palimy papierosy, aż w końcu zaczynają się nam kleić powieki, zaczynamy się kiwać, zasypiamy na chwilę, budzeni to głośniejszym, dalekim hukiem armatnim, to nawoływaniem oficerów, to wracającymi do miasta taborami, ambulansowymi karetkami, lub wozami z rannymi.

Wiem, że jechaliśmy naprzód szosą, potym skręciliśmy na prawo, na drogę boczną. Już wieczór zapadał, gdy stanęliśmy na skraju lasu, obok jakiejś chałupy, do której przynoszono i z której wynoszono rannych, był bowiem tutaj, w okolicach Raszyna chwilowy postój czołowego lotnego oddziału Czerwonego Krzyża, jakich jest tysiące na przednich pozycjach armji.

Oddziały te mają powierzone sobie zadanie: nieść pomoc rannym, wyszukiwać ich i wynosić poza obręb pola walki, z tak zwanych pozycji, to jest z miejsc, przyległych okopom, a następnie po zrobieniu opatrunków wysyłać rannych do szpitali, na tyły armji, mówiąc technicznie — rannych ewakuować.

Wszedłem do chałupy. Tam na podłodze, na słomie leżeli ranni pokotem jeden obok drugiego, a dwaj lekarze, kilka Sióstr miłosierdzia i kilku studentów - sanitariuszów zajęci byli przy świetle ręcznych latarek robieniem opatrunków.

Praca to uciążliwa, bo przy ciągłych jękach chorych, bez przerwy dzień i noc, czasem i po tygodniu bez odpoczynku, z zaparciem się siebie ci ludzie pracują, niosąc ulgę rannym.

Zaglądam przez sień w podwórze. . . Na klepisku wpół rozwalonej i pustej stodołki urządzono tak zwany punkt żywnościowy, a z sąsiedków słysząc znowu jęki leżących tam rannych.

Na podwórzu kilka kuchni polowych, które teraz wyruszają w stronę okopów.

Coraz z pozycji przychodzą lżej ranni sami, posilają się trochę i tuż obok wozów z ciężko rannymi dążą w stronę Warszawy. Coraz zjawiają się z pozycji sanitariusze z cięższymi rannymi na noszach. Wszędzie bieganina, zgiełk, krzyki, jęki, przekleństwa!

. . . Już ciemno. Sylwetki ludzkie snują się w podwórzu niewyraźnie, choć głośno. Świateł prawie żadnych. Najwyżej tu i owdzie zapalony papieros swym nikłym światełkiem zaostrzy rysy tej, czy innej twarzy. Słysząc urywane wyrazy, urywane zdania. Czuje się na każdym kroku, że z każdą chwilą gorzej i gorzej; — wojska wciąż się cofają.

Wychodzę przed chałupę i siadam na opodal leżącej kłodzie; słyszę i spostrzegam siedzących tuż obok mnie dwóch żołnierzy, w narzuconych na plecy szynelach, z rękoma na temblakach po dopiero co skończonym opatunku, którzy czekają, by wraz z nową partją rannych udać się do jednego ze szpitali warszawskich.

Słyszę. . . jeden z nich mówi:

— Dieło driań. (Kiepska sprawa).

— Dlaczego? pytam.

— Jak dlaczego? Ja tylko co z pozycji — powiada. — Widzisz, znów naszego brata niemcy odrzucili za trzecią linię czołowych okopów... A my się cofamy i cofamy... Byłem ja przed kilku dniami w bitwie pod Łodzią... Kilku z naszej roty zostało... Były tam boje...

— A cóż, czyżby niemcy byli odważniejsi?

— Jakie tam odważniejsi! Prawda, jest to twardy i zajadły naród, ci niemcy, ale nie odważniejsi. Biją się inaczej. I zawsze w tym miejscu, gdzie napadają, jest ich więcej, niż naszych, ot i masz odwagę... Głowa jest u niemca, ot co... A jak oni to robią, czort ich wie... My wiemy, że u nas żołnierzy przecież więcej... Powiadają, że na tyłach mają dużo kolei żelaznych, więc prędko przewożą żołnierzy, gdzie im potrzeba...

— Co to znaczy — biją się inaczej?

— Pojmujecie, my idziemy do ataku łańcuchem, w kilku krokach żołnierz od żołnierza (szyk rozproszony, tyraljerka). Pod nieprzyjaciela podchodzimy "w pieremieżku", (to znaczy biegnąc naprzód niewielkimi grupkami, po kilku to tu, to tam). Padamy na ziemię, chowając się to w przydrożnym rowie, to pod miedzą, przy wzgórkku jakimś na polu, podle krzaków, gdzie się jaką zasłonę znaleźć da, i dajemy salwę... Upatrujemy przed sobą znowu miejsce, gdzie się następnie schować będziemy mogli... Podnosimy się, by przebiec znowu kroków kilkanaście, znowu padamy... i tak ciągle, aż wreszcie, gdy już jesteśmy na kroków 100—150 od okopów nieprzyjacielskich — rzucamy się wszyscy z okrzykiem i z bagnietem w rękę na przyczajonych w okopach niemców... Jak tylko dochodzi do ba-

gnetów, to już dobrze. Nasza bierze! Bagnety nasze lepsze! Tylko niemcy swoimi kulomiotami, a jest u nich dużo ich i dobre, starają się do bagnetów nie dopuścić.

— No, dobrze, a czyż niemcy atakują inaczej?

— “Poniatno” (rozumie się). Do ataku Niemcy zwykle idą w zwartych kolumnach, to dodaje im odwagi. Giną szeregi za szeregami! Jak z pod ziemi wyrastają wciąż nowe i idą na nas, jak robactwo, jak szarańcza, aż się przykrzy strzelać. Bo ot strzelamy i strzelamy, oni giną i giną, a za tymi wciąż nowe szeregi się zjawiają — jakby jaka nieczysta siła z nimi była... Prawda, sporo ich ginie, ale jak dojdą, to sobie rady z nimi dać nie możemy i musimy ustępować. Ot co!...

...a opowiadaniu temu wciąż wtórował huk armat, świst kul, zmięszane krzyki ogromnych tłumów w niedalekich już czołowych okopach...

Od strony artylerji rosyjskiej, stojącej poza nami, wciąż jeszcze przelatywały, gwiżdżąc nad głowami, bomby i szrapnele i padały przy okopach niemieckich. Wciąż jeszcze pociski niemieckie padały przy czołowych okopach naszych, pękając i wyrzucając obłoki dymu i kurzu. Jednak zażarta walka słabła stopniowo. Zapanowała nagle jakaś dziwna i groźna cisza.

Właśnie nowa partja rannych miała wyruszyć w stronę Warszawy. Obaj żołnierze zwolna powstali, pożegnali się ze mną i udali się do swych rannych towarzyszy broni.

Pozostałem sam.

Deszcz padać przestał. Poprzez grube warstwy chmur, poszarpanych i gnanych wiatrem od zachodu, przezierało od czasu do czasu srebrne światło księżycy i oświetlało smugami to wewnątrz z prawa znajdującego się lasu brzoźowego, to wilgotną a błyszczącą zoraną ziemię pól rozległych przedemną. Poprzez pola, niedaleko od chałupy, przebiegała boczna, obecnie bardzo błotnista droga na północny zachód, rzadka wysadzana rozczochranymi, pozbawionymi teraz liści wierzbami i ginęła za niewielkim pagórkiem przed lasem.

Z lewa ciągną się łąki, zdala majaczeję kształty domków jakichś...

A na horyzoncie widać groźne łuny pożarów...
Pałą się stogi zboża, wsie, miasteczka...

Jak rozkołysane morze ruchem szerokiej i potężnej fali wynosi w górę poprzerywane grzbiety spienionych bałwanów i na chwilę zamiera, — tak na rozległych, zlekka pagórkowatych polach powstały poprzerywane miejscami grzbiety wałów-okopów tylnych.

...Tam teraz ukryci znajdują się żołnierze rezerwy, którzy każdej chwili mogą otrzymać rozkaz zająć miejsca zabitych swych towarzyszy w okopach czołowych, którzy każdej chwili powinni być w pogotowiu wspomódz zagrożone miejsca okopów przednich, jeżeli je ze względów taktycznych, za wszelką cenę życia ludzkiego, utrzymać należy.

I choć tu bezpieczniej, jednak te długie chwile oczekiwania na przyjść mające niebezpieczeństwo i ciągłe trzymanie całej swej uwagi w jakimś boleśnie przykrym napięciu nerwowym — czyni dla

żołnierza pobyt w okopach tylnych znacznie gorszym, bo stokroć boleśniejszym, niż pójście do ataku, na bagnety, na śmierć pewną, nawet gorszym, niż siedzenie w oczekiwaniu w okopach czołowych.

Siedziałem ot tak sobie w zadumie...

Po piekielnym hałasie bajeczna naokół cisza...

Zdawało mi się, że nad każdym z tych żołnierzy w okopach świeci się jakiś płomyczek mały... Zdawało mi się, że widzę takie płomyczki także po tamtej stronie, nad niemieckimi okopami... Tych płomyczków tak dużo... tyle, ile żyć ludzkich na rozległych polach... A każdy — to zapalona latarenka pamięci, rzucają światło na szereg kinematograficznych obrazków z dotychczasowego życia poszczególnego mieszkańca okopów... A każdy cykl tych obrazków nawinięty jest, jak na wałku, na zwojach mózgowych...

Cisza... Tylko silniejszy wiatr tworzy poszum sąsiedniego boru... niesie przeciągły jęk nad mogilną ziemią... gnije ku ziemi gałęzie i pień młodego przydrożnego ogołoczonego z liści drzewka samotnej jarzębiny... przynosi na swych skrzydłach emanację miłości z odległych stron ku okopom.

A w okopach... żołnierz lepiej otula się w szynel, poprawia karabin, kładzie go koło siebie, lub na nasypie okopowym...

...Zmęczenie fizyczne, wyczerpanie moralne... sen oczy klei, a wtedy miłość rozkoszna wiatrem przywiana, zapala latarenki pamięci i przesuwa z wałka zwojów mózgowych owe obrazki przeżyć odległych lub niedawno minionych przed oczyma duszy stęsknionej...

Oto jakaś duża stacja kolejowa... wieczór, słabe latarniane oświetlenie... na peronie dużo ludzi... pociąg już ma odejść, a — on jeszcze raz i raz jeszcze wyskakuje z wagonu, całuje ręce stojącej na peronie staruszce-matce, pociesza ją i patrzy jej w twarz tak, jakby chciał z sobą zabrać te ukochane rysy... Płomyczek się ciągle pali...

Oto niewielki sklep szewski na jednej z bocznych ulic wielkiego miasta... on niedawno się ożenił, mają już kilkomiesięczne małżeństwo... właśnie podniósł w górę swoją córę i całuje ją a całuje, a żona tuż obok coś zapłakana... on jej pieszczotliwie mówi: "Bóg da, za 3 miesiące będę w domu"... jeszcze się żegna, jeszcze swoje niemowlę i swą żonę całuje... wychodzi. Płomyczek się pali...

Oto wieczór letni, dom wiejski z oświetlonymi i otwartymi na rozcież oknami jadalni. Wchodzi gospodarz, witany szczekaniem ulubionego psa i szczebiotem dzieci: — Tatusiu, już czekamy z kolacją!... Młoda kobieta, mamusia, siedzi przy stole i spojrzeniem pełnym miłości i kokieteryjnego wyrzutu za spóźnienie, zaprasza go do stołu... On się nachyla, by pocałunkiem zamknąć usta mamusi i nie słyszeć lekkiej, choć miłej wymówki... Świst kuli... roztrzaskany wałek zwojów mózgowych, rozbita latarenka pamięci; chwila, ból, jęk, słodki, ukochany wyraz...

Płomyczek palić się przestał..... płomyczek zagaś na zawsze...

Dużo płomyków... wciąż nowe się zapalają... niektóre gasną na chwilę... tu i ówdzie giną zupełnie...

Nagle, pośród tej zupełnej ciszy, donośny odgłos armatniego wystrzału... pochowały się płomyczki i ja się z zadumy, czy ze snu zbudziłem...

Ledwie świtać zaczynało... Coraz częściej powtarzał się huk armat, budząc miljonowe rzesze do ponownych codziennych zapasów na śmierć i życie... Z każdą chwilą wznagało się napięcie wojenne... a gdy dzień się zrobił, zawrzała bitwa na dobre...

.

Raz wystarczy przeżyć w ciągu godzin paru wszystkie okropności wojny, by w zupełności zrozumieć całą ohydę, całą potworność polityki rządów zaborczych państw, prowadzących swe narody do wzajemnej, okrutnej rzezi... Raz wystarczy w ciągu godzin paru przyjrzeć się temu, co wojna czyni z ludzi i z ich kraju, by zrozumieć, ocenić i wszystkimi siłami chcieć współdziałać temu ruchowi, który idzie pod hasłem stworzenia Federacji Wolnych Ludów, gdyż tylko ucieleśnienie tej idei może być gwarancją trwałego pokoju!... — Póki istnieją państwa zaborcze, feudalne, autokratyczne pod tą, czy inną konstytucyjną marką, póty rządy tych państw w swej polityce istotnymi sprawcami wojny były, są i będą.

Federacja Ludów Wolnych trwały pokój gwarantuje... Jeżeli nie inaczej, jak za cenę gwałtownych wstrząsów rewolucyjnych w państwach zaborczych ta myśl Federacji urzeczywistnioną być musi, to raczej to, niż dalsza wojna, dalsza dzika rzeź bratobójcza!...

ÓSMY DZIEŃ OPOWIADANIA.

Był to pamiętny dzień 20-ty października. Strzałów swoich od nieprzyjacielskich nie można było rozróżnić. Grzmoty wystrzałów armatnich i salwy karabinowe, terkotanie kulomiotów zlewało się w jakiś przepotężny, nieokreślony w swej fali i napięciu, ciągły, bez końca dźwięk.

To bezustanne drganie cząsteczkowe, w jakie kanonadą bez przerwy zostały wprowadzone masy powietrza, widocznie indukcyjnie oddziaływuje na t. zw. drgania cząsteczkowe kory mózgowej i aparatu słuchowego, bo wobec tej ciągłej strzelaniny odczuwa się swoisty, tępy, fizyczny ból, który człowieka rozkleja, nuży, do rozpaczki doprowadza, wywołuje bezwiedne, automatyczne drgania mięśniowe, póki się człowiek zwolna i do tego nie przyzwyczai. — Najlepszą na to radą — zająć się jakąś bardzo ciężką, fizyczną pracą: nosić rannych, kopać rowy, lub iść do ataku na bagnety, czego nieraz żołnierze z upragnieniem oczekują.

Baterja armat, stojąca niedaleko poza nami, parę razy swoją pozycję zmienia, nie tracąc jednak telefonicznego połączenia z czołowymi okopami. Tam znajdujący się oficer artyleryjski kontroluje,

jak pociski padają w okolicy okopów nieprzyjacielskich i kieruje ogniem swej baterji. Inna jakaś baterja pędzi co koń wyskoczy, z lewa ciągnącą się drogą boczną; zajeżdża na pozycje, gdy w tym pocisk armatni uderza w jadący za jedną z armat jaszczyk z nabojami. Wybuch! Słup olbrzymi dymu, przeraźliwy huk... kilku ludzi, kilka koni, rozszarpanych na kawały... Tam zdążają sanitariusze... — Pozostali przy życiu ludzie i konie spieszą dalej, by na wskazanej pozycji spełnić swoje wojskowo - taktyczne zadanie.

Nieprzyjaciel nie chce puścić rezerwy okopów tylnych do wspomaganania swym udziałem zagrożonych pozycji okopów czołowych, na które jest już skierowany cały impet ataku nieprzyjacielskiego, zarzuca więc bez przerwy przestrzeń, dzielącą okopy czołowe od okopów rezerw armatnimi pociskami, t. j. bombami, granatami, głównie jednak rozrywającymi się w powietrzu szrapnelami.

Zdaje się, na całej tej przestrzeni niema cała ziemi, nie pokrytego metalem. — Prócz zapobiegawczego ostrzeliwania przestrzeni między - okopowej, pomiędzy czołowymi a tylnymi okopami, — pociskami armatnimi strzelają także do żołnierzy, ukrytych w okopach, chcąc ich stamtąd wykurzyć, t. j. zmusić ich do wyjścia i sprowokować pójście do ataku, na przyjęcie którego zawczasu dobrze się w danem miejscu przygotowano. W obu tych wypadkach są w użyciu głównie szrapnele i granaty, bomby zaś przeznaczone są więcej do niszczenia fortów, budynków, mostów, wzmocnionych okopów.

Szrapnele tak są skonstruowane, że zależnie od ustawienia mechanizmu główki pocisku możemy

spowodować rozerwanie się (pęknięcie) szrapnela w powietrzu na żądanej wysokości, lub dopiero w chwili, kiedy uderza pocisk w coś twardego. Leci szrapnel ze swoistym sobie syczeniem: rozrywa się w powietrzu, kilkadziesiąt kulek spada na ziemię, bardzo często żadnej krzywdy nie czyniąc; jeżeli kulki te trafiają w ludzi, przebijają ciało dosyć powierzchownie, rany rzadko są niebezpieczne. — Szrapnel uderza jakiś kamień w polu, węgiel starej karczmy przydrożnej, wrywa kawał ściany domu, pęka i odłamkami swych ścianek i kulami, znajdującymi się wewnątrz pocisku, rani silniej, nawet zabija tych, którzy w pobliżu stali: w najgorszym razie dwóch, trzech zabitych, kilkunastu lżej, lub ciężiej rannych. — Ale bywa często i tak, że szrapnel zaryje się w ziemię i nie wybuchnie. Dopiero później przypadek, nieuważne nastąpienie nań spowodować może wybuch.

Co się tyczy granatów i bomb, to pociski te, naładowane materiałem wybuchowym, powodują istotnie szalone zniszczenie, jednak tylko w promieniu kilku metrów. Trafiony dom ulega wielkiemu zniszczeniu. Od wybuchu i nadmiernego ciśnienia gazów, drzwi, okna powyrywane i daleko od domu odrzucone, blaszany dach dziwacznie jakoś w trąbę zwinięty, ściana wygięta, a jakiś obrazek na ścianie zupełnie nietknięty!

Bomba pada na gromadkę żołnierzy spieszących z okopów tylnych ku przednim. Wielki słup dymu i ziemi... Wybuch ogłuszający! Rozszarpany literalnie na kawałki jeden żołnierz — zgniecona, zniekształcona część głowy, tu mózg, z resztą kości czaszki, o parę kroków dalej jedna noga, tu drugiej

kawałki wraz ze strzępami odzienia na krzaku pobliskim, z tułowia wraz z ziemią powstała jedna jakaś krwawo - szara masa... Dwóch, trzech żołnierzy rannych poważnie, dwóch, trzech kontuzjonowanych silnie.

Mimo wszystko pociski armatnie wogóle, a w szczególności bomby i granaty (bomby o zmniejszonym działaniu) nadzwyczajnych skutków w stosunku do pokładanych nadziei nie odnoszą. Więcej bodaj powodują przestraszu, działają na psychikę, na wyobraźnię, niż powodują istotnych strat w zabitych czy rannych.

.

Około południa Niemcy rozpoczęli tak zwany "huraganowy ogień". Coś strasznego! Istny grad kul, granatów, bomb, pada na pole walki. Zda się, nietylko ludzie w okopach, lecz i najmniejsze źdźbło trawy nie ujdzie z życiem. — Istotnie, zbyt dotkliwe straty były w rosyjskich szeregach. To też artylerja rozpoczęła pracę w celu zmuszenia do milczenia armaty niemieckiej. Częściowo zadanie to jej się udaje. — Coraz częściej przebiegają liczne zastępy wojsk z tylnych okopów ku czołowym bez względu na straty; coraz częściej słychać potężne okrzyki "hurra" w okopach czołowych, co świadczy o wielokrotnem uderzaniu na bagnety. — Hen, w dali od południo - wschodu poprzez łąki szarżują liczne zastępy kawalerji, zachodząc w bok nieprzyjacielowi. — Ponawiane ataki od strony okopów czołowych spotykają się z silnymi kontratakami przeciwnika, który ciągle i stale trzyma w swym ręku tak zwaną inicjatywę taktyczną bitwy, innymi

słowy Niemcy nadają bitwie swój plan, kierują bitwą, a rosjanie tylko się bronią.

Jeszcze chwila i wojska rosyjskie cofną się na “zgóry oznaczone i przedtym przygotowane pozycje” jak się zwykle w sprawozdaniach czyta.

Była godzina druga po południu. Świeże pułki syberyjskie jeszcze wczoraj i dziś od wczesnego ranka przychodziły na pozycje, do okopów rezerw.

Teraz “Sybiracy” w “pierebieżku” przelatują ostrzeliwaną wciąż przestrzeń między tylnymi i czołowymi okopami, usłaną już gęsto trupami lub rannymi. Dopadają okopów czołowych... Chwila odpoczynku... wzajemny przegląd sił pozostałych... Niemieckie kulomioty trejkoczą bez przerwy... Do ataku!... Z potężnym okrzykiem: “Jezus, Marja”, miast zwykłego “hurra”, lecą Maćki nasze już nie w “pierebieżku”, a ławą na okopy niemieckie wypędzić “psiakrew” Szwabów z rodzinnych wiosek.

Mocny ten okrzyk “Jezus Marja”, wydobywający się z wielotysięcznej piersi polskich żołnierzy w służbie cara, płynie na fali powietrznej... w stronę okopów niemieckich, odbija się bratniem, głębokiem echem w duszy polskiej żołnierzy w służbie pruskiej, żołnierzy obsługujących kulomioty.

Dzieje się cud... Kulomioty niemieckie nagle przestały trąkotać...

Żołnierze, Polacy z Poznańskiego, woleli śmierć od kuli wrażej, z ręki przygodnego towarzysza broni — Niemca, za niespełnienie swego obowiązku wojskowego, niż strzelać i zabijać braci swych z za miedzy granicznej. To bohaterowie!

Tymczasem Maćki — Sybiracy wpadają na okopy nieprzyjacielskie... Krótka, a tak straszna i

okrutna walka na bagnety, na kolby, na pięści... Jęki, przedśmiertne harczenie, błagania, przekleństwa, krzyki, urywane słowa... Niemcy dłużej nie są w stanie ostać się przeważającej i rozentuzjarmowanej sile...

I załamała się pierwsza ofenzywa Niemców pod Warszawą...

Inne pułki szybko nadeszły i gnały przed sobą nieprzyjaciela, zajmując wciąż dalsze i dalsze linje okopów. Szarże kawalerji dopełniały reszty... Brano sporo jeńców... Na przestrzeni kilku wiorst szła bezładna ucieczka nieprzyjaciela, a potem, choć w porządku, Niemcy wciąż się cofali pod zasłoną oddziałów arjergardy.

.

Rozpatrując ten epizod wojenny, strategicy—matematycy ściśle powiedzą nam: — Dzień przedtym cały korpus rosyjski wklinował się między część armji niemieckiej w okolicy Góry Kalwarji. Niemcy spostrzegli nagle dosyć silną przeszkodę dla dalszego swego pochodu na Warszawę. Noc całą szły przygotowania, by nazajutrz przeszkodę usunąć z drogi: koncentrowano siły większe, kosztem osłabienia pozycji innych.

Nazajutrz jednak niemcy uderzyli, jak w próżnię. Korpus gdzie się ulotnił! Nocą korpus poprzez pontonowy most na Wiśle częściowo przeprawił się na drugą stronę, częściowo uległ przegrupowaniu taktycznemu...

Dzięki temu manewrowi świeże i liczne pułki syberyjskie nadeszły w sam czas na wskazane pozycje, a liczebna przewaga, jako jeden z ważnych mo-

mentów przewagi taktycznej, zadecydowała zwyciężkie rozstrzygnięcie bitwy, złamanie niemieckiej ofensywy.

Jednak strategia, jako nauka i sztuka zjawisk wojny, w dużej mierze pod uwagę bierze pierwiastek życia, pierwiastek twórczy — artyzmu, zatem nawet w dzisiejszych czasach, przy tak udoskonalonej technice wojennej — nastrój walczącego żołnierza, a więc hasło, pod którym i sprawa, dla której się bije, niezmierną odgrywa rolę w zwycięstwie lub porażce.

Tutaj, nie hasło obrony caratu, nie obca nam sprawa, a bezpośredniość krzywd, przez barbarzyńskie niszczenie naszego rodzinnego kraju, owo mocarne “Jezus Marja”, owa relikwia pięknych tradycji zamierzchłej przeszłości, owo słowo zakłęcia, po którym rozpoznaje swój swego, brat brata w tej nieprzeliczonej, a wrażej nam ciżbie, obcej, choć na naszej ziemi — wywołuje nastrój, stapia w bratnim zespole tragizmu czynu bohaterską śmierć polaków-poznańców przy niemieckich kulomiotach i żywą chęć Polaków pułków syberyjskich wypędzenia Niemców z kraju, i obrony Warszawy...

W tym samym prawie czasie, po załamaniu się ofensywy niemieckiej pod Warszawą, wojska austriackie pod dowództwem generała Dankla, już bliżkie zwyciężkiego zajęcia fortecy Dęblina (Iwanogrod), otrzymały rozkaz cofania się ze względów strategicznych.

Ten rozkaz z głównej kwatery wpłynął ujemnie na wojska austriackie. Łatwo powstać mogła panika... Legjony polskie otrzymują rozkaz walkę arjergardową, zasłaniać i zabezpieczyć spokojny

odwrót całej armji austriackiej. Legjony wspaniale wywiązują się z włożonego nań zadania i na swych plecach wstrzymują całą nawałę ścigających wojsk rosyjskich. Pierś Legjonów polskich zasłania całą jedną armję austriacką od poważnych strat... Czy dla siebie?...

.

Tymczasem i do naszego lotnego oddziału przyszedł rozkaz już tak koło godziny czwartej do wyruszenia naprzód za wojskiem. Nie ulegało więc już żadnej wątpliwości, że Niemcy z pod Warszawy się cofają.

Przejeżdżaliśmy przez niedawne pole niesłychanych w dziejach walk, zarówno co do ilości biorących udział w bitwie wojsk, jak i pod względem tych technicznych udoskonaleń do szybkiego pozbawiania życia, lub kaleczenia. Tutaj dopiero w zupełności ocenić mogliśmy przerażające w swych skutkach działanie najstraszniejszej broni współczesnej, t. j. kulomiotów, które w minutach kilku znosić mogą bataljony całe.

Widzieliśmy szeregi żołnierzy podciętych kulomiotem jak kosą... Na stu żołnierzy, przebiegających z pozycji tylnych do okopów czołowych, pod czas ostrzeliwania tej przestrzeni przez pociski armatnie, ginie, lub staje się niezdolnymi do dalszej walki dziesięciu. Na stu żołnierzy, idących z czołowych okopów do ataku, ginie nieraz dziewięćdziesięciu od kulomiotów.

Wszędzie dokoła słyhać jęki rannych, błagalne głosy o wodę, o ratunek, nieraz o truciznę lub dobiecie, by skrócić im męczarnie bólów. Sanitar-

jusze, siostry, lekarze nie są w stanie pracą nadążyć i wprost padają ze znużenia i wyczerpania.

Opodal koń w zaprzęgu w dziwacznej pozycji siedzącej, wsparty na przednich nogach, usiłuje wstać, męczy się, wydaje jakieś przykre dźwięki — napróżno. Odłamkiem pocisku armatniego został zraniony w dolną część kręgosłupa, ma sparaliżowane zadnie nogi. Tuż obok przy roztrzaskanym przodku armatnim strzępy ciała i ubrania jakiegoś żołnierza, porozrywane części trupa konińskiego. Podbiega jeden z sanitariuszy i dwoma wystrzałami z rewolweru w głowę skraca koniowi cierpienia. Człowiekowi tego nikt nie zrobi, a jednak... wielu z leżących na tych polach rannych żołnierzy mogłoby pozazdrościć koniowi losu jego...

Masa trupów ludzkich i konińskich wszędzie — na polach, na drogach, w przydrożnych rowach, stosy ich w okopach i przed okopami.

No, dosyc tego... To wystarczy...

DZIEWIĄTY DZIEŃ OPOWIADANIA.

Jak już wyżej wzmiankowałem, armje niemiecko-austrjackie dotarły bezpośrednio do linii Warszawa — Kozienice — Dęblin. Jednak 20 października, lewe skrzydło armji niemieckiej pod Warszawą (bitwy w okolicach Mszczonowa — Pruszkowa — Grójca) poniosło porażkę. Ofenzywa niemiecka, dzięki obronie czynnej armji rosyjskiej, opierającej się o Warszawę, została przełamana. Sztab rosyjski, wyzyskując właściwości obronne nadwiślańskiego terenu, t. zw. "place d'armes", rozpoczął głęboki ruch oskrzydlający od strony Modlina, w kierunku na Sochaczew.

Generał niemiecki Hindenburg nakazał odwrót wojsk 23 i 24-go października: Niemcy zostali już wyparci z Łowicza, Skierniewic i Rawy, 28-go — z Radomia, 30-go z Gostynina, Łęczycy, Łodzi, a 31-go z Piotrkowa. Wojska niemieckie cofnęły się za ufortyfikowaną zawczasu linię Kalisz — Częstochowa. W ciągu godzin kilku niewielki oddział kawalerji rosyjskiej był nawet w granicach państwa pruskiego w miasteczku Pleszewie, niedaleko Kalisza.

Nieco dłużej opierali się austriacy na obu brze-

gach Wisły. Tam zagrożeni oskrzydłującym ruchem wojsk rosyjskich wzdłuż prawego brzegu Pilicy, rozpoczęli oni odwrót z linii Kozienice — Dęblin, między 24 a 27 października, a z linii Puławy—Sandomierz między 28 października a 2 listopada; 5-go listopada rozpoczął się odwrót na całej linii, 6-go wojska rosyjskie atakowały Legjony nasze, stanowiące arjergardę cofającej się armji austriackiej nad rzeką Nidą, a 7-go — nad Nidzią; 9-go listopada wojska rosyjskie zajęły już główne punkty linii austriackiej: Rzeszów, Sanok, Lisko, a 11-go listopada wznowiona została blokada Przemyśla, przerwana w ostatnich dniach września.

Bezpośrednio po odrzuceniu Niemców z pod Warszawy rozpoczęła się żywa akcja na wschodnio - pruskim froncie. Kiedy zaczepny ruch niemiecki przeciwko obronnej linii niemeńsko - narewskiej został zlikwidowany, wojska rosyjskie rozpoczęły nową ofensywę w Prusach Wschodnich i już w połowie listopada zbliżały się ponownie do linii: Działdów — Nidbork — Ełk — Gołąb — Gąbin.

W początkach drugiej połowy listopada Niemcy rozpoczynają kontrofensywę między Wisłą a Wartą, na linii Łęczyca — Orłów (18 listopada), rosjanie natomiast prowadzą pomyślną akcję w Kieleckim i w Galicji zachodniej: 19-go listopada zajęły wojska rosyjskie Użok, Duklę, Gorlice i Wiśnicz, 21-go — Nowy Sącz, 24-go weszły do Homonnej na Węgrzech, 26-go zdobyły Bochnię, 30-go miały już w swym ręku węgierskie stoki Karpat od Homonnej do Bardyjowa, wreszcie 1-go grudnia zajęły Wieliczkę.

Twierdza krakowska była już z trzech stron otoczona, od północy, wschodu i południa i oblężenie jej miało się lada dzień rozpocząć. W ciągu dwóch tygodni odbywały się zażarte walki w okolicach Krakowa; jednak wkrótce armja rosyjska cofnęła się z pod Krakowa, nastąpiły bowiem poważne zmiany w strategicznym ukształtowaniu się sił z powodu nowej a nagłej generalnej ofensywy niemieckiej przeciwko warszawskiemu trójkątowi obronemu (Modlin — Warszawa — Dęblin). Tym razem cesarz niemiecki wraz ze swą generalicją, a właściwie mówiąc generałowie Hindenburg i najzdolniejszy z dowódców niemieckich Mackensen umieli skorzystać z doskonałego „place d’armes”, jaki przedstawia twierdza toruńska. Opierając się o tę twierdzę, pchnęli oni całą masę wojsk z linii Toruń — Kalisz.

Dzięki temu niemieckie wojska przedłużają swój front między Wisłą a Wartą, opierają swoje lewe skrzydło bezpośrednio o Wisłę, by w łożysku rzeki mieć wystarczającą osłonę przed ewentualnym nowym ruchem oskrzydłającym, brak bowiem tej osłony umożliwił w październiku oskrzydlenie od strony Modlina i zmusił armję niemiecką do odwrotu.

Utworzywszy tak ogromnie wydłużoną linję bojową, niemieckie wojska po raz wtóry idą na Warszawę i rozpoczynają największą i najdłużej trwającą bitwę na wschodnim froncie.

Bitwa ta zaczęła się w końcu listopada, 1914 roku, a skończyła się dopiero w początkach sierpnia, 1915 roku — wzięciem przez Niemców Warszawy. Olbrzymią tę bitwę wypada podzielić na trzy okre-

sy: walki pod Łodzią, Łowiczem i pod Sochaczewem (nad Bzurą i Rawką) aż do wzięcia Warszawy.

Bitwa wielka pod Łodzią rozpoczęła się bezpośrednio po udatnej kontr-ofensywie niemieckiej na linii Łęczyca-Orłów. Dnia 20 listopada dwa korpusy niemieckie pod dowództwem generała Mackensena przerwały centrum dyzlokacyjnej linii rosyjskiej Stryków - Brzeziny - Koluszki - Rogów-Tuszyn. Tymczasem wojsko rosyjskie atakiem nocnym na 23-go listopada wypiera Niemców z Brzeziny, posuwa się ku frontowi Łódź - Koluszki i otacza prawie zupełnie owe dwa niemieckie korpusy Mackensena. Niemcy teraz dla uratowania swej osaczonej gwardji, której zostało jedyne wyjście pomiędzy Łodzią a Brzezunami, zajmują ponownie dnia 25 listopada Brzeziny znacznymi oddziałami jazdy i piechoty. Nazajutrz wojska rosyjskie ponownie podeszły do Brzeziny, było już jednak za późno — osaczone dwa korpusy wojska niemieckiego choć z olbrzymimi stratami zdołały się przedrzeć z powrotem, w kierunku Strykowa; niemieckie zaś oddziały, które przez zajęcie Brzeziny spełniły już swe taktyczne zadanie, teraz przy zbliżaniu się wojska rosyjskiego, wieczorem, 26 listopada opuściły miasto i zajęły swe okopy w odległości 8 wiorst od Brzeziny. Tutaj, korzystając z warunków naturalnych, Niemcy zbudowali kilka pasów ufortyfikowanych, z których każdy składał się z okopów, zbudowanych według najnowszych wymagań sztuki inżynieryjnej. Rowy były głębokie i zaopatrzone w blindaż — są to silne ochronne dachy okopowe przed pociskami armatnimi; linje

ufortyfikowane umieszczone były poza wsiami i szerokość ich dochodziła do wiorsty. Tymczasem wojska rosyjskie po zajęciu Brzezin, dnia 27 listopada zaczęły nacierać na Niemców i dotarły aż w okolicę ich pozycji ufortyfikowanych.

O godzinie 5 zrana, dnia następnego, artylerja rosyjska rozpoczęła silny ogień i przy jej wsparciu kilka pułków rzuciło się do ataku. Przebiegłszy spaloną i opuszczoną przez mieszkańców wieś, Rosjanie dotarli do pierwszej linii okopów i wpadli do ich wnętrza. Niemcy liczyli przede wszystkim na swój ogień karabinowy i szrapnele; ich artylerja była jeszcze czynną, gdy wojska rosyjskie znajdowały się o 100 kroków od szanców. Piechota do ostatniej chwili strzelała, usiłując odeprzeć atak. Kule niemieckie padały z drugiej i trzeciej linii szanców jeszcze wówczas, gdy Rosjanie zdobyli okopy pierwsze. Atak rosyjski się wzmacnia. Zdobyto bardzo szybko pięć dalszych linii ufortyfikowanych.

Gdy się skończyła walka na bagnety, zagrały armaty niemieckie z drugiego pasa ufortyfikowanego.

Rozpoczęły się dalsze walki.

.....
Jeszcze bitwy pod Łodzią się nie skończyły, gdy już rozpoczęła się bitwa pod Łowiczem.

W pierwszych już dniach grudnia stawało się widocznym, że główne wysiłki obu walczących stron skoncentrowane są na froncie Iłów-Łowicz. Kulminacyjnym punktem tej bitwy były szalone ataki niemieckie na pozycje rosyjskie w okolicach Iłowa, Główna i Łowicza. Ani pod Łodzią, ani pod

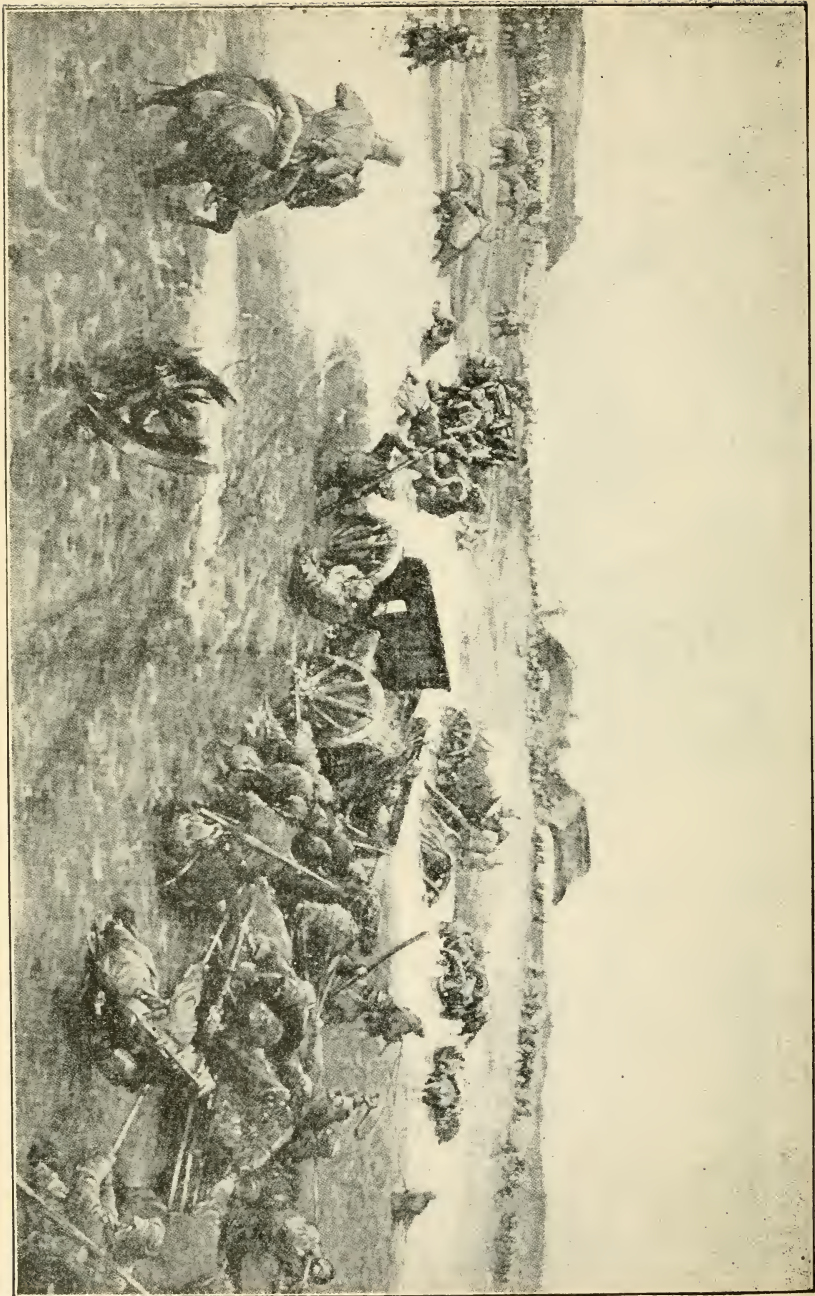
Łowiczem rosyjskie wojska nie zdołały wstrzymać ataku nieprzyjacielskiego i już 14 grudnia sztab rosyjski uważał za wskazane nakazać odwrót z dotychczas zajmowanych pozycji na prawy brzeg Bzury i Rawki. Rozpoczął się długo trwający okres wielkiej bitwy pod Sochaczewem. Strategiczny odwrót rosjan na prawy brzeg Bzury i Rawki wywołany był niewątpliwie ponowną falą rozpoczynającej się ofensywy austriackiej. Po cofnięciu się rosjan z pod Krakowa, armje austriackie wzmożone wojskami niemieckimi, zajęły znów linję Dunajca od Opatowca do Tarnowa, dalej zaś linję Tuchów-Olpiny-Dukłę-Rymanów.

Na przełęczach karpackich znów się ukazały kolumny austriackie; wreszcie austriacy zajęli ponownie Czerniowce na Bukowinie i stąd zaczęli zagrażać zajętej przez rosjan Galicji Wschodniej.

Jednocześnie zamknięta w Przemyślu armja austriacka wyruszyła z twierdzy w kierunku Birczy, usiłując połączyć się z karpacką armją austriacką, znajdującą się w okolicach Sanoka. Na całym olbrzymim froncie od ujścia Bzury do Wisły, aż do Bukowiny, w dniach od 14 do 22 grudnia, zawrzała jednocześnie walka.

Nad Bzurą i Rawką, gdzie Niemcy wciąż opierając się o zabezpieczającą ich przed oskrzydleniem Wisłę, usiłowali przełamać front rosyjski, akcja wojenna stała się tak przewlekłą, iż nabrała prawie w zupełności cechy wojny pozycyjnej.

Mniej więcej w połowie grudnia powróciłem do Warszawy, o dalszym więc przebiegu wojny wiem już tylko z gazet i opowiadań bądź oficerów, bądź żołnierzy w walkach udział biorących. Wiem, że w



POLE WALKI.

ciągu całego grudnia i w styczniu już 1915 roku toczyły się zażarte walki pod Mistrzewicami, Skiernewicami, Bolimowem, Borzymowem, Huminem i Suchą. Dalej wiem, że między Pilicą a Wisłą walka toczyła się bez przerwy. Odgrywały się tam krwawe bitwy pod Skowronnem nad Nidą, w okolicach Nowego Miasta, między Pińczowem, a Dolnym Korczynem, a w walkach pod Szczytnikami, Inowłodzem, Korczynem, Senisławicami i Łopusznem nasze Legjony polskie zaszczytnie się odznaczały.

.....

Ażeby choć w części przedstawić obraz zniszczenia z powodu walk w kraju naszym, przytoczę w tym miejscu kilka cyfr strat materialnych w powiecie rawskim, ogłoszonych przez powiatowy Komitet Obywatelski; a takich powiatów jest przeszło 120 w Królestwie Polskim i każdy z nich w przybliżeniu ma straty równe.

Z trzynastu gmin powiatu uległy doszczętnemu zniszczeniu: Góra, Gortatowice, Regnów, Boguszyce i Witowice. Mniej zniszczone zostały: Rzeczyca, Czerniewice, Lubania, Stara Wieś, Marjanów, Budziszewice i Zelechlin. Zniszczono 154 folwarków, obejmujących obszar 74,682 morgów i 385 wsi — obszar 105,875 morgów. Cały ten olbrzymi szmat żywej, urodzajnej ziemi miał zniszczoną glebę, stratowane zasiewy ozime, łany całe poryte okopami. Z zabudowań wiejskich i folwarcznych ogółem spalono 600, wraz z ruchomościami, rozebrano niezliczoną ilość płotów i budowli gospodarczych. Reszty spustoszenia dokonała rekwizycja, ogołociwszy wieś z koni, bydła, nierogacizny, zboża, siana, słomy i koniczyny.

Niemcy, dokonywując rekwizycji, zabierali wszystko siłą, wydając kwitki według minimalnego szacunku.

W ten sposób zabrano przeszło 4,000 koni, 2,500 sztuk bydła i 1,500 sztuk nierogaczyny oraz conajmniej połowę przygotowanej na zimę paszy. Według obliczenia powiatowego komitetu obywatelskiego, straty, spowodowane przez działania wojenne, przedstawiają się w sposób następujący:

600 zabudowań spalonych, według szacunku ubezpieczeniowego	rs. 300,000
Wartość ruchomości i narzędzi gospodarskich, spalonych wraz z zabudowaniami	rs. 300,000
Zarekwirowane konie (4,163 koni po 150 rs.)	rs. 624,450
Zarekwirowane bydło (2,500 sztuk po 80 rs.)	rs. 200,000
Zarekwirowana nierogaczyna (1,500 sztuk po 40 rs.)	rs. 60,000
Pasza, siano, słoma spalone i zarekwirowane	rs. 300,000
Wozy, uprzęże, narzędzia (spalone i zarekwirowane)	rs. 100,000
Zniszczone zasiewy zimowe	rs. 150,000
Szkody w lasach	rs. 50,000
Rozbicie 4 kościołów (minimalny koszt naprawy)	rs. 25,000
Ogółem szkody, wyrządzone przez działania wojenne, dosięgają sumy	rs. 1,809,450

Do olbrzymiej tej sumy dochodzą straty, wynikię wskutek szkód w gospodarstwach, które komitet powiatowy oblicza w ten sposób:

Zniszczone plantacje kartofli na szóstej części licząc 30 tysięcy morgów po 15 rs.	rs. 450,000
Stracone zasiewy jare	rs. 300,000
Pozbawienie zysku 17 gorzelni (we- dług bilansów)	rs. 204,000
Pozbawienie zysku 8 krochmalni	rs. 96,000
Pozbawienie pracy 11,000 robotni- ków, licząc po 180 rs. na każdego	rs. 1,980,000
	<hr/>
	Rs. 3,030,000

Sprawozdanie, podpisane przez powiatowy ko-
mitet obywatelski, który stanowili pp. K. Wasilew-
ski, St. Sokołowski i W. Kamieniecki.

Na te miljonowe straty Centralny Komitet
Obywatelski (C. K. O.) mógł nadesłać komitetowi
powiatowemu zaledwie 4,000 rs. zasiłku, który został
rozdzielony pomiędzy komitety gminne.

Widzimy więc, że materialne straty jednego
tylko powiatu, ogłaszane już w grudniu 1914 roku,
wynoszą aż 5 miljonów rubli; straty przeto dziś w
całym zniszczonym kraju wynoszą miljardy, nie li-
cząc strat najważniejszych — ofiar w ludziach.

Olbrzymie bitwy pod Łodzią i w okolicy Rawy,
Tuszyna, Brzezin, Strykowa, Łowicza trwały nie-
mal dwa tygodnie. Niemiecki generał Mackensen
przerwał centrum wojsk rosyjskich w okolicach
Brzezin. Wodzom rosyjskim zdawało się, że go zdo-
łają osaczyć, skończyło się jednak na tym, że niem-
cy zajęli Łódź i wszystkie miasta okoliczne, przy ol-
brzymich zresztą stratach z obu stron.

Jeszcze tak niedawno na tych rozległych rów-

ninach pól i łąk naszych, poprzerzynanych rzeczulkami, strumykami, zrzadka lasem sosnowym, w tych wioskach, miasteczkach, tu rozsiadłych, życie w pełni kipiało.

Rozwijał się tu olbrzymi przemysł tkacki, dosyć wysoko stała gospodarka rolna. Ludzie tu pracowali, handlowali, cieszyli się i smucili, kłócili się i godzili, rodzili się, żyli jak kto mógł i umiał i spokojnie umierali.

Zerwała się nawałnica wojenna, a przewalając się przez kraj cały, spustoszeniem strasznym dotknęła już olbrzymią jego część. Zrazu z nadciągającymi wojskami powstał ruch większy, ożywienie, zgiełk, życie silniej płynące.

Na równinach tych stanęły do zapasów krwawych na śmierć i życie nieprzejrzone szeregi wojsk, by stworzyć istne piekło na ziemi. Bez przerwy dniem i nocą grzmiały działa, pociski ryły ziemię, obracały w drzazgi drzewa napotkane, w oka mgnieniu rozwalały domki miejskie i chałupy wioskowe.

Ludność chroniła się, błędząc o głódzie i chłódzie, w lasach sąsiednich lub w jamach w ziemi, w piwnicach, w dołach.

Bez przerwy dniem i nocą terkotały kulomioty, świszczwały kule salw karabinowych, zmiatając jak kosą szeregi ludzi do ataku idących. Okopy z rąk do rąk po kilkakroć przechodziły, a stosy ciał ludzkich na nasypach i w rowach okopowych wciąż rosły. Na przedokopowych zagrodzeniach z drutu kolczastego — skrwawione strzepy szyneli, mundurów żołnierskich, zastygłe zwłoki żołnierzy w najdziwniejszych pozach... To pochyleni naprzód zawisli na pogmatwanych drutach, trzymając jeszcze

w kurczowo zaciśniętych pięściach karabiny, i tylko cienki strumyk krwi zastygłej i niewielki otworek w skroni tłumaczy dziwny ich spokój... To znowu w pozycji siedzącej, jakby o słupki, koło których drut jest obwijany, oparci, ze skrwawioną, zeszpeconą twarzą, z wybitą szczęką lub okiem — broń z rąk wypadła... To wreszcie, leżąc między drutami na ziemi, ręką wyciągniętą chwytają w swe palce, śmiercią wyprężone, drut kolczasty, — czaszka rozbita, mózg obok na ziemi...

A pośród tego huku dział i świstu kul z przepo-
tężnym okrzykiem “hurra”, “hoch” biegną do siebie
zbite szeregi z bagnetem w ręku. Z oczyma krwią
nabiegłymi, z jakimś dzikim, zwierzęcym skurczem
w twarzy, jak szaleni, opętani, wściekli, uderzają na
siebie...

Cała siła intelektu i ducha ludzkiego skupia
się, by zatrzeć obrazy przeszłości — wspomnienia,
by sparaliżować pamięć, bo to przeszkadza iść na-
przód i osłabia instynkt samozachowawczy.

Cała siła intelektu i ducha ludzkiego skupia się,
by wtłoczyć przeświadczenie, że każdy teraz poraz
pierwszy w życiu widziany człowiek, każda twarz
obca przedemną, z prawa lub z lewa, nawet z oczyma
rozumnymi, uduchowionymi, jest dziś dla mnie tylko
twarzą o oczach krwią nabiegłych, szukających chy-
trze, a dziko — mego życia, a każdy taki człowiek
jest mój wróg śmiertelny, którego śmierć, którego
zniszczenie, jest życiem dla mnie; — to przeświad-
czenie dodaje mi sił i czyni sprężystym mój instynkt
samozachowawczy.

Cała siła intelektu i ducha ludzkiego skupia się,
by trzymać w rozpaczliwie dzikim napięciu wszyst-

kie zmysły człowieka. — Dziki wzrok, słuch ostry kierują całym zasobem mej sprawności mięśniowej. Od tego zależy dziś tak zwana odwaga, ba, nawet bohaterstwo!

Jeszcze chwila. Tu i tam pada oderwany strzał, szcęk i zgrzyt stali o stal skrzyżowanych bagnatów. To bagnet się oślizgnął i żołnierz z rozpędu pada, przywalony uderzeniem kolby przeciwnika w grzbiet, lub bok i przykłuty do ziemi, bagnetem na sztorc... To bagnet lezie miękko w ciało, przeciwnik pada, a blada jego nagle twarz, gałki oczne, przewracane z jakimś niewymownie złowrogim przestraczem, lub spojrzenie jasne, przenikające, pełne wyrzutu, czy błagalnie rozpaczliwe, odruchowe chwytanie gołymi rękoma ostrza bagnetu z chęcią zasłony lub wyciągnięcia go z wnętrzości — pozostanie już do śmierci obrazem, wiernym w szczegółach, w mózgu i pamięci żołnierza-zabójcy.

Walka wre. Nie dość kul, nie dość bagnatów. W ruch puszczono kolby, którymi się walą, jak kłonicami, jak cepami, po łbach! Coraz obrazy dziksze. Dopadają się rękoma. Duszą jedni drugich, gryzą, wpijają się pazurami, zębami, leżąc już na ziemi, ledwie jeszcze dysząc. A na tych następują inni, kopiąc, miażdżąc leżących...

Jęki, krzyki, przekleństwa, urywane słowa... Kula, bagnet — śmierć bliska — napięcie siły instynktu samozachowawczego pryska, jak bańka mydlana, paraliżowana zaś dotąd pamięć kinematograficznie szybko przesuwa przed oczami mózgu i ducha wspomnienia od najdawniejszych chwil dzieciństwa... A ten ostatni obraz wspomnienia, przy jakim uleciał ostatni dech i zimna śmierć przyszła, skrzy-

wia twarz zdziwieniem, pogodnym, tęsknym uśmiechem, gniewem, żalem, rozpaczą, a usta zcicha składają się do wymówienia drogich, kochanych i kochających nas imion...

Świadkiem obrazów takich była nasza rodzima ziemia, te stratowane kłosa na ścierniskach, te zawiędłe kwiatki polne, te zmokłe, pożółkłe liście jesienne, wiatrem z przydrożnych drzew, lub niedalekich borów strącone i przygnane.

...A kiedy noc zapadała i straszna muzyka armat nieco cichła, kiedy żywi ludzie liczyli się, poprawiali okopy, lub sypali nowe, kiedy nadchodziły posiłki rezerw i szło ciche przegrupowywanie oddziałów wojskowych, kiedy wreszcie nawet wytrzymałość człowieka nieco wyczerpała się i należało dać mu trochę odpoczynku po znojach całodziennych, by z brzaskiem dnia jutrzejszego znów go pchnąć do dalszej bratobójczej rzezi... wtedy z tych pól cmentarnych żaloszny wiatr jesienny przynosił jęki tysięcy konających i rannych...

Jęki te jak poszum zwiędłych już liści na drzewach z wspomnieniem niedawnej przeszłości lecą z szybkością dogasającego życia w to pełne jeszcze życie codziennych trosk i pogodnego wesela, w to życie rodzinnego ciepła i zabaw, w to życie błyskotliwości wielkomiejskiej, próżności ludzkiej, braku współczucia ku swoim najbliższym... Nieraz tam w tym życiu te jęki potracą pokrewną sobie strunę... Przyjdzie wspomnienie, współczucie, westchnienie, łza cicha, przecucie przykre i bolesne...

Wtedy to siostry miłosierdzia, sanitarjusze ostrożnie, pełzając nieraz, podsuwają się do jęczących, zbierają ich z pola i przenoszą do miejsc wię-

cej oddalonych, do polowych szpitali, robią opatrunki i przewożą na tyły armji. Szczęśliwy, kto choć tam się dostanie! Niejeden, podtrzymując sobie wypadające wnętrzności, wije się z bólu i błaga, by go dobito... Niejeden z potrzaskaną nogą mimo bólu pełza w stronę okopów swoich, lecz nim dopełźnie lub go zabiorą, umiera z upływu krwi.

...A światła reflektorów wciąż przebiegają pola, śledząc i szukając, a znalazłszy... by przeszkodzić naprawie okopów, czy budowie mostu przez rzeczkę, każą huczeć armatom...

Chcąc przeszkodzić nadejściu posiłków, udaremnić zmianę planów taktycznych, wykonuje się ataki nocne, więcej bezładne, więcej chaotyczne, więcej jeszcze bezlitośne, bo żołnierz bywa nieraz tak szalenie zmęczony, tak śpiący, tak wyczerpany fizycznie i moralnie, że jemu już wszystko jedno, byleby się to piekielne życie raz skończyło.

A to trwa i trwa, zdaje się bez końca. Ludzie zwykli, mieszkańcy okoliczni, po różnych norach ukryci, liczą sekundy za minuty, minuty za godziny, godziny za dni, a dni za miesiące całe!

Przyszła niespodzianie wojenna burza. Jeszcze z oddali słyhać ostatni strzał armatni, bum... przeciągłe, jeszcze konnica przeleciała, jeszcze błotnistymi drogami resztki rezerw i obozów idą...

...Burza przeszła i poszła dalej siac zniszczenie, a zbierać przekleństwa milionów.

Mieszkańcy tej krainy zwolna wychodzą ze swych kryjówek. Ujrzeli pobojuwisko usłane grudami trupów ludzkich i końskich. Od rana do wieczora zajęci kopaniem olbrzymich dołów. Znoszą tam

zwłoki ludzkie, zalewają wapnem, zasypują ziemią i krzyże stawiają... Są to tak zwane bratnie mogiły.

...Dziś cicho na polach rozległych. Częste mogiły bratnie i zgłiszcza: gołe kominy, sterczące na miejscu ruchliwych miasteczek i wesołych wiosek, świadczą o przejściu wojennej burzy...

Dla uzupełnienia obrazu prowadzenia bitwy, wyjaśnić chcę zasadnicze cechy współczesnej taktyki wojennej, ewentualnie różnice, jakie zachodzą w taktyce Niemców i Rosjan.

Otóż dla zapewnienia sobie pomyślnego rezultatu bitwy, należy mieć tak zwaną taktyczną przewagę nad przeciwnikiem.

Bitwa jest to zmaganie się dwóch sił wojskowych liczbą żołnierzy równych lub różnych, na odpowiednim terenie, odpowiednio umundurowanych i uzbrojonych, odpowiednio wymusztrowanych i będących w odpowiedniej dyscyplinie, odpowiednio zaopatrzonych w środki żywności, pomoc lekarską, środki techniczne i amunicję, wreszcie odpowiednio zagranych hasłem walki, wiedzących po co, na co, za co się bić mają.

Otóż przewaga każdego z tych czynników, lub kilku czy wszystkich u jednego z przeciwników stanowi o mniejszej, lub większej jego przewadze taktycznej. Przed wojną obecną powagi wojskowe zbyt wielką przywiązywały wagę do czynników technicznych, uzbrojenia, a prawie żadnej do czynnika takiego, jakim jest nastrój żołnierza, duch armji. Zdanie takie jeszcze i teraz jest mocno bronione przez tych fachowców, którzy teoretycznie tylko bitwy znają, lub przez znaczną większość niefachowej inteligencji, której się zdaje, że jakaś przeczytana, na poły

fachowa książeczka, lub artykuły wojennych korespondentów dają jej prawo zabierania głosu w sprawach, na których się nie zna.

Tymczasem wojna obecna coraz dowodniej wykazuje, że ten pomijany w rachunku czynnik, jakim jest człowiek, jego nastrój, jego waleczność osobista, zaczyna odgrywać coraz poważniejszą, nieraz dominującą rolę.

Prawda, człowiek podczas bitwy bez karabinu, kulomiotu, czy armaty nie jest żołnierzem. Broń dodaje otuchy, czyni ruchy żołnierza pewniejszymi. Skoro jednak żołnierz, zbyt dotąd pewny swej broni, zobaczy bezskuteczność jej działania — przestaje wierzyć w zwycięstwo: następuje dezorganizacja ducha armji.

Pierwsi to spostrzegli generałowie niemieccy i dla podniesienia ducha armji wprowadzili dawną taktykę ataków masowych. W tym wypadku rozstrzyga bitwę strona intelektualno-duchowa. I oto przy współczesnym uwzględnianiu innych taktycznych czynników wygrywa ten, który rozumie i jest przekonany, że do ataku z bagnetem w rękę idzie... w imię idei jakiejś, jakiejś świętej dla niego sprawy.

I znowu w taktyce współczesnej powtarzają się falangi zwarte, szyk klinowy, wbijający się w szeregi nieprzyjacielskie, uporczywe ataki, jak przed laty, za dobrych starych czasów Napoleona.

Tej taktyki uderzeń masami, ataków masowych trzymają się Niemcy i jak widzimy z dobrym skutkiem.

Natomiast wojska rosyjskie prowadzą walkę w szyku rozproszonym. Idą do ataku tyraljerskim łańcuchem, rzędami. Ta taktyka teoretycznie jest

zupełnie uzasadniona wobec morderczości współczesnej broni palnej, w celu oszczędzania żołnierzy; jednak do tej taktyki poszczególny żołnierz jest jeszcze zbyt mało indywidualnie wyrobiony.

Podczas ataku pojedynczymi, a rzadkimi rzędami każdy żołnierz stoi w obliczu zadań, przechodzących jego siły, szczególnie, kiedy atak postępuje za odpartym już atakiem i spotyka żołnierzy z rozbitej fali ataku odpartego. Tylko wtedy moralna energia walczących z każdego poszczególnego rzędu, z każdej fali może być żyzytkowana do końca jeżeli każda z tych fal mieć będzie masowy charakter i będzie mogła przeto porwać za sobą nie tylko moralnie, ale wprost fizycznie resztki poprzednich, rozbitych ataków.

Świeżość natarcia powinna być poparta ciężarem masy, wyrażając się technicznie. Tylko zwarta kolumna zapewnia nowemu uderzeniu dosyć siły i impetu, by zwyciężać.

Naturalnie w pewnej chwili ataku straty są większe, ale zato w chwili następnej mniejsze, bo do walki na broń białą dochodzi odrazu większa liczba ludzi, którzy łatwiej mogą opanować przeciwnika. Prócz tego moralny wpływ ataku w kolumnach zwartych jest znacznie większym od ataku w szeregach rozproszonych.

Wspaniałą organizację wojskową i jednolitość nastroju przynajmniej w większości narodu i armji — znajdujemy u Niemców. Tymczasem w rosyjskiej armji organizacja wojskowości jest bardzo wadliwa, a co bodaj najgorszą jest sprawą, zamiast jednolitości jest znaczna rozbieżność nastroju między masami żołnierstwa i młodszych oficerów, a giene-

ralicją, szczególnie zaś między wojskiem a administracyjną biurokracją.

Rosyjska armja jest wroga Niemcom, ale klika dworska, sfery rządzące, biurokracja, administracja cywilna państwa rosyjskiego — są usposobione przychylnie do Niemców!

Wreszcie, nic w tym dziwnego. Wszystkie te wyżej wzmiankowane sfery więcej niż w trzech czwartych składają się z Niemców, pozostających na państwowej służbie rosyjskiej, wszyscy ci więc panowie służą dynastji i jej interesom, a zatem są wrogami narodu rosyjskiego i jego rozwoju.

.
Jako ciekawy przyczynek tej naturalnej rozbieżności interesów, przytaczam nazwiska wyższych urzędników zarządu cywilnego, w Warszawie, z grudnia 1914 roku:

Pomocnikiem generał-gubernatora do spraw cywilnych był p. Uthof, sztab-oficerem do zleceń p. Berland, ober-policmajstrem — p. Meyer, jego pomocnikiem — p. Bałk. Zastępcą gubernatora warszawskiego p. Korfa, który w jakiś mistyczny sposób dostał się do niewoli niemieckiej z pieniędzmi, które miały być rozdane dotkniętej wojną ludności w okolicach Łowicza i Kutna, był p. Gresser i posiadał przy swym boku doradcę prawnego barona Scheppinga. Pomocnikiem zarządzającego kancelarją był von Ritter, inspektorem — von Petz. Prezydentem miasta był p. Mueller, starszym sekretarzem magistratu p. Ritter, budowniczym — p. von Fedders; dyrektorem warszawskich teatrów rządowych był p. Burman. . . . To wszystko są Rosjanie z nadbałtyckich prowincji!

DZIESIĄTY DZIEŃ OPOWIADANIA.

Groza obecnej wojny swą rzeczywistością przechodzi nawet najbujniejszą fantazję... Ludy coraz głośniej krzyczą — pokoju!...

Pokoju!... Wszyscy uczciwi i prawdziwie kulturalni ludzie chcą pokoju, ale pokoju trwałego, którego pierwsza lepsza koronowana głowa nie byłaby w stanie zakłócić, jednak nie pokoju za wszelką cenę...

Prawda, ludzie tak są zdemoralizowani współczesnym wychowaniem, niby to wykształceniem, układem stosunków polityczno-społecznych doby przedwojennej, a tak fizycznie i moralnie wyczerpani trwającą wojną, że, nie zdając sobie dostatecznie sprawy z tego, co mówią, czego żądają, nieraz wołają zupełnie szczerze o pokój za wszelką cenę.

Biada tym wszystkim... sprowadzają oni na swe głowy przekleństwo następnych pokoleń...

Pokój za wszelką cenę, jest to pokój za cenę sponiewieranego godności narodowej, za cenę zniszczonych siół i miast, za cenę shańbionych setek tysięcy córek, żon, sióstr naszych... Pokój za wszelką cenę, jest to pokój okupiony prostytutką ducha

i ciała ludności krajów całych... Pokój za wszelką cenę, jest to pokój okupiony oddaniem się narodów całych na łaskę i niełaskę zwycięzcy, w dobrowolną niewolę duchową i ekonomiczną, w zupełną zależność rządów tak zwanych narodów wielkich, poprawnie mówiąc rządów Prus, lub Rosji.

Bądźmy coraz więcej konkretni i więcej ściśli! Kiedy w ciągu jednego roku wojny, we wszystkich państwach wojujących, piętnaście milionów ubywa z szeregów, jako zabici, ranni, lub zaginieni, a przynajmniej drugich 15 milionów rodzin nosi żałobę, żyje w nędzy, o głodzie i chłodzie; kiedy kraje całe, jak Belgja, Polska, Serbja, przedstawiają dziś wielkie cmentarzyska; kiedy wreszcie odbywają się obecnie nowożytnie wędrówki ludów z krajów, wojną objętych; kiedy na drogach Rosji odbywają się wielusettyśięczne przymusowych uchodźców manifestacje nędzy ludzkiej, przy ponurej muzyce słoty jesiennej, krakania wielkich stad wron, przy nocnym oświetleniu palących się naokół wsi i miast — nie wolno dłużej przemilczać przyczyn wojny światowej, nie wolno nadal żadnemu uczciwemu, a myślącemu człowiekowi bałamucić siebie i innych pozorną nieświadomością, że nie wiemy, dlaczego państwa Europy wojnę toczą! Dosyć udawania!...

.

Już wkrótce po wojnie francusko-pruskiej więcej intuicyjne mózgi dzięki ciągłemu gromadzeniu się przyczyn natury polityczno-społecznej przewidywały konflikt państw europejskich i takim między innymi był Bismark.

Właściwie pierwszą historycznie i bodaj, czy

nie najważniejszą przyczyną polityczną obecnej wojny — był rozbiór Polski. Od tej bowiem chwili powrotna fala, poczynającego się panoszyć w życiu narodów Europy imperjalizmu, z całą bezwzględną brutalnością stwarza szkodliwy i niebezpieczny precedens.

Wiemy, że koncepcja państwa średnio-wiecznego jest nawskroś feudalna. To znaczy, że panujący król, czy książę uważał państwo za swoją własność prywatną, a mieszkańców za swoich niewolników, poddanych; dworska klika, której z tym było do twarzy i... do kieszeni, wmawiała ten naukowy pewnik panującemu i poddanym. Jednak w miarę tego, jak poddani pod względem umysłowym (intelektualnym) wyrastali z lat niemowlęcych i zaczęli powątpiewać o naukowości pewnika, a pewne rościć sobie pretensje do praw stanowienia o sobie — stosunek patriarchalno-feudalny psuć się zaczął. Siła władzy, siła panowania zaczęła maleć w oczach poddanych... Należało je podtrzymać, podnieść, opromienić, by znów stworzyć moralną rację stanu panowania!

I oto chimeryczna manja stwarzania coraz to większych i więcej zcentralizowanych konglomeratów państwowych, zdążająca w kierunku ideału — monarchji wszechświatowej wbrew interesom narodów, z brutalnym pogwałceniem praw do życia narodów obcych — zaprzęta mózgi rządowe po kolei różnych państw, w szczególności rządów Prus i Rosji.

...Ludwik XIV, Piotr Wielki, Fryderyk Wielki, Katarzyna II. Mimo pozory złudne, artysta — Napoleon do tego pocztu imion nie należy — grał

on swój koncert na pożyczonych skrzypcach i z pożyczonych motywów ludowych.

...I mnożyły się historyczno-polityczne zbrodnie, dokonywane na narodach całych: Rozebrano Polskę, russyfikowano Ukrainę, Litwę, zabrano Finlandję i Kaukaz, zaokrąglono granice państwowe krajami Turkiestanu, aż hen po Indje; Mandżurją, krajem Usuryjskim aż po Ocean Wielki; — a idąc za wskazówkami wielkiego poety, chciano wytworzyć wszechsłowiańskie, ale rosyjskie państwo. Oswobodzano pomniejsze słowiańskie narody na Bałkanach od jarzma tureckiego, ale żądano, jako dowodu wdzięczności, oddania się dobrowolnego pod wpływ ekonomiczno-polityczny oswobodzicielce. Roszczono nawet w chwili obecnej nieprzedawnione pretensje, mistycznie spadkobiercze, do Carogrodu — Konstantynopola...

Rozebrano Polskę, niemczono Poznańskie, Ślązk, Galicję, niemczono Czechy, Morawy, zabrano Szlezwig — Holsztyn, zaokrąglano granice państwowe przyłączeniem włoskich prowincji do Austrii, a Alzacji — Lotaryngji do Niemiec. Zabezpieczano granice państwowe zaiste konstrukcją betono-żelazną wewnętrznnej politycznej organizacji państwowej, znosząc samodzielność i decentralizację poszczególnych narodów i państw rzeszy niemieckiej i stanowiąc centralizację, zależność polityczną i hegemonję Prus. Po 71 roku powstało potężne państwo Niemiec. Okupowano, a następnie zaanektowano Bośnię, Hercegowinę.

Chciano właśnie nowy krok uczynić w kierunku okupowania, anektowania, zaokrąglania granic... cóż, kiedy struna zbyt naciągnięta zerwała się.

Powstał konflikt interesów konkurencyjnych, a uświadomienie narodowe, wbrew chęci rządów, odwała już kamień grobowy, którym przywalone były, zdawało się na zawsze, zbrodnie wołające o pomstę, dokonane nad całymi narodami.

I rósł poczet imion sławnych ze sprawą zbrodni tych związanych. Aleksander I, Mikołaj I, Aleksander II, Aleksander III, Mikołaj II, Wilhelm I, Napoleon III, Wilhelm II, Bismarck!

.

Jednak wyłuszczone przyczyny polityczne nie są jedynymi i jedynie ważnymi obecnej wojny sprawcami.

Połowiczność rewolucji francuskiej i jej kompromisowość w rozstrzyganiu spraw społeczno - politycznych nie małą odgrywają tu rolę.

Jakkolwiek od czasu rewolucji francuskiej koncepcja państwa feudalnego straciła bezpowrotnie swój naukowo - moralny kredyt, jednak zatrzymała za sobą praktyczną rację bytu przez kompromis, przez ustępstwa, poczynione na rzecz noworodzącej się potęgi społecznej, klasy mieszczaństwa, obecnej klasy wielkiego kapitału. Państwo monarchiczno-feudalne, chcąc dalej istnieć, musiało się podzielić swą władzą, swym panowaniem z żądnym władzy mieszczaństwem. . . . I powstały państwa, w których przeważa pierwiastek monarchiczno - feudalny, jak w Rosji, w Niemczech, Austrii, Hiszpanji; inne, w których przeważa pierwiastek interesów bogatego mieszczaństwa, w których rządzi i panuje oligarchja przedstawicieli i stronników wielkiego kapitału, a które tendencyjnie choć niesłusznie zwą się

rzeczpospolitymi (res publica), do takich należą Francja, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej... wreszcie są państwa, które tylko formalnie należą do monarchiczno - feudalnych, chociaż już cały układ życia państwowo - politycznego każe je zaliczyć do tak zwanych rzeczypośpolitych; takim państwem jest Anglja...

Bogaty mieszkaniec współczesnego monarchiczno - feudalnego państwa już tylko formalnie zostaje poddanym. Bogaty mieszkaniec państwa-rzeczypośpolitej faktycznie zostaje obywatelem kraju. Natomiast przeciętny pod względem zamożności osobistej mieszkaniec tego, czy owego rodzaju państwa zostaje tylko współczesnym niewolnikiem kapitału — najmitą! Znikła średniowieczna niewola, powstał salariat: zmiękła forma, treść została. Zależność materjalna człowieka od człowieka bezwzględnie istnieje i odczuwać się daje z całą cyniczną brutalnością!

Przeciwko tej niewoli współczesnej, przeciwko tej materjalnej, upokarzającej godność człowieka, zależności — w rozmaitych państwach poddany, czy obywatel rozmaicie się buntował, rozmaicie powstawał, rozmaicie się organizował, by zdobyć sobie odpowiednie warunki rozwoju indywidualnego i społecznego.

Nowa siła ducha, siła intelektualna narodu, koncentrująca się w t. zwanej inteligencji, coraz więcej rości sobie pretensji do kierownictwa, do tworzenia życia, do stwarzania niezbędnych i odpowiednich warunków rozwoju człowieka i narodu.

Sfery rządzące państw nie chcą i organicznie nie mogą wyrzec się rządów i panowania, nie chcą

i nie mogą oddać w zupełności kierownictwa spraw polityczno - społecznych w ręce przedstawicieli ducha i intelektu narodu. Sfery rządzące państw prostytuują nieraz znaczne odłamy tak zwanej inteligencji: kosztem wyrzekania się daleko idących postulatów (żądań), przedstawiciele intelektualnego życia otrzymują współudział w rządach i panowaniu; ciekawe, że nieraz mimo wysoką inteligencję osobistą tego, czy innego człowieka — odbywa się ten proces podświadomie, choć szczerze. Z ich to pomocą sfery rządzące stwarzają wielotomowe pięknie opracowane dzieła z dowodami całego szeregu naukowych pewników, mianowicie, że ustrój polityczno-społeczny, jaki istnieje, jest najlepszym, gdyż jest niezbędnym i jedynie racjonalnym, opartym na tak pięknym i zdrowym bodźcu życiowym, jak konkurencja w walce o byt!

Rozwój historyczny narodów nie lubi skoków, przeto ich nie robi. W naturalnym biegu rzeczy bywają przeludnienia, więc czynniki współczesnego państwa, rząd i kapitał, organizują emigrację, podnoszą wytwórczość własnego kraju, szukają, lub zdobywają siłą rynki zbytu dla wytwórczości, by z jednej strony dać pracę, a więc i zarobek swemu "kulturalnemu" narodowi, a z drugiej — aby wraz z "perkalikami" nieść dobrodziejstwa "kultury" narodom upośledzonym... To stanowi historyczną misję wielkich państw!... Pewnik naukowy! To też z dawien dawna umysły więcej przewidujące ostrzegały rządy i społeczeństwa, że ta ciągła pogoń za zmonopolizowaniem w swym ręku prawa uszczęśliwiania ludzkości sposobami, zagrażającymi życiu i istnieniu całych narodów, a wrogimi jednocześnie

warunkom rozwoju większości własnego społeczeństwa, musi rychlej, czy później sprowadzić poważny i niebezpieczny w swych następstwach zatarg państw. Bo, pomijając już ryzyko wojny, zatarg taki dzięki mocno skomplikowanemu splotowi interesów polityczno - ekonomicznych świata całego, może wywołać zawieruchę wszechświatową, spowodować w następstwie szalony kryzys finansowy, a co za tym idzie, osłabić bardzo czynniki państwowości, zdyskredytować i wywrócić do góry nogami wszystkie dotychczasowe pewniki naukowe, wreszcie rozbudzić może wśród ludu niepotrzebne a potężne dążenie w kierunku stanowienia o sobie, bez pomocy i opieki państwa!

.

Już na kilkanaście lat przed obecną wojną wszystkie te sprawy omawiane były w odnośnej i dosyć bogatej literaturze. Wystarczy, gdy wspomnę dziesięciotomowe dzieło Blocha "Przyszła wojna" i zgoła fachowe książki, kreślące przypuszczalne plany strategiczno-taktyczne wojny obecnej, a pisane przez oficera sztabu jeneralnego Austrii, podpisane pseudonimem "Sarmaticus".

A więc nie możemy mówić, że przyczyny obecnej wojny są nieznanne, lub dopiero teraz wiadome, skoro były przewidziane na lata całe przed wojną. Nie dosyć tego. Nawet sam techniczny sposób prowadzenia tej olbrzymiej walki, choć w grubych zarysach, był także przewidziany.

Kapitałne dzieło "Przyszła wojna", napisane, mówiąc nawiasem, przez fachowców, oficerów sztabu, inżynierów, lekarzy, matematyków, socjologów, tłumaczone na wszystkie europejskie języki, było

redagowane przez zdolnego i bogatego bankiera Jana Blocha z Warszawy w tendencji utrzymania pokoju za wszelką cenę. Są tam całe rozdziały, traktujące o tych okropnościach obecnej wojny europejskiej, które ludzkość czekają i opisami których przepełnioną jest od roku cała literatura i dziennikarstwo świata. Jan Bloch swym kosztem utworzył "muzeum pokoju" w Bernie szwajcarskim, gdzie do końca życia gromadził wszystko, co mogłoby dać pełny, a straszny i okrutny obraz przyszłej wojny, by tym sposobem zniewolić ludzi, a przede wszystkim rządy mocarstw do utrzymania pokoju za wszelką cenę międzypaństwowych ustępstw z oddaniem wszelkiego rodzaju sporów państwowych do rozstrzygania międzynarodowej konferencji "ad hoc" wybranej.

Za swe zasługi na tym polu Jan Bloch otrzymał nagrodę Nobla, chociaż usiłowania jego, jak i inicjatorów utworzenia pokojowej konferencji w Hadze, jak zresztą i wszystkie usiłowania wszystkich pacyfistów świata, — musiały i muszą spełznąć na niczym, bo są nieszczerze i cynicznie brutalne w zapoznawaniu dokonanych krzywd polityczno-społecznych.

.

Słuchajcie! Królowie, panowie — mówią o pokoju.

Połknąwszy swą zdobycz, chcą trawić.

Nie mówcie więc o swych krzywdach, wyzysku i znoju.

Obiecują was nadal nie dławić.

.

W zjawiskach życiowych skutek nie odpowiada w zupełności przyczynie, życiem ją przewyższa; mieści więc w sobie — ją i życie.

W wojnie, jako w zjawisku życiowym — cel, czyli domniemany, przewidywany skutek, mieści w sobie przyczynę i życie, t. j. to coś nieobliczalne, twórcze, co w dalszym rozwoju życia się wyłania.

Zarówno cel, jak i przyczyny wielkiej obecnej wojny europejskiej są nawskroś natury feudalno-kapitalistycznej, a więc zarówno zwycięstwo państw centralnych, jak i aliantów — jest zawsze zwycięstwem ideologii imperjalizmu i wzmocnieniem tejże ideologii przy niepomiarne olbrzymich stratach ludów. Próżną jest ugodowa gadanina, w celu uzyskania pokoju za wszelką cenę, o zaletach, czy wadach imperjalizmu tej czy innej ze stron walczących.

Zwycięskie, lecz wyczerpane i przewidujące państwo niemieckie dziś może dążyć do pokoju — kosztem znacznych nawet ustępstw na rzecz sprzymierzonych, a nadewszystko wszelkimi sposobami stara się wytworzyć w świecie całym opinię za pokojem za wszelką cenę, bo tylko stanowisko zwycięzcy i pokój natychmiastowy mogą uchronić państwowość niemiecką od katastrofy.

Nie tyle są dla niej straszne wojska sprzymierzonych, ile mogące nastąpić bankructwo ideologii imperjalizmu wśród własnego narodu. W obozie sprzymierzonych mimo pozory harmonji i zgody musi jednak być naturalny, na tle kulturalnych różnic i narodów i rządów oparty, rozdzwiek. Autokratyczne, a stale zwyciężane przez niemców państwo rosyjskie, mimo życzenia sfer rządzących, w obec-

nej chwili w żaden sposób zgodzić się na pokój nie może, gdyż to byłoby bankructwem autokratycznego caratu, co wcale nie leży w widokach imperjalizmu niemieckiego. Ale gdyby zwycięstwa choć trochę zaczęły opromieniać oręż wojska rosyjskiego i pozorną aureolą otoczyły cara, a jednocześnie, gdyby uspokojono zwolna opinię narodu możliwością przyszłego rewanzu, to kto wie, czy rząd rosyjski nie zawarłby pokoju nawet wbrew woli Anglii i Francji, w obawie, że może nastąpić groźne przeciągnięcie struny cierpliwości nawet rosyjskiego ludu. Nic więc nie byłoby dziwnego, gdybyśmy się dowiedzieli, że dyplomacja niemiecka nieco pomogła do zwycięstw obecnemu naczelnemu wodzowi armji rosyjskiej — carowi Mikołajowi II.

Pokój, zawarty w obecnej chwili między państwem niemieckim a rosyjskim kosztem wzajemnych ustępstw, mógłby może ocalić zarówno imperjalizm niemiecki, jak i pokrewny mu carat, lecz będzie ciąglą groźbą nowej wojny i znowu przez cały szereg lat — aż do nowego historycznego kataklizmu byłby wciąż pokojem zbrojnym, jak zmora duszącym i wstrzymującym normalny rozwój narodów.

Imperjalizm Anglii i Francji jest charakteru więcej kapitalistyczno - kupieckiego. Te państwa widzą w feudalnym państwie niemieckim poważnego dla siebie przeciwnika i konkurenta i gotowe są na ustępstwa, zresztą nie daleko idące, na rzecz ludu, byleby pokonać niebezpieczny feudalizm państwowości niemieckiej i utrzymać się przy władzy i panowaniu. Chcą one przeto pokoju dopiero po zupełnym złamaniu potęgi militarnej Niemiec.

Ludzkość wyczekuje z utęsknieniem pokoju, ale świadomie, lub podświadomie — pokoju trwałego. Jednak, jak widzimy z powyższego, ani pokój za wszelką cenę, ani pokój proponowany dziś, w chwili obecnej — przez państwo niemieckie — nie jest i być nie może pokojem trwałym, gdyż już w zarodku niesie z sobą zarzewie sporów w przyszłości — przez pozbawienie nowych narodów niezależności politycznej, a zatym prawa stanowienia o sobie, i nędzę ludzką, której dotychczas praktykowanymi sposobami państwowymi usunąć się nie da.

Pokój więc trwały może jedynie zapewniony być ludziom po usunięciu przedewszystkim polityczno-społecznych krzywd, dokonanych nad narodami całymi przez współczesne państwa, a następnie przez dopuszczenie duchowej i intelektualnej siły ludów, przynajmniej do szerokiego współdziałania w kierownictwie i stanowieniu o organizacji całości kształtu ekonomiczno-kulturalnego życia.

Mówiąc prościej, pokój istotnie trwały zabezpieczyć ludzkości może jedynie i tylko Federacja Ludów Wolnych. Hasło to nie powinno być więcej odświętnym hasłem odległej przyszłości, abstraktem utopijnym, a należy mu nadać wartość aktualną, wartość praktyczną, na jaką zasługuje obecna historyczna chwila życia narodów.

Pod tym jedynie hasłem powinni zespolić swe siły wszyscy myślący, uczciwi i kulturalni ludzie, bez różnicy narodowości, wyznania i płci, gdyż zbyt wielki, w swej grozie i rozmiarami ofiar tragizm rzeczywistości, wojnę spowodowanej, nie daje moralnego prawa obecnemu pokoleniu obciążać konta życiowego szeregów pokoleń przyszłych paljatyw-

nym, w zupełności wadliwym, choć doraźnym rozstrzygnięciem kwestji polityczno-społecznych, wywołujących wojnę i przez wojnę do innego, nowego toku życia powołanych.

Federacja Wolnych Ludów — to Pokój trwały! Innej drogi do trwałego pokoju niema. Śmiertelnymi wrogami tego hasła, tej ideologii są imperjalizm niemiecki i carat rosyjski. A więc... sapienti sat! (Rozumnemu — słowa te wystarczą).

JEDENASTY DZIEŃ OPOWIADANIA.

Po powrocie do Warszawy i po parodniowym tam pobycie wyjechałem do Kijowa, gdzie pozostawałem aż do chwili mego wyjazdu do Ameryki.

W Kijowie przedewszystkiem rzucała się w oczy nowo przybyłemu bardzo duża ilość osób — mężczyzn i kobiet, z opaskami Czerwonego Krzyża na ramieniu; następnie wagony tramwajowe, zapełnione rannymi i rozwożące ich do szpitali; wreszcie olbrzymia ilość spotykanych na ulicach rannych, rekonwalescentów, oficerów, czy żołnierzy bez rąk, o kulach...

Jakkolwiek Kijów zaliczano do miast głębokiego tyłu armji — wojnę znać tu było na każdym kroku. Głównie przywożono do Kijowa rannych z galicyjskiego terenu wojny, mało zaś było rannych z pola walk w Królestwie; ranni z terenu Królestwa byli przewożeni do Wilna, lub Moskwy.

Zupełnie nieudolny, a jednak wysoce zarozumiały i bajecznie swą mniemaną wielkością olśniony rząd rosyjski, nie zezwalał dotąd na najmniejszy objaw samodzielnego życia społeczeństwa.

Obecnie widząc, że sobie nie da rady ze skutkami toczącej się wojny, za pośrednictwem carskiego

ukazu najmiłościwiej zgadza się na dopuszczenie do współdziałania z sobą Związku miast i związku "ziemstw". (Ziemstwem w Rosji nazywają najmniejszą jednostkę terytorjalną z pozorami jakiegoś samorządu — rodzaj samorządu powiatowego).

Powstały więc dwie olbrzymie, poważne organizacje społeczne — wszechrosyjski Związek miast i wszechrosyjski Związek "ziemstw" z olbrzymimi funduszami i całym szeregiem ludzi do pracy. Jednak i te organizacje dzięki policyjnej kontroli i ciągłemu wtrącaniu się rządu, w swej działalności pozostawały bez ładu i składu, a przeto nie mogły i nie mogą osiągnąć swą pracą tych rezultatów, jakie bez wątpienia mogłyby być osiągnięte, gdyby rozporządzały większą samodzielnością.

Prócz tego najróżnorodniejsze organizacje, jak pracowników kolejowych, cukrowni, pracowników handlowych, — narodowościowe, jak polskie, czeskie, żydowskie, — religijne, jak katolickie, prawosławne, luterzańskie, żydowskie — nawet organizacje literatów, dziennikarzy i sportowców, wreszcie organizacje szlachecko - obywatelskie poszczególnych gubernji Wołyńskiej, Podolskiej, czy poszczególnych powiatów w Olgopolu, Proskurowie, Winnicy i t. d. — prosiły o pozwolenie uczestniczenia swą pomocą w ogólnym nieszczęściu kraju.

.

Ludzie dziwnie prędko zapomnieli 1905 rok. Wszyscy wszystko, zda się, nieśli na ofiarę, byleby ułatwić — co?... zwycięstwo caratowi, czy wypędzenie z granic państwa niemców, wraz z ich krzyżacką kulturą? Nastąpiło zupełne pomięszanie pojęć, zu-

pełny zanik zmysłu orientacyjnego, możliwości przeprowadzenia granic, gdzie się kończy despotyzm caratu, a zaczyna się swoboda i obowiązek obywatela. Nawet młodzież, tak zwykle duchowo wrażliwą i swą intuicją, swym instynktem, życiem jeszcze nie znieprawionym, znajdująca zazwyczaj właściwą drogę swego postępowania, — dziś zachowuje się bez należytego taktu.

To, że młodzież uniwersytecka masowo wstępuje do szkół wojskowych na ochotnika, jest zrozumiałe, jednak to, że młodzież ta, rządząc w Kijowie i innych wielkich miastach Rosji manifestacje za wojną, masowo wyraża swe wiernopoddańcze uczucia, nosi "ikony" (obrazy świętych i portrety carskie) i śpiewa "Boże caria chрани", świadczy smutnie o głęboko wkorzenionej psychologii niewolnictwa i o szeroko rozgałęzionym analfabetyźmie politycznym narodu rosyjskiego.

Naród rosyjski idzie w bój, idzie zwyciężać Niemców, nie pod jakimś hasłem rewolucyjnym, kruszącym własne pęta i paraliżującym ruchy niemieckich socjal-demokratów, niewolników swego rządu i swego cesarza, a pod egidą cara i hasłem caratu... Swe pęta zacieśnią oni silniej, a towarzyszą jednakowej polityczno - ekonomicznej niewoli w Niemczech — nadają pozory ludzi wolnych, niosących na wschód pochodnię kultury zachodu, dają w rękę argumenty, usprawiedliwiające wojnę — rzeź i tłumaczące dotychczasowe zwycięstwo.

Fala entuzjazmu społeczeństwa rosyjskiego stanęła u zenitu. Ludzie rwali się do pracy, do pomocy i czynili to z zachowaniem wszelkich przepisanych prawem form lojalności. Mimo to pracę ich z góry

paraliżowano, upatrując, jak zawsze i wszędzie w Rosji, jakąś robotę polityczną na planie dalszym, dążącą w kierunku zakazanym.

.

Miasto Kijów — jest jednym wielkim szpitalem, obliczonym na 60 tysięcy łóżek.

Na każdej niemal ulicy widać chorągwie z czerwonym krzyżem, jako emblematem tam znajdującego się szpitala. Gmachy rządowe, gimnazja, duchowne seminarjum, oficyny politechniki, szereg sal uniwersyteckich zabudowań obrócono na szpitale. Prócz tego zakładano z dobroczynności publicznej małe szpitaliki w domach prywatnych na 50, 20 nawet na 10 łóżek. Szereg wielkich kapitalistów kijowskich urządza swym własnym kosztem szpitale na tysiące łóżek. W ciągu 4 tygodni, gmachy przerabiają na olbrzymie szpitale, mieszczące nieraz przeszło 1000 rannych. Kupcy w okamgnieniu dostarczają do szpitali — łóżek, bielizny, pościel i niezbędne dla chorych rzeczy. Na ulicach ciągle widać wozy, zbierające ofiary w naturze dla szpitali, dla rodzin po żołnierzach i dla żołnierzy, będących na pozycjach. W każdą niedzielę, w każde święto urządzą „dnie kwiatka”, w celu zbierania funduszków na rannych, na dotkniętych klęską wojny, na uchodźców z Królestwa, na ludność biedną Królestwa Polskiego, Belgji, Galicji. Ludzie dają obficie, krzątają się, jak mogą. — Rezultaty jednak bardzo nikłe.

.

Oto, n. p., jeden z większych szpitali Kijowa na 1,500 łóżek. Rannych na salach pełno, leżeć mu-

szą nawet na korytarzach. Hałas, zgiełk, jęki rannych. Smród, zaduch — przewietrzanie wadliwe. Największa sala na pierwszym piętrze obrócona jest na szpitalną cerkiew. W zwyczajnych, z prostych desek zbitych trumnach leżą trupy niedawno zmarłych w szpitalu rannych żołnierzy. Tłumy nabożnych z ulicy cisną się zobaczyć nieboszczyków i pomodlić się za nich. Chodzi o spokój i wzorową czystość w szpitalu, a mamy hałas, zgiełk, nanoszenie błota i brudu z ulicy. Cóż robić — zwyczaj! Zakazać — jest to ściągnąć na siebie podejrzenie o bezbożność, a co za tym ściśle idzie o polityczną nieprawomyślność, “niebłągonadieżność”. Jeszcze krok i wchodzi się w bliższą z policją znajomość, czego tak skrupulatnie każdy stara się uniknąć.

Przywożą partję rannych — dwustu ludzi, którzy zostali ranni w walkach, toczących się w okolicach rzeki Sanu, lub na pokrytych już głębokim śniegiem stokach Karpat. Wszyscy ci żołnierze brudni, owszeni, głodni, nadludzko zmęczeni, poprzykrywani obłoconymi szynelami, z ciężkimi ranami głowy, z odmrożonymi nogami, z potrzaskanymi w gipsowych opatrunkach kośćmi nóg, lub rąk, więcej do cieni ludzi, niż do ludzi samych podobni, mdlejący z wyczerpania i bólu — spragnieni są co żywiej odpoczynku w ciepłym, czystym łóżku i ciepłej strawy...

Dyżurny lekarz wraz z kilku dyżurnymi felczerami, felczerkami, Siostrami miłosierdzia i sanitariuszami schodzą przyjąć ową partję rannych. Jednak zamiast umieścić ich coprędzej w salach szpitalnych, rozpoczynają — wprost nieludzką, nikomu niepotrzebną, a jednak prawem przepisaną indaga-

cję: jak się każdy z rannych żołnierzy nazywa, do jakiego pułku należy, z jakiej pochodzi gubernji, jakiego jest wyznania, w jakiej bitwie, kiedy (jakiego dnia i miesiąca) i gdzie (w jaką część ciała) został ranny, czy ma jakie dokumenty osobiste, lub cenne rzeczy i pieniądze przy sobie...

Cenne rzeczy i pieniądze składane są przez żołnierzy do kancelarji szpitalnej, z której naturalnie odbierają je przy wyjściu ze szpitala, a w razie śmierci rannego — są odsyłane rodzinie.

Mimo pośpiechu — dokonywanie tych formalności przez personal lekarski trwa jednak godzin parę i niejednen z ciężej rannych, nie umiejący z należnym szacunkiem zachować się względem tych, tak wysoce mądrych formalności, wydaje ostatni jęk, ostatnie tchnienie — jeszcze raz łypnie oczyma i odchodzi wreszcie spokojny z tego padołu łoż, nędzy ludzkiej, bezmiaru ludzkiej głupoty, cynizmu i fałszu.

Naturalnie, w dobrze urządzonym i biurokracyjczynie pięknie zorganizowanym państwie rosyjskim jest przewidziane, że tego rodzaju wypadki zajść mogą — kręci się więc prawosławny pop, gotów na wszelkie skinienie przyjść z ostatnią posługą duchowną.

Tymczasem podczas i po skończeniu tych wywiadów, rannych ubierają w czystą bieliznę i na noszach przenoszą do sali opatrunkowej. Tam zdejmują opatrunki stare, naczelný lekarz ewentualnie główny chirurg szpitala robi sobie po obejrzeniu rannego odpowiednie lekarskie adnotacje, czyni stosowne zarządzenia, felczerzy czy felczerki nakła-

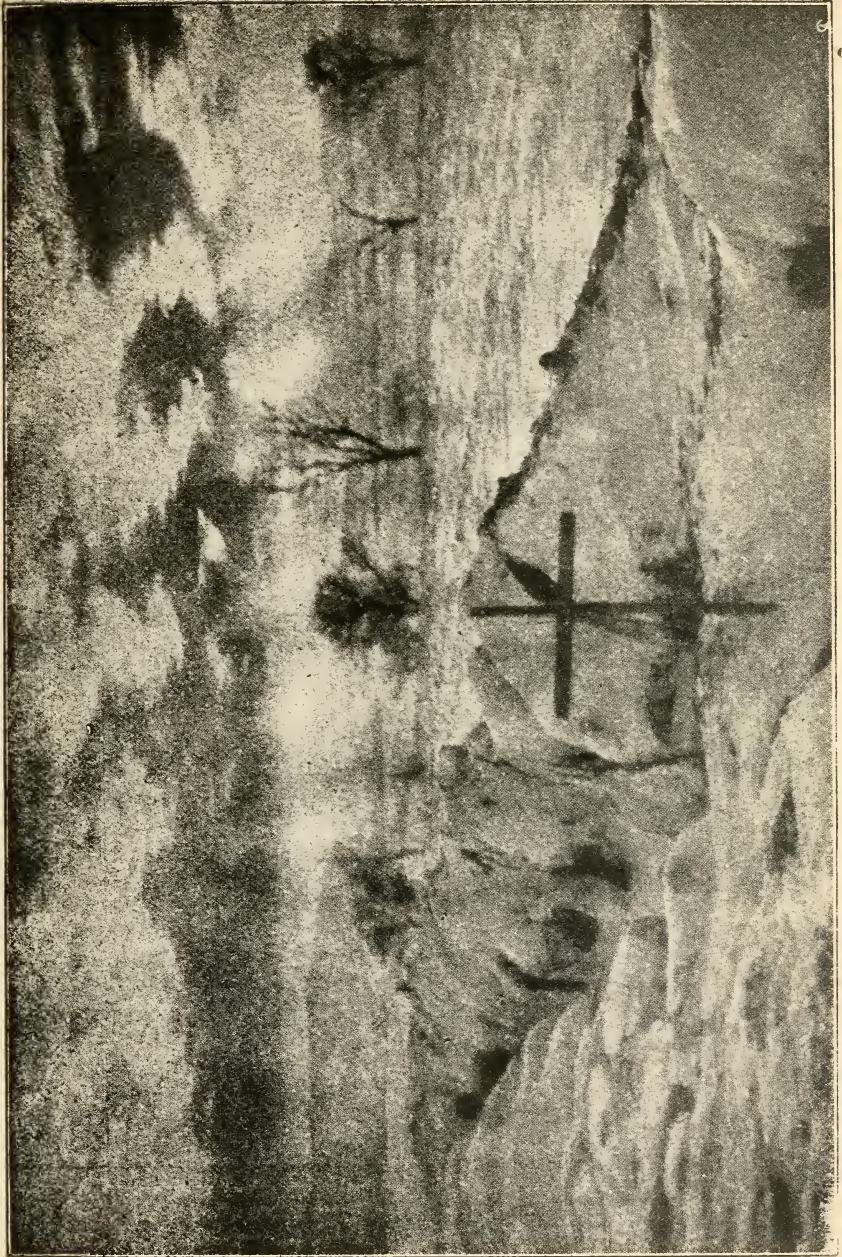
dają świeże opatrunki, wreszcie przenoszą chorego do sali na łóżko i dają mu jeść.

Naczelnny lekarz, o ile jest chirurgiem, ma pomocnika do sprawowania czynności administracyjno-kancelaryjnych, w razie przeciwnym sam te czynności sprawuje, a leczeniem rannych i operacjami zajmuje się główny chirurg szpitala, lub lekarze — chirurdzy poszczególnych oddziałów, tak zwani ordynatorzy oddziałów.

W szpitalu takim, jak opisywany, jest dziewięć, lub dziesięć oddziałów. Na czele każdego stoi starszy ordynator i — o ile pozwala na to ilość sił fachowych — zazwyczaj chirurg. Ordynator oddziału ma do pomocy dwóch młodszych lekarzy, zazwyczaj takich, którzy dopiero ukończyli studia uniwersyteckie. Prócz tego na każdym oddziale pracują dwie felczerki, lub dwóch felczerów i cztery siostry miłosierdzia, nie licząc całego szeregu sanitariuszów, lub sanitariuszek, honorowo pełniących swe obowiązki przy przenoszeniu i pielęgnowaniu chorych, przy opatrunkach, przy nocnych dyżurach.

Na każde dwa oddziały jest jedna sala opatrunkowa; tam wre robota dzień cały: opatrują, lub pomagają nawet wolontariuszki - pielęgniarzki; w dwóch salach operacyjnych od rana do wieczoru, a nawet wieczorem, nieraz i nocą — główny chirurg lub niektórzy ordynatorzy oddziałów — także chirurdzy, operują rannych, pomimo to masa rannych czeka długo nieraz na operację, niektórzy są ewakuowani dalej w głąb Rosji, nie doczekawszy się swej kolei... Dlaczego?

Bo lekarze chirurdzy zajmują się całymi dniami więcej produkcyjną pracą — piszą, piszą i piszą!



BRATNIE MOGILY.

Piszą przedewszystkim historje chorób rannych, piszą, raczej wypełniają trojakięgo rodzaju blankiety dla każdego rannęgo, piszą każdemu swęgo rodzaju paszport w odpowiednich księżeczkach, piszą sprawozdania do przeróżnych instytucji to do głównęgo zarządu Czerwonego Krzyża, to do pełnomocnika Czerwonego Krzyża, to do głównęgo pełnomocnika tyłu armji — wciąż piszą i piszą. . .

Już się zdaje, że choć na dziś pisanina skończona. Chirurg idzie do sali opatrunkowej, dokąd go już trzy razy siostra miłosierdzia wołała, by spojrział na ranę i zdecydował, co dalej robić — chory na stole leży i czeka. Ledwie lekarz zdążył stanąć przy chorym i decyduje, że należy natychmiast zrobić operację, a już pomocnik naczelnęgo lekarza, załatwiający czynności administracyjno - kancelaryjne, biegnie od oddziału do oddziału i wzywa ordynatorów, by mu dali spis rannych, których można ewakuować, których przeznaczyć na Komisję, określającą procent utraty zdolności do pracy, lub uwolnienie od dalszej służby wojskowej, których zaliczyć można do rekonwalescentów, do t. zw. "słabo-silnej komandy", wreszcie których można znowu z powrotem wysłać na pozycje.

A więc znowu pisanina ! Chirurgdzy zamiast operować, znowu piszą i piszą. Nie zdążył lekarz jeszcze sporządzić żądanych spisów, przybiega felczerka, że chory już dawno leży na sali operacyjnej, jest już zachloroformowany, czeka na dokonanie operacji ; lekarz rzuca spisy i idzie robić operację ; w trakcie operacji wbiega na salę pomocnik lekarza naczelnęgo i powiada :

— Na zasadzie depeszy głównęgo naczelnika

tyłów armji nadszedł rozkaz od głównego pełnomocnika Czerwonego Krzyża, by przygotować w naszym szpitalu 400 miejsc dla rannych — partja nadejść może jutro zrana, lub nawet dziś wieczorem. Zechce więc kolega przeznaczyć na ewakuację 40 rannych ze swego oddziału, zakończyć ich historje chorób, wypisać im ich paszporty, wypełnić odnośne biuletyny, rozkazać wydać im rzeczy według numeru przy łóżku oznaczonego, dopilnować, by ich należycie odziali i obiad im dano, ażeby na godzinę 5tą po południu wraz z dyżurną siostrą miłosierdzia czekali na dole na korytarzu... Jeszcze słowo: — w podanym rano spisie, kolega przeznacza na ewakuację zaledwie 12 rannych. Tę liczbę należy koniecznie dopełnić do 40! Niech kolega ewakuuje ciężej rannych. wreszcie tych, którzy dzisiaj przybyli!

Lekarz - ordynator oddziału, wciąż na wszystkie strony szarpany, nie może wreszcie powstrzymać się i zakłada protest:

— Czort was bierz! Czy to jest szpital do leczenia chorych i robienia operacji rannym, czy też to jest punkt ewakuacyjny? Jeżeli to szpital, a ja, jako lekarz i chirurg, jestem na swoim miejscu, to przybywający z pozycji ciężko ranny znaleźć powinien w naszym szpitalu wszystko, co go możliwie prędko na nogi postawić może, a zatym powinien mieć zrobioną operację, odpowiednie pielęgnowanie rany aż do zagojenia, leczenie zatym aż do chwili, kiedy bez narażenia zdrowia może być dalej wysłany. Lżej rannych możecie ewakuować choć na Sybir, nie należy jednak rzucać ciężko rannymi, jak piłkami. Zaledwie dziś przybył, ja nie miałem jeszcze czasu go obejrzeć, zbadać należycie,

a wy już każecie mi go ewakuować, lub wreszcie zaraz po zrobieniu operacji, kiedy rana chorego wymaga spokoju, ciągłego lekarskiego nadzoru, by goić się mogła prędko i dobrze!

— Kolego, wy zapominacie, że to jest rozkaz! Nasz szpital chociaż jest szpitalem Związku miast, czy ziemstw — pozostaje jednak pod zwierzchnictwem Czerwonego Krzyża, jest przeto szpitalem wojskowym, a my musimy bez gadania wykonywać rozporządzenia władzy wyższej!

— A jeżeli te rozporządzenia pozbawione są wszelkiego logicznego sensu i są dla rannych żołnierzy szkodliwe?

— “Byt’ po siemu” (tak być musi, jak rozkazano). My znajdujemy się “na wojennom położeniu” (w stanie wojennym)! Krytyka władz tolerowaną być nie może! Nie podoba się, zechciej się pan podać do dymisji, a tymczasem na godzinę piątą proszę uprzejmie 40 rannych ewakuować.

Chirurg wraca na swój oddział pisać dalej. Tego dnia należałoby jeszcze zrobić pięć, sześć operacji, ale czasu niema — trzeba pisać. Pisanina ta trwa już od 8-ej rano do 3-ej po południu. Lekarz niema nawet czasu pójść zjeść obiad. Znowu lekarz — administrator szpitala przybiega z zapytaniem, czy już t. zw. “porcjonnoje trebowanie”, czyli żądanie racji żywnościowych dla rannych na dzień następny jest sporządzone i dlaczego ten, czy ów z ordynatorów oddziału przepisuje rannym tyle a tyle porcji rosołu z kury, czy mleka, czy jaj, czy kotletów; zapominać bowiem nie należy, że tego rodzaju jedzenie jest zbyt kosztowne i tylko w nadzwyczajnych wypadkach przepisywane być może. Następuje targo-

wanie się o porcje dla chorych i znowu pisanie i przepisywanie kwoli suchym, drewnianym, nic wspólnego z życiem nie mającym zachceniom i potrzebom biurokratyzmu.

Lekarze więc zamiast leczyć i operować piszą i piszą całymi dniami najbanalniejsze w świecie kancelaryjne bzdurstwa, a felczerki, siostry miłosierdzia, pielęgniarki zajmują się opatrunkami niemal samodzielnie.

Fala chorych wciąż płynie z pozycji, aż hen w głąb Rosji, zmieniają po drodze opatrunki stare, nakładają świeże, a tu i tam, w tym, czy innym szpitalu, w tym, czy innym mieście, ten, czy ów lekarz uszczknie sobie od owej nieproduktywnej pisaniny kwadrans, pół godziny, godzinę czasu i zrobi komuś z tej bezindywidualnej masy rannych potrzebą, niezbędną operację.

Tak się tam życie organizuje!...

Przepisy szpitalne wymagają, by na salach chorych było dostatecznie ciepło i sprawdzianem tego ciepła mają być termometry na ścianach umieszczone: administracja kupuje termometry i na ścianach zawiesza. Ale termometry są bardzo tanie, a zatem i bardzo mało wrażliwe na zmiany temperatury: jest zimno na sali, lecz termometr wskazuje temperaturę przyzwoitą, a więc skargi chorych na zimno są nieuzasadnione.

Przepisy szpitali wymagają, by jedzenie i produktu spożywcze były kontrolowane przez dyżurnych lekarzy: lekarze kontrolują, skoro jednak znajdują, że mięso, lub słonina są brudne, stęchłe, nieświeże, a nawet z robactwem, że mleko z dużą do-

mieszką wody, że kasza z piaskiem i o nadużyciach dostawców mówią głośno, lub wnoszą skargi — jest to źle przez władzę wyższą widziane i uważane za chęć poderwania autorytetu władzy w środowisku żołnierskim.

To samo spotykamy w wojsku na tyłach armji, na czołowych pozycjach, w głębi Rosji. Wszystko co jest zrobione, co się robi, jest i musi być dobre! Wszelka krytyka zupełnie wykluczona. Jeżeli zaś tu i ówdzie pytają się o zdanie, to należy pamiętać, że pytanie takie jest tylko pytaniem retorycznym i jedyną odpowiedzią dobrego, przykładowego poddanego rosyjskiego na wszelkie pytanie ze strony jakiegokolwiek władzy, powinno być zawsze stereotypowe: — wszystko pozostaje w najlepszym porządku — “wsio obstoit błagopołuczno”.

Pod zabijającym zgniłym tchnieniem biurokracji rosyjskiej, jak po przejściu szarańczy lub dżumy, wszelakie życie ginie, nawet źdźbło trawy schnie. Zapał, chęć do pracy znika wobec wykoszławiania i nieumiejętnego zużytkowania sił fachowych i zdolności ludzkich, — pozostaje ślepy automatyzm. To też kto może i ma jeszcze dostateczny zasób sił woli, usuwa się z tego chaosu bezcelowej, bezplanowej gmatwaniny, tak zwanej pracy społecznej, póki jest jeszcze cały, zdrow i nie zdemoralizowany do cna.

DWUNASTY DZIEŃ OPOWIADANIA.

Spółceństwo rosyjskie w każdym żołnierzu chce widzieć bohatera, stara się dostrzedz w nim więcej poczucia patryjotyzmu, niż jest w rzeczywistości, opromienia go — ów szynel szary (tak nazywają w Rosji prostego żołnierza, pozbawionego pozornie osobistej indywidualności) aureolą przecenianych zasług na polach walki, na polach chwały i wyraża wreszcie przed nim, przed swym bohaterskim żołnierzem szacunek, uznanie w nadzwyczajnej pieczołowitości, okazywanej podczas pobytu jego w szpitalu.

Komitety opieki nad rannymi, t. z. patronaty, w większości złożone z kobiet, wprost prześcigają się w dowodach troskliwości. Rozdają rannym papierosy, łakocie, urządzą dla nich przedstawienia z udziałem najwybitniejszych sił aktorskich, urządzą im koncerty, przedstawienia kinematograficzne, obdarzają rannych podarunkami na każde święta, urządzą choinki — słowem społeczeństwo dorosłych bawi się swymi żołnierzami, raduje się nimi, pieści ich.

Naturalnie, to ma miejsce tylko w szpitalach,

należących do prywatnych organizacji społecznych, natomiast w szpitalach wojskowych żołnierzom jest znacznie gorzej: wprost ranny żołnierz uważa to sobie za karę, gdy mu się mówi, że się go przeniesie do szpitala wojskowego i prosi, by tego nie robić.

Tak się zachowuje społeczeństwo, a rząd...?

...Rząd poleca lekarzom śledzenie propagandy rewolucyjnej pośród żołnierzy, znajdujących się w szpitalach. A kiedy lekarze stanowczo zaprotestowali i oświadczyli, że nie mają ani czasu, ani chęci do spełniania tego rodzaju czynności, rząd przez swych przedstawicieli jawnych, czy tajnych urzęda masowe rewizje po szpitalach, poszukując nielegalnej literatury, a nawet konfiskując dawne legalne książki, które jednak według zdania przedstawicieli rządu mogą wzbudzać w umysłach żołnierskich niepożądany kierunek myśli. Zakazano więc czytać wszelkie dzieła Gorkiego, Tołstoja i cały szereg dzieł innych pisarzy, oraz czasopisma postępowe jak "Russkoje Słowo", "Kijewskaja Myśl" i inne.

Rząd zupełnie przeocza, że to, co dotychczas żołnierz widział na pozycjach, w okopach, na tyłach armji i obecnie w szpitalu, jak przedstawiciele władzy myszkują i nie wstydzą się nawet przetrząsać sienniki w poszukiwaniu i pogoni za nielagalną literaturą, więcej ośmiesza i podrywa autorytet władzy, a nastroja antypaństwowo, antyrządowo żołnierza, niż całe tomy literatury.

Kto dziś był tam, na terenie walk, lub w obrębie działań wojennych, ten niema już złudzeń: "mane, tekel, fares" dla caratu już bezpowrotnie wypisane, nie uratuje go... nawet Wilhelm II.

Partje prawicowe monarchiczne stoją niezruszenie przy rządzie, choć zlekka nieco krzywiły się w początkach na wojnę; raz dlatego, że dużą podporę i siłę prawicy rdzennie rosyjskiej stanowili baronowie nadbałtyckich gubernji — niemcy, a wojna niepotrzebnie rozdziela szczerych przyjaciół carskiego absolutyzmu; powtóre z obawy wzrostu sił postępowych czy rewolucyjnych po wojnie. Obecnie przyczyny wszelkich wojennych niepowodzeń, jak to zwykli czynić bardzo mało kulturalni ludzie, barbarzyńcy, widzą ultra-monarchistyczne partje w nie-łojalnym zachowaniu się żydów, polaków, tylko bynajmniej nie przypisują najmniejszej winy ani sobie, ani swemu rządowi.

Partje październikowców i postępowca, t. zw. "Kadetów", uważają wojnę za zło konieczne, stoją na czas wojny bez zastrzeżeń przy rządzie i dokładają wszelkich sił, by w walce z Niemcami Rosja wyszła zwycięską; przypuszczają, że porażka państwa niemieckiego uwolni naród rosyjski od dotychczasowego przemożnego wpływu ekonomicznego i politycznego niemców wewnątrz kraju, i łudzą się, że carat po wojnie zmuszony będzie, chcąc zapobiec zupełnemu bankructwu ekonomicznemu państwa, powołać siły organizacji społecznych do współpracownictwa i dzięki temu zwolna przeistoczy się w niezbędną dla dalszego rozwoju narodu monarchję istotnie konstytucyjną.

Oto, co mówi na zjeździe wszechrosyjskiego związku miast, odbytym 27 lutego 1915 roku w Moskwie, przewodniczący Czełnokow:

"Rząd stanął na prawidłowej drodze, zaufaniem darząc organizacje społeczne. Naturalnie — nie za-

wsze i nie wszystko jeszcze idzie gładko. Tu i ówdzie odzywają się jeszcze stare nawyki, czuć jeszcze dawną podejrzliwość i niechęć, lecz wszystko to sprawy na dziś mniejszej wagi. Miejmy nadzieję, że życie weźmie należne sobie i zwycięży szczątki zapomnianej już, a tak przykrej i bolesnej przeszłości.”

My już wiemy, jak rząd rosyjski odpowiedział i odpowiada na owe nadzieje — rozpędzaniem dumy państwowej, zamykaniem zjazdów, nie dopuszczaniem wysłańców zjazdów przed oblicze carskie.

Wreszcie w partjach lewicowych nastąpił rozłam. Jedni t. zw. “mienszewicy” chcą zwycięstwa Rosji, a więc chcą dalej wojnę prowadzić, i tylko na czas wojny stają po stronie rządu, uważając, że w danej chwili dążenia rewolucyjne zmusiłyby rząd do walki na dwa fronty: z Niemcami i z wrogiem wewnętrznym, czyli zmniejszyły szanse rządu zwycięstwa Niemców, a jednak “rozwój sił produkcyjnych kraju wywołuje chęć i potrzebę zwycięstwa po stronie Rosji”.

Trudniej o wymyślenie ładniejszego logicznego “circulus viciosus”, (błędnego koła), jakim jest powyższe rozumowanie. Na czele tego odłamu lewicowej partji stoi znany doktryner rosyjskiej socjal-demokratycznej partji — Plechanow. Zapominają oni o historycznym fakcie, że właśnie rewolucyjna Francja umiała sobie dać radę z koalicją państw całej Europy, bo walczyła w obronie praw człowieka, a przeciwko absolutyzmowi władzy królewskiej.

Drugi odłam partji lewicowej, t. z. “bolszewi-

cy”, z Leninem na czele, chcą porażki Rosji i dlatego nazywają ich także “porażęcami”. Kilku ze zwolenników i inicjatorów tego kierunku było aresztowanych w mieszkaniu konspiracyjnym pod Petersburgiem w dniu 17 listopada 1914 roku. W liczbie aresztowanych było pięciu posłów do Dumy państwowej: Piotrowski, Muranow, Badajew, Szagow i Samołow. Wytoczono im proces polityczny, a w akcie oskarżenia czytamy, że oskarżeni należą do partji, mającej na celu obalenie caratu i utworzenie demokratycznej rzeczypospolitej (Dziwne! i taka Rosja nie boi się być w sojuszu z rzeczpospolitą francuską i brać pieniądze od demokratycznej rzeczypospolitej Ameryki). Dalej, uważając, że “z punktu widzenia klasy robotniczej wszystkich narodów państwo rosyjskie zamieszkujących, najmniejszym złem byłaby zupełna porażka caratu i wojsk go broniących”, oskarżeni drogą propagandy pośród wojsk na terenie działań wojennych chcą wywołać rewolucję, nawołując żołnierzy do zwrócenia broni nie przeciwko najemnym niewolnikom innych państw, a przeciwko własnemu rządowi pod hasłem stworzenia rzeczpospolitych: niemieckiej, polskiej i innych, pod hasłem zamiany wszystkich poszczególnych państw na Stany Zjednoczone Europy. W dniu 27 lutego 1915 zapadł wyrok, mocą którego wszystkich pięciu wyżej wymienionych posłów skazano na Sybir.

Mimo pozory siły, powagi i szerokości koncepcja powyższego hasła “bolszewików”, jest w zupełności oderwana od życia, bajecznie naiwna, kiedy obok żądania rzeczypospolitej niemieckiej, mieścić się może żądanie porażki caratu a szczególnie

wojsk jego, przeto żądanie zwycięstwa imperjalizmu niemieckiego.

Nic dziwnego, że na konferencji socjal-demokratycznej, odbytej w Szwajcarji, w październiku 1915 roku, niemieccy towarzysze, idący bądź co bądź ręką w rękę ze swym rządem i chcący wraz z nim pokoju w obawie jakichś wewnętrznych rozruchów, mogących wyjść poza ramki zwykłego programu socjal-demokratycznego, zdołali przekonać towarzyszy rosyjskich o zbytnej sztuczności, a nawet o życiowej nielogiczności owego połączenia w hasła wystawionym rzeczy wzajem siebie wykluczających. Następnie wpłynęli oni na postanowienie, by tą drugą część hasła, żądanie Stanów Zjednoczonych Europy odłożyć do czasów spokojniejszych „ad calendas graecas”, natomiast forsować całą siłą pierwszą część hasła — „żądanie porażki caratu i jego wojsk” z zabawnym dodatkiem i po barbarzyńsku brzmiącym dla ucha polaka, rusina, czy litwina — „jednak bez aneksji tej czy innej prowincji państwa rosyjskiego”. Słowem — nic dziwnego, że z pierwotnego, pozbawionego warunków życia, hasła zrobiono hasło niby aktualne — „pokój za wszelką cenę”.

I dziś spora część prasy rosyjsko - amerykańskiej stoi przy tym hasle. Agitatorzy i agitatorki rozjeżdżają z odczytami na rzecz hasła — „pokój za wszelką cenę”, jednak dla przyzwoitości hasło to każą czytać „wojna przeciwko wojnie”, naturalnie jest to tylko taki piękny zwrot retoryczny, taka sobie papierowa wojna.

Ot co znaczy przez pokolenia całe podtrzymy-

wać wychowaniem, kształceniem psychologię niewolnika!

Przed wojną pisało się dużo, mówiło się jeszcze więcej w radykalnych, lewicowych odłamach wszystkich narodów Europy o rewolucji, o potrzebie zgniecenia caratu, zdławienia imperjalizmu pruskiego, o potrzebie federacji wolnych ludów. Nadeszła wojna, a z nią chwila najważniejsza, jaką zna historia w dotychczasowym życiu narodów... I nie myśl wielka, samodzielna, mająca i mogąca decydować o dalszym życiu człowieka na ziemi, lecz — zjawily się niewolnicze orjentacje: za caratem, lub za imperjalizmem niemieckim!

Tak wygląda życie polityczne społeczeństwa rosyjskiego. Prócz tego — co chwila ze zgniętego środowiska policyjno - biurokratycznego wypływają na wierz skandale: to złodziejstwa na wielką skalę z dostawami, z brakiem wagonów w dostarczaniu żywności Warszawie, to zdrady tajemnic wojskowych, jak sprawa byłego żandarma Miasojedowa, do której zamieszane były osoby nawet z bardzo wysokich sfer Petrogradu; cały szereg popełnionych samobójstw wysokich dostojników i dymisje ich nagłe stawiają w związku z ową sprawą. Pewną ilość lotników rosyjskich, podejrzanych o zdradę, osadzono w więzieniu. A tymczasem kupcy rosyjscy sprawniają orgje spekulacyjne na dostawach wojskowych, wytwarzają sztucznie głód na cukier, na drzewo. Rząd i zarządy miast, często współwinne, stoją wobec tej spekulacji bezradne. Z drugiej zaś strony coraz więcej wzmaga się drożyzna, brak zarobków, nędza. Oto obrazki!

.

Zimą 1915 roku w Moskwie polacy byli nawet bardzo w modzie, ale moda ta krótko trwała. Zresztą zachowywano się w początku wojny dosyć życzliwie, teraz coraz obojętniej, a nawet niechętnie, szczególnie wobec zbyt wielkiego napływu przymusowych uchodźców. Co się tyczy kwestji polskiej, to nawet najpostępowsze odłamy społeczeństwa rosyjskiego nie zgadzają się na bezwzględną niezależność Polski.

Oto co pisze znany przyjaciel polaków prof. A. L. Pogodin — historyk, w nr. 39 gazety moskiewskiej „*Utro Rossji*”.

“Wśród bezwzględnych i nieuniknionych skutków tej wojny, która powinna zlikwidować tyle stosunków zagmatwanych, znajduje się wobec nas rozstrzygnięcie nareszcie “kwestji polskiej” — takie urządzenie historycznych losów narodu polskiego, któreby najbardziej odpowiadało potrzebom samego narodu polskiego, i interesom państwa rosyjskiego”...

Otóż w swym artykule pan profesor, przytaczając wszelkie argumenty za i przeciw, staje na stanowisku, że “należy przyznać niepodległość państwu zjednoczonemu narodowi polskiemu, jednak bezwzględnie — niepodległość pod berłem dynastji Romanowych, pod berłem cesarza rosyjskiego”. Dalej czytamy, że “Polska ma posiadać swój rząd, mianowany przez cesarza lub jego namiestnika”. Prawda? piękna niezależność!

Ale cóż dziwnego, przyjaciel polaków, pan Pogodin, należy do narodu, który tkwi do dziś dnia w kajdanach, więc ta niewola zatruła ducha i myśl najlepszych wśród nich ludzi i to przeszkadza im zro-

zumieć należycie pojęcie “niezależności” innych narodów, mających nieszczęście być częścią składową państwa rosyjskiego. To właśnie wielowiekowe jarzmo niewoli przeszkadza im najwięcej do zrozumienia, że zarówno państwowość caratu, jak i państwowość imperjalizmu niemieckiego jest śmiertelnym wrogiem dalszego rozwoju ich własnego narodu.

Ta prawda bezwzględna powinna być punktem wyjścia dla ich tego, czy innego stanowiska politycznego; oni zaś chcą się wysługiwać tej, czy innej stronie kwoli niewolniczym, myślowo biernym orientacjom.

.

Spółczeństwo polskie w t. z. prowincjach zabranych Rusi i Litwy, a nawet rdzennej Rosji, w Moskwie, Piotrogradzie przypatruje się temu wszystkiemu, przedewszystkim lawiruje, jak może, by niesienie pomocy rodakom, uchodźcom z Królestwa, z Galicji, nie spotkało się z nieprzewidzianymi, a zawsze mogącymi spaść, jak piorun z jasnego nieba, przeszkodami ze strony władzy administracyjno-policyjnej.

We wrześniu 1914 roku, a zatym w samych początkach wojny zostało utworzone i zarejestrowane w Piotrogradzie “Towarzystwo pomocy biednym rodzinom polaków, uczestniczących w wojnie, oraz zubożalej przez wojnę ludności polskiej”. Na czele Towarzystwa stoi komitet, wraz z prezydjum i Radą Nadzorczą. Towarzystwo ma prawo na zasadzie par. 13 statutu otwierania oddziałów w całym państwie rosyjskim. Osobiście przyjrzałem się nieco pracy takiego oddziału w Kijowie. Kijowski komitet

pomocy polakom-ofiarom wojny podzielił swą pracę pomiędzy trzy sekcje:

Sekcja ewakuacji rannych: Zadaniem sekcji jest zaopiekować się rekonwalescentami polakami, którzy jeszcze potrzebują opieki, a nie mogą zajmować miejsc w szpitalach miejscowych wobec napływu ciężiej rannych.

W tym celu sekcja zwróciła się do Komitetu opieki nad rannymi o nadsyłanie informacji o rekonwalescentach, stałych mieszkańcach Królestwa, podlegających ewakuacji, oraz uznanych za niezdolnych do dalszej służby w szeregach. Ta działalność, mimo wszelkie pozwolenia, jest bardzo niemile widziana przez różne władze i naczelnych lekarzy poszczególnych szpitali — upatrują w tym dążenia separatystyczne polaków, przeciwko czemu występują zawsze nawet najliberalniejsi liberali rosyjscy. Dalej, sekcja weszła w porozumienie z urzędem ewakuacyjnym w Kijowie i ziemstwem w sprawie uzyskania ciepłej odzieży dla wysyłanych na wieś rekonwalescentów.

Drugą sekcją jest sekcja dostarczania pracy: tam panuje największy ruch. Wszyscy prawie uchodźcy, nie chcąc korzystać z zapomóg bezzwrotnych Towarzystwa, poszukują przedewszystkim pracy. Sekcja dostarczyła pracy już znacznej ilości osób; pracy poszukują prawnicy, nauczyciele, nauczycielki, buchalterzy, subjekci handlowi, technicy, leśnicy, litografi, tkacze łódzcy, mleczarze, stolarze.

Wreszcie sekcja prawna załatwia sprawy polaków obcopoddanych, którym administracja grozi wysiedleniem w głąb Rosji.

Z terenu walk otrzymywaliśmy coraz smutniejsze wiadomości. W Sochaczewie, miasteczku, położonym na obu stronach rzeki Bzury, nie zostało ani jednego mieszkańca: całe miasto kupa gruzów, tylko zdziczałe koty, przeraźliwie miauczając, przebiegają po gruzach i pustych uliczkach; zresztą nad Bzurą i Rawką — wojna pozycyjna.

WGalicji — mimo zimy, bitwy się toczą nie słabnąc i ranni napływają z Karpat w olbrzymiej ilości. Rosjanie w końcu stycznia wyparli austriaków ze wszystkich trzech przełęczy karpaccich. W początkach kwietnia zdobyto twierdzę Przemyśl.

Niedługo jednak pozostawała ona w rękach rosyjskich, mimo dziękczynne modły w całym państwie za "odebranie" wreszcie z rąk nieprzyjaciół "rdzennie rosyjskiego" miasta i mimo entuzjastyczne przyjęcie wiadomości tej bezwzględnie przez całe społeczeństwo rosyjskie: odbyły się mityngi, manifestacje, a w niespełna dwa miesiące potem znowu się Przemyśl dostał w ręce austriaków. Rosyjskie wojska pod naporem koalicji wojsk austriacko - niemieckich, mimo tyle czasu i ofiar straconych na zdobycie stoków Karpat i potężnego szmata Galicji, musiały się wciąż cofać.

W chwili, kiedy wyjeżdżałem z Kijowa, t. j. w końcu maja, już nietylko Przemyśl był odebrany rosjanom, ale także Jarosław. Wojska austriacko-niemieckie przechodziły już rzekę San i zagrażały wojskom rosyjskim pod Lwowem. Jednocześnie rozpoczynała się żywsza akcja od strony Warszawy i od strony gubernji Suwalskiej.

Całą zimę toczyły się walki w północnej części gub. Łomżyńskiej, w lasach Augustowskich pod

fortecą Ossowiec, lecz dopiero z wiosną rozpoczęły się silniejsze natarcia ze strony wojsk niemieckich nad Niemnem.

.....
Już byłem w drodze, gdy z depesz dowiadywałem się o ciągłym parciu Niemców naprzód i cofaniu się Rosjan.

W drodze poprzez Moskwę, Syberję całą, odczuwałem, że nastrój ludności, nie zasilany znikąd ani wiadomościami zwycięstw z pola walki, ani obietnicami jakichś reform, ulg, nadania ziemi, wolności, z dniem każdym znacznie ku wojnie stygnie. Coraz częściej spotyka się życzenie, jaknajrychlejszego zakończenia wojny, a echa smutne dotarły aż nad brzegi Oceanu Spokojnego.

W wagonach spotykamy masę kalek - żołnierzy, wracających do domu. Kupcy, których się spotyka w drodze jednozgodnie skarżą się na zastój zupełny w interesach handlowo - przemysłowych. Na stacjach i przystankach, w siołach i miasteczkach, począwszy już od Samary na Wołdze poprzez całą Syberję, spotykamy wielkie ilości jeńców wojennych, głównie Austriaków, którzy są zajęci przy wyładowywaniu i naładowywaniu wagonów towarowych, przy remontach budynków stacyjnych, przy naprawie toru kolejowego, wreszcie przy pracy na roli. Naturalnie wśród jeńców olbrzymi odsetek Słowian. Władze i ludność miejscowa zachowują się względem nich życzliwie.

Natomiast jeńcy niemieccy są bardzo pilnowani, władze obchodzą się z nimi ostrzej, a ludność patrzy na nich okiem niechętnym, jako na domniemych sprawców wojny. Jeńcy niemieccy są oddziel-

nie od austriackich trzymani, zachowują się hardo, pracować nie chcą. Bywały wśród nich częste wypadki ucieczki, szczególnie oficerów do Chin, co pociągnęło za sobą wprowadzenie surowego rygoru w trybie ich życia.

Opowiadano mi, że w małym miasteczku Wierchnieudińsku, za Bajkałem, umieszczono przeszło 40 tysięcy jeńców, a w Czycie koło 100 tysięcy. Spotykaliśmy ich na każdym kroku, wcale nie robili wrażenia bardzo przygnębionych, owszem z okien wagonu widziałem raz w porze południowej w okolicach Czyty partję jeńców, zabawiających się wesoło w "foot-ball" na dziedzińcu zamiejskich koszar.

Wszystkie mosty kolejowe poprzez olbrzymie rzeki syberyjskie są pilnie strzeżone.

Pociąg zatrzymuje się przed każdą rzeką. Wchodzi do wagonów kilku uzbrojonych żołnierzy, przechodzą przez cały pociąg, każą zamykać okna, nawet zabraniają spoglądać przez szyby na tor, strzeżony również. Jedziemy więc wolno, szczególnie, że dzięki jednotorowej linii kolejowej na Syberji, wciąż przechodzące w stronę placu boju pociągi z wojskiem, lub amunicją zatrzymywały nas niemal na każdej stacji. Przejeżdżałem przez Mandzurję, Koreę i już w końcu czerwca byłem w Japonji, owych Prusach Wschodu, gdzie ze wszystkich europejczyków największy ślad po sobie w współczesnym życiu mieszkańców zostawili Niemcy. Uczeni japońscy, mimo inną chwilowo politykę rządu swego, uważają siebie za naukowych przyjaciół Niemców i głośno się w tym sensie wynurzają.

Ze swego pobytu w owym kraju Wschodzące-

go Słońca otrzymałem wrażenie, że jego mieszkańcy mają w zamiarze niejedną jeszcze przykrą niespodziankę sprawić światu. Rosnący z dniem każdym w swych aspiracjach imperjalizm japoński spogląda mniej butnie, a jednak więcej bodaj chytrze, przezorniej i równie uporczywie, jak niemiecki, na leżące na drodze jego politycznych zapędów Chiny, Syberję w pierwszej linii, amerykańskie i nieamerykańskie posiadłości Polinezji w drugiej. I znajdzie on środki i siłę dla sprostanania zadaniom niedalekiej przyszłości — w odpowiedniej, rozszerzonej na cały naród drobnomieszczańskiej swojej kulturze, w odpowiedniej tresurze i urabianiu ducha za pośrednictwem dobrze do tego celu przystosowanego wychowania i kształcenia młodzieży szkolnej, wreszcie w odpowiednim na modłę pruską zorganizowanym militarystyce. Nieraz spotykałem żołnierzy, podoficerów i oficerów japońskich — w całym swym zachowaniu naśladując żołnierzy, podoficerów i oficerów pruskich, może nieco mniej rubaszni, ale również bezwzględni, zimno grzeczni i "schneidig".

Przejechaliśmy wzdłuż całą Japonję od portu Simonoseki aż do Tokio, a następnie z Yokohamy poprzez Wielki Ocean, z jednodniowym zaledwie odpoczynkiem w cudnym Honolulu, wyruszyliśmy do Ameryki.

W końcu lipca, niemal więc w rocznicę wypowiedzenia i początku wojny europejskiej, stanęliśmy w San Francisco.

Już tutaj na ziemi amerykańskiej, dowiedziałem się o wzięciu Warszawy i dalszym przebiegu wypadków wojennych, znanych wszystkim.

Na tym opowiadanie kończę.

W swych opowiadaniach starałem się być sprawiedliwy i obiektywny w ocenie faktów, czy zjawisk widzianych. Naturalnie tam, gdzie zjawisko, lub fakt opisywany wywoływał współdrżanie sympatii w mej duszy, mimowoli — podświadomie nieraz rzucałem promień ciepła subiektywnego odczucia.

.

Jest moim najgłębszym i najszczerzym przekonaniem, że możemy i powinniśmy całkowicie i bezwzględnie stać na stanowisku żądania wskrzeszenia Polski, wolnej, politycznie niezależnej i uważam, że obecny moment historyczny daje wystarczającą podstawę do urzeczywistnienia żądania powyższego, naturalnie przy żywym współudziale samego narodu.

Ponieważ dla mnie jest historycznym i aktualnym pewnikiem, że współistnienie caratu, imperjalizmu pruskiego i wolnej Polski jest niemożliwością i że tylko a jedynie Polska wolną i politycznie niezależną być może przy urzeczywistnieniu się Federacji Wolnych Ludów, przyłączam się do tych, którzy to hasło podnoszą.

Ponieważ na przeszkodzie w ucieleśnieniu się tej idei stoją w pierwszej linii i przede wszystkim państwo rosyjskie i państwo niemieckie, jestem po stronie tych, którzy uważają za pierwsze wskazanie chwili obecnej zniszczenie zupełne caratu i imperjalizmu niemieckiego.

Ponieważ państwa nam wrogie — dla obrony, podtrzymania i dla nadania dalszego rozpędu swej imperjalistycznej ideologii posiadają potężne woj-

ska, przyłączam się do tych, którzy rozumieją, że tylko siłą zbrojną, równie potężną — zwalczyć je można.

Ponieważ nie można było wymyśleć nic lepszego, nic więcej skutecznego dla osłabienia groźnych militarnych potęg obu tych państw, nad wzajemny ich konflikt interesów sprzecznych, choć na jednej kulturalnej płaszczyźnie leżących, — łączę się z tymi, którzy tęsknili do zdawien dawna oczekiwanej wojny, mającej i mogącej — mimo bezmiar ofiar — lepszą przyszłość przynieść z sobą; łączę się z tymi, którzy są przeciwni pokojowi za wszelką cenę, łączę się z tymi, którzy pragną zupełnego wyczerpania się wrogich, a zmagających się w śmiertelnych zapasach, państw, którzy pragną pokoju dopiero z chwilą zbudzenia się ludów do czynu.

Ponieważ jednak względy ludzkości z jednej strony są za możliwie szybkim ukończeniem wojny, ponieważ zachodzi z drugiej strony możliwość zorientowania się państw walczących, że prowadzą grę niebezpieczną, zagrażającą ich bytowi w przyszłości, zechcą przeto zawrzeć pokój za wszelką cenę, czyli z zachowaniem stosunków, jakie były przed wojną dla siebie, ale nieobliczalnie gorszych dla podwładnych ludów, stoję po stronie tych, którzy dla szybkiego i ostatecznego zlikwidowania wojny tej i wojen w przyszłości, dla ostatecznego zmiecienia imperjalizmów wszelkich, jako przyczyny bratobójczych walk, rzucają zarzewie buntu, rewolucji, powstań narodom bezdomnym, lub którym źle we własnym domu, stoję po stronie tych, którzy wołają — “Do broni!”

WARSZAWSKA PRZEPOWIEDNIA

WARSZAWSKA PRZEPOWIEDNIA.

Słowa pewnej warszawianki, panny R. S., wypowiedziane na jednym z posiedzeń psychologicznych dnia 28 lutego 1914 roku w Warszawie, z hektograficznego odbicia przepisane w październiku, 1914 roku :

...“Żniwa tego roku będą bardzo krwawe. Wybuchnie wojna w Europie całej. Nawała Niemców zaleje kraj nasz aż po Warszawę, po Wisłę i Belgję całą. Naród niemiecki pójdzie wraz ze swym rządem. Przeciwko Niemcom, wystąpią Francja, Anglja, Rosja i bohaterska Belgja. Zapomniana przez świat cała Polska, nierównie bohatersko, jak Belgja, sprawować się będzie i nikt nie oceni całej tragedji duszy polskiej, kiedy dzięki zbrodni Europy, dokonanej przed stu laty przez podział, brat przeciwko bratu stanie.

“Cały pierwszy rok zapasy toczyć się będą ze zmiennym szczęściem. Galicja z rąk do rąk przechodzić będzie. A skutek — zrujnowane, spalone miasta i wsie, zbezczeszczone niewiasty, oplwane świętynie, wypędzona ze swej ziemi krwawej ludność, rozpacz, nędza i morowe powietrze; skutek — jeden wielki cmentarz kraj cały.

“Po stronie Niemiec i Ausrji — Turcja, a po stronie Francji, Angli i Rosji — Włochy staną. Nie dobiegnie końca rok 1915, a Warszawa znajdzie się w niemieckich rękach.

“Szala zwycięstwa, zda się przechylać się będzie już na Niemców stronę.

“Nie stanie wodza u jednej ze stron wojujących...

“Niemcy, jako domniemani zwycięzcy, narzucać się będą ze swą cierni pełną różdżką oliwną pokoju, a zgody echo w odpowiedzi znajdą w dynastycznych interesach Rosji. Kiełkująca, a duszona i paczona przez rządy narodów wojujących, ideał wojny, rozpałać się zacznie w zorzę wolności ludów. Dotąd mówiły rządy głosem armat i zbrodni głosem w rzezi milionów, teraz przemawiać zaczną narody głosem ofiar milionów.

Rok 1916 będzie rokiem rewolucji światowej, rokiem początku nowej ery i początkiem pożaru wszechświatowego. Wybuchną rewolucje w Austrii, Turcji, Rosji, Chinach, Indjach. Japonja zechce narzucać swe rządy Chinom.

Zmaterjalizowana i dolar ubóstwiająca Ameryka zechce zachować neutralność, lecz napróżno. Ludy Ameryki odezwią się na krzyk wyzwoleńczy ludów z tamtej strony oceanu.

Wybuchnie rewolucja w Ameryce i rewolucyjna Ameryka stanie na czele ruchu wyzwolenczego świata całego. Zginą granice Kanady, Stanów, Meksyku. Ruch ten przerzuci się do Ameryki południowej.

Rok 1917 i 1918 będą latami największego napięcia rewolucyjnego. Wybuchną rewolucje w Niemczech, Francji, Anglii i Włoszech.

Rosja, Niemcy i Austrija, jako państwa, rozpadną się, a na ich gruzach powstanie Federacja wolnych ludów Europy.

“Więc i Polska niezależną będzie. Turcja będzie wypędzoną z Europy, a Konstantynopol miastem wolnym będzie.

“Anglja będzie pozbawiona kolonji swych. Egipt zostanie niezależnym.

“Powstanie federacja ludów Azji i świata całego.

“Ten lud tułaczy — żydzi wywalczą sobie prawo stanowienia o sobie.

“Narody nie zginą, a zindywidualizują się.

“Proces stawania się, tworzenia trwać będzie długo.

“Dopiero 1920 rok będzie rokiem pokoju i nowej ery w rozwoju Ludzkości na ziemi”.

KONIEC.

68

CB - 6.2



OPOWIADANIA Z WOJNY

Z DOŁĄCZENIEM

„Przepowiedni Warszawskiej”



Deacidified using the Bookkeeper process
Neutralizing agent: Magnesium Oxide
Treatment Date: MAY

Preservation Technology
A WORLD LEADER IN PAPER PRESERVATION

111 Thomson Park Drive
Cranberry Township, PA 16066
(724) 779-2111



DOBBS BROS.
BRARY BINDING

EC 76
AUGUSTINE

FLA.
32084

LIBRARY OF CONGRESS



0 007 675 102 A

